

JACEK SALIJ OP



MATKA BOŻA ANIOŁOWIE ŚWIĘCI

Jacek Salij OP

**Matka Boża –
Aniołowie – Święci**

Lublin 2009

Tytuł: Jacek Salij OP

Autor: Matka Boża – Aniołowie – Święci

ISBN: 978-83-62147-02-1

Data wydania: 8.10.2009

Projekt okładki: Paweł Królak

Korekta: Paweł Pomianek

Skład: Paweł Pomianek

Na okładce wykorzystano środkową część „Tryptyku Zwiastowania” Rogiera van der Weydena (1399/1400-1464).

Książka została wydana pierwotnie przez wydawnictwo „W drodze”. W niniejszym wydaniu zmieniono kolejność artykułów oraz dodano tekst „Relikwie świętych”.

Niniejszy utwór, ani żadna jego część, nie może być kopiowany, reprodukowany ani zwielokrotniany jakąkolwiek techniką w tym drukarską, magnetyczną czy cyfrową, ani wykonywany publicznie, wystawiany, wyświetlany, odtwarzany, nadawany bez pisemnej zgody wydawcy. Zabrania się również obrotu oryginałem utworu lub egzemplarzami, na których utwór utrwalono – wprowadzania do obrotu, użyczenia, najmu oryginału albo egzemplarzy zgodnie z regulaminem Klubu Libenter.pl.

© Copyright for this edition by Jacek Salij OP

Klub Libenter.pl

PROFECT Paweł Królak

ul. Związkowa 20/33, 20-148 Lublin

www.libenter.pl

email: klub@libenter.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Spis treści

| | |
|--|-----------|
| Matka Boża..... | 5 |
| Niepokalana | 6 |
| Bracia Pana Jezusa..... | 9 |
| Maryja zawsze Dziewica..... | 12 |
| Dwunastoletni w Świątyni..... | 18 |
| „Błogosławiona jesteście między niewiastami!” | 23 |
| „Któż jest moją matką?” | 26 |
| Matka Boża pod krzyżem – pierwowzór Kościoła..... | 28 |
| Wniebowzięta..... | 36 |
| Rozgniewany Bóg i miłosierna Matka..... | 41 |
| „Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie” | 45 |
| Męczennicy różańcowi | 49 |
| Korona na wizerunku Matki Najświętszej | 53 |
| Królowa Jasnogórska w poezji polskiej | 61 |
| Matka Boska niewierzących..... | 78 |
| Możliwość i znaczenie objawień prywatnych..... | 88 |
| Aniołowie i Święci | 93 |
| Prawda o aniołach – integralna część wiary chrześcijańskiej..... | 94 |
| Starotestamentalny zakaz obrazów i posągów..... | 100 |
| Miejsce świętych obrazów w naszej drodze do Boga..... | 106 |
| Monoteizm a oddawanie czci świętym..... | 112 |
| Cztery wymiary kultu świętych | 118 |
| Relikwie świętych | 130 |

Matka Boża

Niepokalana

Czy to, że Matka Najświętsza jest niepokalanie poczęta, nie oddała Jej od nas, zwykłych grzesznych ludzi? Jeśli Ona – ktoś mi się kiedyś zwierzył ze swoich wątpliwości – od pierwszego momentu swojego poczęcia była bezgrzeszna i przez całe życie nie było w Niej żadnego grzesznego pożądania, to wynika stąd, że nie zaznała Ona w sobie walki dobra ze złem, a przecież głównie na tym polega trud ludzkiej egzystencji!

Odpowiedziałem, że również ludzkie poczęcie Pana Jezusa niewątpliwie było bezgrzeszne i przez całe swoje ziemskie życie nigdy nie zbrudził się On nawet najmniejszym grzesznym pożądaniem. A przecież Syn Boży nie tylko że doświadczył na sobie ataków zła, ale był atakowany jak nikt inny, zwłaszcza na Górze Kalwarii. Później krótko to podsumował autor Listu do Hebrajczyków (4,15): „Nie takiego bowiem mamy arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu”.

Wskutek naszych grzechów księżę ciemności ma niestety wiele do powiedzenia na naszej ziemi. Zatem nic dziwnego, że kiedy pojawił się na niej „Baranek niepokalany i bez skazy” – jak nazywa Syna Bożego Apostoł Piotr (1 P 1,19) – szatan zrobił wszystko, żeby uzyskać od Niego bodaj cząstkę dla siebie. Syn Boży zniósł zwycięsko cały impet ataku, ale że nie było Mu łatwo, świadczy o tym zarówno krwawy pot w Ogrójcu, jak dramatyczna skarga Ukrzyżowanego.

Otóż najbliższym, niewątpliwie najbliższym Synowi Bożemu człowiekiem była Jego Matka. Pan Bóg powołał do istnienia miliardy ludzi, ale Ona jedna jest Matką Jego Syna! W tym jedynym związku, jakim Syn Boży związany był ze swoją Matką, nie mogło być nawet cienia niedoskonałości ani egocentryzmu. Syn Boży

przyszedł na tę ziemię, aby nam wszystkim zapewnić udział w swojej świętości i czystości, ale nie ulega wątpliwości, że najpełniej i ponadobficie ogarnął swoją świętością własną Matkę; jest Ona „łaski pełna” (Łk 1,28). Przygotował Ją sobie na Matkę od pierwszego momentu Jej poczęcia, tak jak słońce udziela światła jutrzeńce na długo przed swoim wschodem.

Jednak ta szczególna, macierzyńska bliskość Syna Bożego wystawiła też Maryję na szczególne ataki zła. Ona była przecież tuż obok swojego Syna, przeciw któremu zwróciła się cała wściekłość szatana, zagrożonego w swoim stanie posiadania. Pobożność katolicka od wieków rozpamiętuje siedem uderzeń, które spadły na Matkę Najświętszą za to tylko, że była matką Tego Człowieka. Naprawdę nie trzeba się martwić o to, że nie zaznała Ona ataków zła, bo w rzeczywistości doświadczyła ich aż nadto.

Owszem, nie było w Niej rozdwojenia, nie było w Niej – a tym bardziej w Jej Synu – wroga wewnętrznego, który jest w każdym z nas i który sprawia, że nieraz zło w nas zwycięża. Czy to jednak Chrystusa albo Ją od nas oddała? Czy dobry lekarz staje się mniej bliski choremu przez to, że sam jest zdrowy? To prawda, syty często nie rozumie głodnego, bogaty nędzarza, a zdrowy chorego. Ale ów brak zrozumienia bierze się z przyrodzonego grzesznikom egocentryzmu. Tam, gdzie jest miłość i nie ma zamknięcia się w sobie, zło doznawane przez drugiego boli tak, jakby samemu się go doświadczało. Grzech zaś, który niszczy kogoś mi bliskiego, boli mnie jeszcze bardziej niż jego samego, jako że każdy grzesznik jest w większym lub mniejszym stopniu duchowo nieprzytomny.

To byłoby koszmarnie, gdyby zakorzenienie w rzeczywistości mierzyło się stopniem utyłania w grzechu. Na szczęście jest dokładnie odwrotnie: właśnie grzech wykorzenia z rzeczywistości. Jeśli jakiś kiepski pisarz przedstawia swoich bohaterów jako istoty idealne i bezgrzeszne, czytelnicy odbierają takie postacie jako abstrakcyjne, bez ciała i krwi. I słusznie. Bo wszyscy ludzie, których znamy z doświadczenia, w rzeczywistości są grzesznikami i przedstawiać ich jako bezgrzesznych to skazać ich na żywot czysto papierowy. Rzecz jednak w tym, że Chrystus — a dzięki Niemu również Jego Matka — był naprawdę bez grzechu. Być człowiekiem papierowym to znaczy w ogóle nie być człowiekiem, ale być człowiekiem naprawdę bez grzechu to być Człowiekiem Doskonałym. O tym, że dobro tworzy człowieka, a zło niszczy, częściowo wiemy nawet z doświadczenia.

Nie jestem mniej człowiekiem dlatego, że nie doświadczyłem nigdy pijackiego głodu denaturatu i że sumienie nie musiało mi wypominać jakiejś wielkiej zbrodni. Natomiast tym bardziej jestem człowiekiem, im prawdziwsza we mnie tęsknota za trwaniem w dobru wbrew wszelkim przeciwnościom oraz im prawdziwiej umiem przyjść z pomocą ludziom zniszczonym przez grzech. Chrystus, Zbawiciel wszystkich ludzi, nie tylko nie załamał się w ciężkich utrapieniach, jakie Go spotkały, ale wytrwał do końca w gorącym współczuciu dla wszystkich grzeszników, własnych morderców nie wyłączając. Najbliższą Towarzyszką w tej Jego ciężkiej pracy bycia Doskonałym Człowiekiem na ziemi zalanej grzechem była od samego początku Jego Matka. W swojej miłości uczynił Ją wolną od wszelkiego grzechu, aby ujawniło się w Niej pierwotne piękno człowieczeństwa, stworzonego na obraz Boży, a zarazem aby w Niej dokonał się początek odkupienia całego naszego ludzkiego rodu.

O tym pierwszym aspekcie Jej Niepokalanego Poczęcia pięknie pisali Gertruda von Le Fort oraz Teilhard de Chardin. Von Le Fort w eseju pt. Niewiasta wieczna: „Dogmat o Niepokalanej jest objawieniem tego, jakim był człowiek przed swoim upadkiem, ukazuje on nieskalane oblicze stworzenia, ukazuje Boskie podobieństwo w człowieku. Teraz staje się już zrozumiałe owo zawrotne, dotyczące wszystkich ludzi znaczenie dogmatu maryjnego. Skoro bowiem jest Niepokalana czystym podobieństwem Bożym całej ludzkości, to jest Dziewica ze sceny zwiastowania również tej ludzkości Przedstawicielką”.

Z kolei Teilhard de Chardin, przywołuje prawdę o Niepokalanym Poczęciu Maryi, ażeby pokazać paradoksalność Wcielenia. Normalnie rzecz biorąc, stworzenie powinno się zbliżać do Boga. W Jezusie Chrystusie stało się poniekąd odwrotnie: to Bóg zbliżył się do stworzenia. W tym celu przygotował sobie Niepokalaną Matkę, aby Go niejako przyciągnęła na naszą ziemię: „Bóg, gdy nadszedł czas, w którym postanowił urzeczywistnić na naszych oczach swoje Wcielenie, musiał najpierw wzbudzić na świecie cnotę, która byłaby zdolna przyciągnąć Go do nas. Potrzeba Mu było Matki, która by Go zrodziła w ludzkim świecie. Cóż wtedy uczynił? Stworzył Dziewicę Maryję, czyli sprawił, że na Ziemi pojawiła się czystość tak wielka, iż w tej przejrzystości mógł się zogniskować i pojawić jako Dziecię” (Środowisko Boże, cz. 3).

Warto dodać, że Niepokalane Poczęcie Maryi jest tylko najszczególniejszym przypadkiem powszechnego postępowania Boga z ludźmi. Każdego z nas Pan Bóg

pierwszy umiłował. Umiłował nas, kiedyśmy jeszcze byli w łonach naszych matek, a nawet jeszcze przed naszym poczęciem (por. Ps 71,6; 22,10; Syr 50,22; Ef 1,4). Cóż zatem dziwnego, że kiedy Syn Boży postanowił stać się dla nas Człowiekiem Doskonałym, umiłował najszczególniej, jeszcze przed Jej poczęciem, swoją przyszłą Matkę? Że uczynił Ją od pierwszego momentu istnienia Człowiekiem Doskonałym? Przecież nawet nie wypadałoby Bogu urodzić się z kobiety, która choćby przez moment była dotknięta grzechem!

Bracia Pana Jezusa

Już Apostoł Paweł zwrócił uwagę na to, że gdyby nasza wiara była niezgodna z faktami, nie tylko nie byłoby sensu w niej trwać, ale wyznawanie takiej wiary obrażałoby Boga. Paweł mówił to w odniesieniu do zmartwychwstania Chrystusa Pana (1 Kor 15,14n), jednak nie ma najmniejszej wątpliwości, że tak samo obrażalibyśmy ciężko Pana Boga, gdybyśmy wysławiali Go za dziewictwo Matki Najświętszej, a to nie byłoby prawdą.

Zatem sprawdźmy tę naszą wiarę w świetle tekstów ewangelicznych. Zaczniemy od spostrzeżenia, że w zasadzie nie ma sporu między chrześcijanami o to, że Syn Boży narodził się z Maryi Dziewicy. Prawdę tę bowiem stwierdzają jednoznacznie – w dwóch różnych opowieściach – Ewangelisci Mateusz (1,18-25) i Łukasz (1,26-38). Prawda o dziewiczym macierzyństwie Maryi stanowi – dla niemal wszystkich chrześcijan, również dla protestantów – ważne potwierdzenie naszej wiary w boskość Pana Jezusa: Swoje człowieczeństwo przyjął On z dziewiczej Matki, bo nie godziło się, żeby miał ludzkiego ojca Ten, który jest Synem Jednorodzonem Ojca Przedwiecznego!

Niestety, wielu protestantów przeczy temu, że Matka Najświętsza pozostała dziewicą również po urodzeniu Pana Jezusa. Ten spór między katolikami i większością protestantów w gruncie rzeczy dotyczy tego, czy Boże macierzyństwo stanowiło dla Maryi cały sens jej życia. Zdaniem wielu protestantów, było ono tylko jedną z funkcji – co prawda, najważniejszą – jakie przyszło Maryi w swym życiu wypełnić. Konsekwencją tych poglądów jest zazwyczaj duża powściągliwość wobec kultu maryjnego.

To pomniejszenie znaczenia Matki Najświętszej w dziele zbawienia materializują protestanci w tezie, że po dziewiczym urodzeniu Pana Jezusa miała ona jeszcze następne dzieci. Na rzecz tej tezy podają trzy następujące argumenty. Po pierwsze, Ewangelie mówią wyraźnie o czterech braciach Jezusa i o jakichś Jego siostrach (Mk 6,3; Mt 13,55). Po wtóre, informację o tym, że jej małżeństwo z Józefem było dziewicze, Ewangelista Mateusz ogranicza do czasu urodzenia Jezusa (1,25). Po trzecie, w Ewangelii Łukasza Jezus nazwany jest pierworodnym Synem Maryi (2,7) – skoro zaś Jezus był jej dzieckiem pierworodnym, argumentują przeciwnicy jej dziewictwa, to znaczy, że miała ona później jakieś dzieci następne.

Otóż z przykrością trzeba powiedzieć, że jest to argumentacja nierzetelna. Żaden z tych trzech argumentów nie wytrzymuje krytyki i teza, na której rzecz mają rzekomo przemawiać, okazuje się czysto ideologiczna. Uważne bowiem wczytanie się w Ewangelie wyklucza – ze stuprocentową pewnością – samą nawet możliwość posiadania przez Pana Jezusa rodzonych braci.

Bo przypatrzmy się najpierw owemu zdaniu o braciach i siostrach Jezusa. „Czy nie jest to cieśla – pytają zdumieni Jego mądrością mieszkańcy Nazaretu – syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?” (Mk 6,3). Otóż matkę dwóch pierwszych znamy z imienia: była to „siostra Matki Jego, Maria, żona Kleofasa” (J 19,25), nazwana gdzie indziej „Marią, matką Jakuba i Józefa” (Mt 27,56), a także „Marią, matką Józefa” (Mk 15,47) lub „Marią, matką Jakuba” (Mk 16,1).

Zauważmy, że owa Maria, siostra Matki Pana Jezusa, też nie była jej siostrą rodzoną – przecież nie mogły dwie rodzone siostry nosić tego samego imienia. Dlatego zaś nazwana została jej siostrą, bo język aramejski, podobnie zresztą jak hebrajski, nie ma odrębnych wyrazów na określenie kuzyna czy kuzynki.

Zatem sprawa jest jasna: Gdyby wśród tych czterech wyliczonych z imienia braci Pana Jezusa byli jacyś Jego bracia rodzeni, to z pewnością mieszkańcy Nazaretu wymieniliby ich na pierwszym miejscu. Tymczasem na pierwszym miejscu znaleźli się Jakub i Józef, Jego dość dalecy kuzyni. Szczegół ten chyba nie wymaga komentarza.

Zresztą co najmniej dwa epizody ewangeliczne wykluczają możliwość, żeby Maryja mogła mieć więcej dzieci. Kiedy Jezus ma dwanaście lat, Maryja wybiera się

wraz z Nim i Józefem na pielgrzymkę do Jerozolimy, zaś Ewangelista zaznacza, że odbywała tę pielgrzymkę razem ze swoim mężem rok rocznie (Łk 2,41). Byłoby to niemożliwe, gdyby była obarczona gromadką małych dzieci. Przecież właśnie ze względu na obowiązki macierzyńskie Prawo Mojżeszowe nie wymagało od kobiet pielgrzymowania do Jerozolimy.

Druga informacja ewangeliczna, która wyklucza posiadanie innych dzieci przez Maryję, to wzmianka, że Jezus umierając powierzył swoją Matkę umiłowanemu uczniowi i że ten rzeczywiście „wziął Ją do siebie” (J 19,27). Czy dałoby się to pomyśleć, gdyby wspomniani w Ewangelii bracia i siostry Jezusa byli dziećmi Maryi?

Przeciwnicy dozgonnego dziewictwa Matki Najświętszej zwracają jeszcze uwagę na zapis z Ewangelii Mateusza, że Józef „nie zbliżał się do niej, aż porodziła Syna, któremu nadał imię Jezus” (1,25). Czyż ze słów tych nie wynika – argumentują – że potem prowadzili oni normalne życie małżeńskie? Czyżby ze słów – odpowiada na ten zarzut święty Hieronim (+ 419) – że „Mikal, córka Saula, była bezdzietna aż do czasu swej śmierci” (2 Sm 6,23) wynikało, że po swojej śmierci zaczęła rodzić dzieci? Albo czy ze słów Pana Jezusa, że będzie z nami „aż do skończenia świata” (Mt 28,20) wynika, że potem już z nami nie będzie? I wyjaśnia święty Hieronim, że grecki wyraz *heos* („aż”, „dopóki”) nie zawiera żadnego przekazu na temat tego, co było potem.

Ale przecież Pan Jezus jest w Ewangelii nazwany pierworodnym Synem Maryi (Łk 1,7)! Oczywiście. Zauważmy jednak, że tak nazywa Jezusa tylko ten Ewangelista, który mówi o przyniesieniu Go do świątyni (Łk 2,22n). Jak wiadomo, w Prawie Mojżeszowym obowiązek ten dotyczył tylko dziecka pierworodnego (Wj 13,12 i 15). Dziecko pierworodne przynoszono do świątyni w czterdziestym dniu po urodzeniu, a więc w momencie, kiedy jeszcze nikt nawet nie myślał o tym, czy będzie ono miało młodsze rodzeństwo. Interesującym świadectwem tego nieco innego niż w naszym języku rozumienia wyrazu „pierworodny” jest zachowany nagrobek kobiety żydowskiej z I wieku po Chr. z napisem, że umarła przy porodzie swojego syna pierworodnego. Z całą pewnością nie miała już ona więcej dzieci.

Wszystkie powyższe fakty każą stanowczo wykluczyć możliwość posiadania przez Pana Jezusa rodzonych braci czy sióstr. Jednak spróbujmy sobie jeszcze raz

uprzytomnić, dlaczego dla wiary nie jest to szczególnie mało ważny. Pytanie, czy Boże macierzyństwo zaangażowało Maryję całoosobowo, czy też było jedynie jakąś wypełnioną przez nią funkcją, dotyczy problemu dla wiary zupełnie kluczowego. Od tego przecież zależy to, czy jej macierzyństwo rozciąga się również na nas, którzy uwierzyliśmy w jej Syna i staramy się być Jego uczniami. Pytanie to prowadzi ponadto do wielkiego pytania o to, czy my, którzy dostąpiliśmy Bożej łaski, jesteśmy wezwani i zobowiązani do współpracy z tą łaską.

Maryja zawsze Dziewica

Jest coś bardzo intrygującego w tym, że Kościół przywiązuje taką wagę do prawdy o dziewictwie Matki Najświętszej. Po raz pierwszy uświadomiłem to sobie, kiedy zorientowałem się, jak mocno drwili sobie z tej prawdy starożytni przeciwnicy chrześcijaństwa. Gdyby dziewictwo Maryi było dla orędzia ewangelicznego tylko jakimś drugorzędym szczegółem, prawda ta roztopiłaby się w czyścowym ogniu kpin i szyderstw, jakie na jej temat wypowiedziano. Tymczasem chrześcijanie, odpierając te zarzuty, tym więcej uświadamiali sobie, że wiara w dziewiczość Maryi jest sprawdzianem autentyczności naszej wiary w Chrystusa.

Zarzuty szły w dwóch kierunkach. Jedni, dopatrując się podobieństwa do pogańskich opowieści o dziewiczych narodzinach takiej czy innej postaci mitycznej, szydzili sobie: Czym Maryja, przecież zwyczajna i uboga dziewczyna, mogła zachwyć Boga, że chciał mieć z nią dziecko?¹ Kiedyś znów święty Justyn (+166) usłyszał „dobrą radę” pod adresem chrześcijan: Przecież opowieść o dziewiczym urodzeniu Jezusa przypomina mit o dziewicy Danae, która miała dziecko z Zeusem, zatem mądrze zrobicie, jeśli uznacie, że wasz Jezus miał rodziców jak każdy inny człowiek i „przestańcie zmyślać cudowne opowieści, bo się narażacie na zarzut, że błaznujecie tak jak Grecy”².

Drugi zarzut sprowadzał się do oszczerczego „wyjaśnienia”, że chrześcijanie dlatego wierzą w dziewicze narodzenie Jezusa, bo próbują w ten sposób zatuszować

1 Tak szydził, w swojej opublikowanej w roku 177 książce, niejaki Celsus z Aleksandrii, por. Orygenes, *Przeciw Celsusowi*, 1,39.

2 Święty Justyn, *Dialog z Żydem Tryfonem*, 1,67,2.

cudzołóstwo, jakiego miała się dopuścić Maryja, a którego owocem byłby Jezus. „Mąż jej, cieśla – z największą przykrością powtarzam ten zarzut, sformułowany w ewidentnie złej woli – wypędził ją, gdy jej dowiódł cudzołóstwa, a ona, wygnana przez męża i zhańbiona tułała się po świecie, aż potajemnie urodziła Jezusa”³.

W odpowiedzi na pierwszy zarzut chrześcijanie zwracali uwagę na radykalne niepodobieństwo pogańskich mitów o dziewiczych narodzinach w stosunku do prawdy ewangelicznej o przyjściu na ten świat naszego Zbawiciela. W przekazie ewangelicznym nie ma nawet śladu bluźnierczych pomysłów o seksualnym pożądaniu kobiety przez jakiegoś boga ani o seksualnym złączeniu boga z dziewicą. Dziewicze narodziny Zbawiciela wyrażają natomiast prawdę, której nawet przecucia nie znajdziemy w mitach pogańskich: że Jezus, prawdziwy człowiek, nie jest zwyczajnym człowiekiem, ale jest Synem samego Boga, a Jego przyście do nas jest dziełem miłosiernego pochylenia się Boga nad nami, aby nas ratować na życie wieczne.

Z kolei drugi zarzut był szyty tak grubymi nićmi, że wystarczyło zwrócić uwagę na to, że wszystkie bez wyjątku ewangeliczne wzmianki o małżonkach Maryi i Józefie wskazują na idealną wręcz między nimi harmonię (por. Mt 1,18-25; 2,13-15. 19-23; Łk 2,4-7. 16. 33. 39-51). Ponadto, autorzy tego oszczerstwa albo nie wiedzieli, albo z nienawiści o tym zapomnieli, że przed Sanhedryn nigdy nie dopuszczano osób nieprawego łoża (por. Pwt 23,3), zaś Jezus został osądzony również przez ten religijny trybunał, nie tylko przez Piłata.

Kościół naucza nie tylko tego, że małżeństwo Maryi z Józefem było do końca dziewicze, ale ponadto że rodzic Jezusa, nie utraciła Ona zewnętrznych znamion dziewictwa. Ludzie pytają niekiedy zażenowani taką szczegółowością nauki Kościoła, czy naprawdę musimy w to wierzyć. Zresztą jak to możliwe, skoro urodziła Go jak każda kobieta? I dlaczego Kościół przywiązuje wagę do tego szczegółu?

Otóż faktycznie, tak właśnie Kościół wierzy. Potwierdzamy w ten sposób naszą absolutną pewność, że przez Maryję stała się rzecz jedyna w dziejach, której do końca nie pojmą nawet aniołowie: oto Syn Boży, Bóg prawdziwy, stał się człowiekiem! I to nie jest żaden symboliczny przekaz ani szyfr transcendentalny. Po prostu naprawdę Bóg prawdziwy przyjął ludzką naturę, naprawdę stał się jednym z nas! A stało się to w Maryi i przez Maryję!

3 Por. Orygenes, *Przeciw Celsusowi*, 1,28.

Przynajmniej od czasu do czasu warto odnowić w sobie zdumienie, że wejście Syna Bożego do naszej ludzkiej rodziny to coś poniekąd niemożliwego, a przecież stało się to naprawdę! Poetycki wyraz temu zdumieniu dał kiedyś święty Efreem Syryjczyk (+373): „Ogień był w łonie Panny, a nie spłonęła od jego płomienia. Obejmowała rozpalony Ogień, nosiła go bez szwanku. Płomień stał się ciałem i dał się Jej pieścić w rękach”⁴.

Już prawie dwieście lat przed Efremem dawał wyraz temu zdumieniu święty Ireneusz (+202), zwracając uwagę na to, że nie ludzie, ale sam Bóg tak chciał, żeby macierzyństwo Maryi było dziewicze: „Ponieważ miało przyjść do ludzi zbawienie, jakiego się nie spodziewali, dlatego za sprawą Boga stało się to przez narodzenie z Dziewicy, jakiego się nie spodziewano. Bóg znak dał w ten sposób i nie człowiek to sprawił”⁵.

Żyjący więcej niż tysiąc lat po Ireneuszu święty Tomasz z Akwinu (+1274) – jakby podsumowując naukę setek i tysięcy nauczycieli Kościoła, którzy żyli przed nim, napisze: Chrystus Pan chciał w taki sposób się narodzić, aby „ujawnić zarówno prawdę swego ciała, jak swoją boskość. Aby prawdę swego ciała ujawnić, rodzi się z kobiety. Lecz aby ujawnić swoją boskość, rodzi się z dziewicy”⁶.

Czy są jakieś teksty biblijne, które by sugerowały, że Maryja, rodząc Jezusa, pozostała dziewicą? Ojcowie Kościoła odwoływali się tu do słów: „Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna” (Mt 1,23). Zgodnie z porządkiem natury, jeżeli poczęła, to znaczy, że nie jest już dziewicą; tym bardziej nie jest dziewicą ta, która urodziła. Tylko w macierzyństwie Maryi miał miejsce ten cud, że jako Dziewica poczęła i jako Dziewica urodziła.

Jeszcze co najmniej trzy inne teksty biblijne dawały Ojcom okazję do kontemplowania tej prawdy, że rodząc się z Maryi, Syn Boży nie naruszył w niej nawet cielesnych znamion dziewictwa. Bardzo tylko proszę o powstrzymanie się od reakcji typu „to mnie nie przekonuje”. Wypowiedzi Ojców, jakie teraz przytoczę, są przecież owocem kontemplowania przez nich tej niepojętej prawdy, że Syn Boży raczył stać się jednym z nas.

4 Ojcowie Kościoła greccy i syryjscy, *Teksty o Matce Bożej*, tłum. Wojciech Kania, „Beatam me dicent” t.1, Niepokalanów 1981 s. 44.

5 Święty Ireneusz, *Zdemaskowanie i zabicie fałszywej wiedzy*, 3,21,6. Obszerne rozdziały 21 i 22 trzeciej księgi tego dzieła poświęcone są w całości tematowi dziewiczego macierzyństwa Maryi.

6 Święty Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, 3 q. 28 a. 2 ad 2.

Pierwszym z tych tekstów jest proroctwo Izajasza:

Zanim odczuła skurcze porodu, powiła dziecię,
zanim nadeszły jej bóle, urodziła chłopca.

Kto słyszał coś podobnego? (Iz 66,7).

Jak wiadomo, duchowe znaczenie tego typu wypowiedzi jest zazwyczaj wielopiętrowe. Fakt faktem, że już święty Ireneusz widzi w tym proroctwie zapowiedź niezwykłych narodzin Emmanuela⁷. Nawet sposobem swojego narodzenia zapowiedział On początek świata nowego, świata wolnego od grzechu i jego następstw (por. Rdz 3,16).

Drugim tekstem (a raczej całym biblijnym tematem), który dawał Ojcom okazję do kontemplowania dziewiczego macierzyństwa Maryi, było postrzeganie w Chrystusie nowego Adama, założyciela nowej ludzkości (m.in. Rz 5,12-21; 1 Kor 15,21n. 45-49). Otóż już narodziny tego nowego Adama – powie Święty Grzegorz z Nyssy (+394) – powinny się istotnie różnić od narodzin zwyczajnych grzeszników: „Ponieważ ta, która przez grzech wprowadziła do natury śmierć, została skazana na rodzenie w smutku i boleściach, ze wszech miar słuszną było rzeczą, żeby Matka Życia w radości poczęła i w radości wydała na świat”⁸.

Natomiast zupełnie niezwykłą medytację zostawił nam święty Hieronim (+419), który proroctwo z Ez 44,1-3 o skierowanej na Wschód bramie Świątyni, zamkniętej, bo przeznaczonej dla jednego tylko Pana, odnosi zarówno do Maryi, jak do Grobu, z którego On zmartwychwstał, nie naruszając jego pieczęci:

„Słowa: *Oto Dziewica pocznie i porodzi, wskazują na to, co się stało. Natomiast słowa: Urodzenie Jego któż wypowie?* (Iz 53,8 LXX), podkreślają, że nie pojmiemy sposobu Jego urodzenia. Święta Maryja, Matka i Dziewica – Dziewica przed urodzeniem i Dziewica po urodzeniu. Zdumiewam się, jak to możliwe, że Dziewiczy urodził się z Dziewicy, a po urodzeniu Dziewiczego Matka pozostała Dziewicą. Chcecie wiedzieć, jak to możliwe? *Zamknięta była brama* (Ez 44,2), a wszedł przez nią Jezus. Nie ma wątpliwości, dlaczego była zamknięta. Ten, który przeszedł przez zamkniętą bramę, nie był zjawą, nie był duchem, prawdziwie był ciałem. Sam powiedział: *Dotknijcie i przekonajcie się, bo duch nie ma ciała ani kości, jak widzicie, że Ja mam* (Łk 24,39). Miał ciało, miał kości, a brama była zamknięta. Jak przez

7 Święty Ireneusz, *Wykład nauki apostołskiej*, 54.

8 Święty Grzegorz z Nyssy, *Homilia 13 do Pieśni nad pieśniami*.

drzwi zamknięte przeszły kości i ciało? Jak wszedł Ten, którego nie widzimy, ani że wchodzi ani skąd wszedł? Nie wiesz, jak się to stało, zatem przypisz to mocy Bożej. Mocy Bożej to przypisz, że urodził się z Dziewicy, która również po porodzie pozostała Dziewicą⁹.

Myślę, że w świetle tej medytacji nawet nietaktem wobec Matki Najświętszej byłoby przekonywanie kogokolwiek, że wytrzymała ona w dziewictwie aż do końca życia. „W dramacie zbawienia nie jest tak – napisał kiedyś kard. Ratzinger – że Maryja miałaby jakąś rolę do odegrania, aby potem zejść ze sceny, jak ktoś, kogo występ się skończył”. Dokładnie tak widział rolę Maryi zwalczający jej kult cesarz Konstantyn V (740-775), znany niszczyciel świętych obrazów. Porównywał on wulgarnie Matkę Bożą do mieszka, który jest cenny tylko wtedy, kiedy jest w nim złoto. Jej znaczenie – zdaniem tego bluźniercy – skończyło się z chwilą urodzenia Syna i podobnie jak mieszek, w którym nie ma złota, stała się ona bezwartościowa. Jasno widać, że niczego ten człowiek nie rozumiał na temat miłości Boga do człowieka.

Zatem to nie przypadek, że prawdę o wiecznym dziewictwie Maryi Kościół musiał przypominać zwłaszcza w okresach zagrożenia prawdy o Chrystusie – w czasach zmagania z nestorianizmem, monofizytyzmem, monoteletyzmem oraz ikonoklazmem. Święty papież Leon Wielki takie oto zdanie umieścił w swoim liście chrystologicznym do patriarchy Konstantynopola Flawiana, jaki napisał w roku 449 w obliczu zagrożenia monofizyckiego: „Poczęty zaś został [Pan nasz Jezus Chrystus] z Ducha Świętego w łonie Dziewicy-Matki, która tak Go wydała na świat bez naruszenia swego dziewictwa, jak Go w nienaruszonym dziewictwie niegdyś poczęła”. A warto wiedzieć, że Sobór Chalcedoński uznał ten list za swój własny dokument¹⁰.

W historii upominania się Stolicy Apostolskiej o prawdę maryjną nie zabrakło nawet polskiego akcentu. Mianowicie papież Paweł IV w bulli dogmatycznej z 7 sierpnia 1555 przestrzega wiernych przed nauką szerzącego się w Polsce i Czechach socynianizmu: „[W trosce o wiernych upominamy] tych, którzy twierdzą, że nasz Zbawiciel nie został poczęty według ciała za sprawą Ducha Świętego w łonie

9 Święty Hieronim, *Homilia na Jana Ewangelistę*, 1,1-14.

10 Lista oficjalnych przypomnień Kościoła, że wierzymy w wieczne dziewictwo Matki Bożej jest długa: list papieża Hormizdasa z 26 marca 521 do cesarza Justyna, Kanon 3 Soboru Konstantynopolskiego II (553), list papieża Pelagiusza I z 3 lutego 557 do króla Childeberta, Kanon 3 Synodu Laterańskiego z roku 649 odbytego pod przewodnictwem świętego papieża Marcina I, symbol wiary Synodu Toletańskiego XVI z roku 693, itd.

świętej i zawsze Dziewicy Maryi, lecz jak inni ludzie i z nasienia Józefa, albo że Najświętsza Maryja Panna nie jest prawdziwą matką Boga i nie pozostała w nienaruszonym dziewictwie przed narodzeniem, przy narodzeniu i po narodzeniu”.

Trudno zaś się dziwić, że socynianie odrzucali kult Maryi, skoro zważyli w boskość Chrystusa Pana. Przy okazji warto przypomnieć, że gorąca dyskusja o Skład Apostolski, jaka miała miejsce w protestanckiej teologii niemieckiej w roku 1892, a która dotyczyła pytania, czy można być chrześcijaninem, nie wierząc w dziewictwo Matki Najświętszej, ogromnie wzmocniła tzw. teologię liberalną, która już wkrótce zaczęła szerzyć w tamtym środowisku zwątpienie w samego Chrystusa.

Zmierzajmy do końca. Niekiedy prawda dziewictwa Maryi budzi następującą trudność: Przecież współzycie małżeńskie zostało pomyślane przez samego Stwórcę jako znak i sposób okazywania wzajemnej miłości, i dotyczy to każdego zwyczajnego małżeństwa. W odpowiedzi na ten argument zauważmy: Związek Maryi i Józefa nie był zwyczajnym małżeństwem. Tym Dwojgu sam Ojciec Przedwieczny powierzył swojego Syna. Nie podrzucił, tylko powierzył, tzn. i Maryja i Józef świadomie podjęli posługę rodzicielską wobec Syna Bożego, kiedy raczył stać się dla nas wszystkich Synem Człowieczym. Nie da się nawet wyobrazić, że tak nieopięte powołanie było tylko jednym z wielu ich obowiązków małżeńskich. Posługa rodzicielska wobec Jezusa stała się niewątpliwie całym sensem małżeństwa Maryi i Józefa. Znakiem tego była dozgonna dziewiczość ich związku.

Święty Tomasz z Akwinu podaje cztery wielkie argumenty, dlaczego powinniśmy odrzucić wszelkie pomysły, jakoby po urodzeniu Syna Maryja podjęła współzycie małżeńskie:

1. „Uwłaczałoby to Chrystusowi, gdyby On, Jednorodzony Syn Ojca, nie był jedynym Synem Maryi jako najdoskonalszy jej Owoc”.
2. „Błąd ten wyrządza krzywdę Duchowi Świętemu, którego przybytkiem było to dziewicze łono, w którym ukształtowało się ciało Chrystusa; nie godziło się, żeby później zostało ono znieważone przez współzycie z mężem”.

3. „Uwłaczałoby to godności i świętości Matki Bożej. Okazałaby się ona największą niewdzięcznicą, gdyby nie zadowolila się takim Synem i gdyby zdecydowała się utracić przez współżycie małżeńskie to dziewictwo, które zostało w niej cudownie zachowane”
4. „Byłoby to przypisywaniem Józefowi wielkiej zuchwałości, gdyby usiłował sprofanować tę, o której od anioła wiedział, że z Ducha Świętego poczęła Boga”¹¹.

Dwunastoletni w Świątyni

Początkiem tej medytacji był następujący list: „Ksiądz nie wie, co to znaczy być matką i być może nie potrafi w pełni zrozumieć, o co mi chodzi. Jestem matką i wiem, co bym przeżywała, gdyby moje dziecko się zgubiło. Na całe trzy dni. Chyba bym postradała zmysły. I właśnie tu leży moja trudność: Jak Pan Jezus mógł wystawić swoją matkę i swego opiekuna na takie przeżycia? Przecież mógł ich uprzedzić o tym, że chce zostać w Jerozolimie!”

To, że bardzo trudne i pełne niepokoju były dla nich te trzy dni poszukiwań, jest poza dyskusją. Wynika to jasno ze słów Matki Najświętszej: „Synu, czemuś to nam uczynił? Oto ojciec twój i ja z bólem serca szukaliśmy ciebie”. Jednak nie porównujemy bólu Maryi i Józefa z rozpaczą zwykłych rodziców, kiedy im się zagubi dziecko.

Nie nam rozstrzygać, czy już wtedy Maryja i Józef byli w pełni świadomi tego, że to Dziecko jest Synem Bożym. Ale z całą pewnością wiedzieli co najmniej o tym, że nie jest to zwykłe dziecko, że jest ono najszczególniejszym darem Bożym dla ludzi. Zakładam, oczywiście, że nad tym ewangelicznym epizodem zastanawiamy się wierze, gdyż inne podejmowanie tego tematu w ogóle nie miałyby sensu.

Otóż nie zapomnijmy o cudownych okolicznościach poczęcia i narodzin tego Dziecka. Ewangelista wyraźnie zaznacza, że „Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” (Łk 2,19). Ten Dwunastolatek nie tylko nie był zwykłym dzieckiem, ale Maryja i Józef dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Ich ból, spowodowany Jego zagubieniem, musiał być specyficzny, inny niż ból zwykłych rodziców.

11 Święty Tomasz z Akwinu, *Suma teologiczna*, 3 q. 28 a. 3.

Z właściwą sobie wnikliwością zauważył to już wielki Orygenes, teolog żyjący w pierwszej połowie III wieku. Ból Maryi i Józefa porównuje on do bólu, jaki przeżywa chrześcijanin, kiedy natrafia w Piśmie Świętym na zdania jak gdyby sugerujące, że Pan Bóg jest okrutny, albo w inny sposób trudne do pogodzenia z wiarą. Chrześcijanin cierpi wówczas, bo nie umie odnaleźć Bożej mądrości, która w tych zdaniach się znajduje. Jednak przecież nie lęka się o to, że Pismo Święte się myli, ani o to, że może wiara Kościoła odbiega od Pisma Świętego. Co więcej, ból ten jest błogosławiony, bo pobudza do poszukiwań – i w końcu odnajdujemy w tych trudnych miejscach Biblii taką głębię, jakiej się nawet nie spodziewaliśmy. Podobnie – powiada Orygenes – było z bólem Maryi i Józefa: „Dlaczego Go szukali? Czyżby bali się o to, że zaginął albo zabłądził? To niemożliwe: czyż mogli się obawiać tego, że zginie Dziecko, o którym wiedzieli, że jest Panem?”

Warto zdać sobie sprawę z tego, że w naszym przeżywaniu wiary raz po raz musimy cierpieć ból podobny do tego, którego doświadczyli wówczas Matka Chrystusa i Jego dziewiczy ojciec. Przyjdzie czasem na człowieka albo na rodzinę lub jakąś inną ludzką wspólnotę doświadczenie zupełnie ponad nasze siły. Rozglądamy się z niepokojem za Chrystusem, bo sami przecież nie sprostamy tej sytuacji – a On jakby gdzieś zaginął, jakby nas zostawił samym sobie. Nie ma wówczas rzeczy ważniejszej niż to, żeby nie uwierzyć tym odczuciom. Trzeba wówczas – choćby wbrew wszystkiemu – wierzyć Chrystusowi, że nie kłamał, kiedy nam obiecywał, iż będzie z nami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Jak jednak wówczas wytłumaczyć to, że Chrystus jakby gdzieś zaginął, jakby przestał się nami interesować? Otóż jest dokładnie odwrotnie. I naprawdę w to wierzymy. To nie Chrystus zaginął, ale myśmy się zagubili. Chrystus jest w świątyni, to znaczy w samym środku mojej duszy, w miejscu przeznaczonym na mieszkanie dla Boga. I czeka na mnie, i wzywa mnie do siebie. Ja nerwowo szukam Go wokół siebie, zaczynam już posądzać Go o nielojalność, a On – zapewne z tym niepokojem, do jakiego tylko miłość jest zdolna – woła do mnie: „Człowiecze, czyż nawet utrapienia nie zdołają cię zmusić do tego, żebyś wreszcie wrócił do samego siebie, żebyś wreszcie odzyskał sam siebie? Wróć do siebie, a tam mnie znajdziesz, tam na ciebie z niecierpliwością czekam!”

Łatwo to mówić, ale dopóki nie osiągniemy celu naszej wiary, życia wiecznego, niejedną raz boleśnie odczujemy, że Chrystus jakby się nam zgubił. Nie mówię o wyraźnej niezgodzie z Bożymi przykazaniami, bo to jasne, że człowiek jest wówczas daleko od Chrystusa. Mówię o sytuacji, kiedy człowiek stara się być wierny Chrystusowi, nawet nie brak mu żarliwości, a mimo to odczuwa czasem, jakby Chrystus gdzieś się zagubił. Błogosławione to bóle, a tym bardziej błogosławione, im mniej naznaczone są grzechem, im bardziej są podobne do bólu Maryi i Józefa. Bo dzięki tym bólom dokonuje się jakieś nowe, głębsze zbliżenie do Chrystusa.

Drugie spojrzenie na zagubienie Dwunastoletniego wydaje się niemniej ważne: Opisane w Ewangeliach spotkania Syna Bożego z konkretnymi ludźmi nie są tylko opowieścią o wydarzeniach, które już minęły. Odzwierciedlają one różne rodzaje spotkań, które Chrystus Pan chce nam zaproponować również dzisiaj. Wiąż łącząca tych Dwoje nie była Ich prywatną sprawą rodzinną, ma ona znaczenie – tak jak wszystko u Chrystusa – dla naszego zbawienia. Maryja nie była zwykłą matką, która rodzi dziecko, wychowuje je i drży, kiedy zagraża mu niebezpieczeństwo. Macierzyństwo Maryi było posługą dla zbawienia nas wszystkich. Jak to pięknie nazwał papież Pius XII: jest Ona, Maryja, „przedziwną towarzyszką Chrystusa w dziele odkupienia”.

Przypatrzmy się różnym sytuacjom Jej posługi macierzyńskiej. W momencie Zwiastowania Ona nie tylko wyraziła zgodę na zostanie matką Syna Bożego. Maryja dała wówczas – i to wszystkim pokoleniom, aż do końca świata – przykład całkowitego zdania się na wolę Bożą. A matką Syna Bożego została wówczas dla nas wszystkich. Napelniona Synem Bożym idzie z posługą do Elżbiety – i odtąd po tym rozpoznajemy, iż mieszka w nas Chrystus, że staramy się, podobnie jak Ona, być wrażliwymi na cudze potrzeby.

I tak można rozważać uniwersalny sens macierzyństwa Maryi aż do samej Kalwarii, a nawet aż po Zesłanie Ducha Świętego i pierwsze lata Kościoła. Pod Krzyżem Ona przecież nie tylko cierpiała, podobnie jak cierpiałyby każda matka wobec tak strasznej krzywdy, wyrządzonej jej dziecku. Pod Krzyżem Ona uosabiała tych wszystkich, którzy nie porzucają Chrystusa nawet wówczas, kiedy On zdaje się ostatecznie przegrywać. Uosabiała Ona również tych wszystkich, którzy wiernie towarzyszą Chrystusowi cierpiącemu w najbardziej bezbronnych i bezradnych.

Jaki jest uniwersalny sens macierzyńskiego bólu Maryi, kiedy przez trzy dni razem z Józefem szuka zagubionego Jezusa? Można to wyczytać bezpośrednio z Ewangelii. Jeżeli Jezus nie wahał się narazić na tak wielki ból najbliższych sobie ludzi, znaczy to, że prawda, którą na tle tego bólu wówczas objawił, była warta tej ceny. A jest to prawda następująca: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?” Inaczej mówiąc: Bóg jest absolutnie pierwszy i wszelkie nasze układy z innymi, nawet te najważniejsze i całkowicie nas angażujące, powinniśmy umieszczać w życiodajnym słońcu woli Bożej. Wszystko, co ciemne między nami, co nie jest oświetlone tym słońcem, należy bezwzględnie wyrzucić, choćby sprawiało ból mnie i tobie. Epizod z dwunastoletnim Jezusem praktycznie obrazuje prawdę, której nauczał nas On dwadzieścia lat później, w czasie swojej publicznej działalności: „Kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14,26).

Co to znaczy „mieć w nienawiści samego siebie”, pokazał nam Pan Jezus w Ogrójcu. Cała Jego ludzka wola wzdragała się na myśl przed męką i dopiero mocą krwawej modlitwy umieścił On swoją ludzką wolę w świetle woli Przedwiecznego Ojca. Zatem „ciemne” to niekoniecznie od razu „złe” albo „skażone grzechem”. W ludzkiej woli Syna Bożego nie było najmniejszego zła ani skażenia grzechem. A jednak dopiero w straszliwym wysiłku modlitwy Chrystus otworzył do końca swoją ludzką wolę na wolę swojego Ojca.

Otóż podobnie jak w Ogrójcu pokazał nam Jezus, co to znaczy „mieć w nienawiści samego siebie”, tak wówczas, kiedy miał dwanaście lat, pokazał nam praktycznie, co to znaczy „mieć w nienawiści ojca i matkę”. W rodzicielskim stosunku niepokalanej Matki i dziewiczego ojca do Jezusa nie było na pewno żadnego zła ani skażenia grzechem. A jednak nawet tak idealnym rodzicom potrzebna była bolesna, trwająca aż trzy dni, wytężona praca ducha, żeby to rodzicielstwo otworzyło się jeszcze głębiej na wolę Bożą.

Ewangeliczne wydarzenie, o którym tu mówimy, najczęściej chyba jest przywoływane w zakonnych nowicjatach i w seminariach duchownych. Decyzja dziecka, żeby się poświęcić całkowicie służbie Bożej, sprawia niektórym rodzicom wielki ból. Niekiedy wydaje im się, że tracą w ten sposób swoje dziecko, toteż chcieliby je

odebrać Panu Bogu, próbują nawet wpłynąć na zmianę tej decyzji. Ból ten w zasadzie jest czymś naturalnym: wprawdzie zdradza jakąś ciemność, ale nie musi ona płynąć z grzechu.

Odwołanie się do bólu najświętszych Małżonków, kiedy zagubili Dwunastoletniego, często pomaga rodzicom uporać się ze swoim bólem i w końcu z radością towarzyszyć łasce powołania swojego dziecka. Kandydatom zaś do kapłaństwa lub do zakonu – jeśli zobaczą ból swoich rodziców w świetle Ewangelii o Dwunastoletnim – łatwiej zrozumieć, że są sytuacje, gdy lepiej przyczynić mimowolnie bólu swoim najbliższym niż odstąpić od woli Bożej. Zatem naprawdę wielką i potrzebną posługę wykonali dla nas wszystkich Maryja i Józef, kiedy z takim niepokojem szukali zagubionego Jezusa.

Na koniec, choćby tylko dla samego porządku, zwróćmy uwagę na aspektowość powyższych rozważań. Główny sens ewangelicznego wydarzenia wydaje się przecież leżeć gdzie indziej. Wydarzenie to podkreśla przede wszystkim prawdziwość Bożego synostwa Chrystusa. Jezus jest Synem Bożym nie dlatego, że w pewnym momencie został przez Boga uznany za syna, ale jest Synem Bożym przedwiecznie. Jest prawdziwie Synem Bożym również jako człowiek, od pierwszego momentu swojego ludzkiego istnienia. Z wydarzenia, które tu rozważamy, wynika jednoznacznie, że już jako dziecko był On prawdziwie Synem Bożym, suwerennym nawet wobec swojej Matki i swego dziewiczego ojca.

I to jest drugi istotny moment, zawarty w wydarzeniu z dwunastoletnim Jezusem. Ewangelia wyraźnie, choć dyskretnie, stawia problem następujący: Jak to możliwe, że Syn Boży był poddany zwykłym istotom stworzonym, choćby nawet tak niewyobrażalnie świętym, jak Maryja i Józef? I od razu w samym opisie wydarzenia znajdujemy odpowiedź na to pytanie: Poddanie Jezusa rodzicom w niczym nie naruszało Jego suwerenności Syna Bożego. Był On bowiem poddany rodzicom nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że sam chciał być poddany. Te treści wydają się głównym sensem ewangelicznego opowiadania o zgubieniu Pana Jezusa w Świątyni.

Później Chrystus Pan z podobną jednoznacznością podkreślał swoją suwerenność wobec czekającej Go męki i śmierci. Utrapienia i śmierć są nieuniknioną częścią naszej ludzkiej doli, ale ta nieuchronność zupełnie nie odnosiła się do Chrystusa.

On cierpiał i umarł nie dlatego, że musiał umrzeć, ale dlatego, że chciał przyjąć na siebie całe nasze poníženie i poświęcić się za nas bez reszty: „Życie swoje oddaję za owce... Nikt Mi go nie zabiera, lecz Ja od siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać” (J 10,15.18).

„Błogosławiona jesteś między niewiastami!”

Niezwykłe treści kryją w sobie te pozornie proste słowa, jakie Elżbieta wypowiedziała do Maryi: „Błogosławiona jesteś między niewiastami!” (Łk 1,42). Dwukrotnie były już one wypowiedziane w Starym Testamencie, oba razy w niezwykle znamiennych okolicznościach. Mianowicie w jednym i drugim przypadku tymi słowami uczczone zostały kobiety, które miały odwagę z narażeniem własnego życia zabić wodza śmiertelnie zagrażających ludowi Bożemu wojsk nieprzyjacielskich.

Po raz pierwszy na słowa te – błogosławiona jesteś między niewiastami! – zasłużyła dzielna Jael, która zważyła do swojego namiotu Sisere, wodza wojsk kananejskich, a kiedy ten zasnął, zmiażdżyła mu głowę palem od namiotu. Czytamy w Księdze Sędziów, że Debora i Barak śpiewali potem: „Niech Jael będzie błogosławiona wśród niewiast, wśród niewiast żyjących w namiotach niech będzie błogosławiona” (Sdz 5,24).

Drugi raz na podobne słowa zasłużyła sobie dzielna Judyta. Oblężone przez nieprzyjaciół miasto już padało z wycieńczenia i wszyscy utracili nadzieję na jego ocalenie. Wtedy Judyta uzbroiła się wiarą w moc Bożą, udało się jej dotrzeć do wodza wojsk nieprzyjacielskich, Holofernesa, i wróciła do miasta z jego głową w worku. Ozjasz, jeden z przywódców oblężonego miasta, błogosławił wówczas Judytę: „Błogosławiona jesteś, córko, przez Boga Najwyższego spomiędzy wszystkich niewiast na ziemi” (Jdt 13,18).

Po raz trzeci te słowa – błogosławiona jesteś między niewiastami – wypowiedziane zostały właśnie do Maryi. Dlaczego właśnie do Niej – do cichej i skromnej Dziewczyny z Nazaretu – skierowano słowa, na które dotąd zasłużyły sobie jedynie dzielna Jael i dzielna Judyta, które uderzeniem w głowę uśmierciły wodza nieprzyjaciół

i uchroniły w ten sposób lud Boży od śmiertelnego zagrożenia? Mimo woli nasuwa się pytanie: Gdzież ten wódz nieprzyjaciół, przed którym obroniła nas Maryja, skoro Elżbieta błogosławi Ją tymi samymi słowami, na które zasłużyła pogromczyni Sisery, Jael, oraz Judyta, która zadała śmiertelny cios Holofernesowi?

Otóż Maryję Bóg powołał do walki już nie z jakimś tam Siserą czy Holofernesem. Maryję Bóg postawił przeciwko temu naszemu nieprzyjacielowi, który doprowadził do grzechu naszych prarodziców. To właśnie o Niej mówi proroctwo, jakie znajduje się niemal na samym początku Pisma Świętego, w trzecim rozdziale Księgi Rodzaju, proroctwo wypowiedziane przeciwko szatanowi: „Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a Niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje, a Potomstwo Jej: Ono zmiążdży ci głowę, a ty zmiążdżysz mu piętę” (Rdz 3,15).

Warto przypomnieć, że również sam Pan Jezus wskazał na swoją Matkę, że to właśnie Ona jest tą Niewiastą, która została obiecana nam zaraz po upadku naszych prarodziców – On sam zaś jest tym Potomkiem Niewiasty, który miał zmiążdżyć, i rzeczywiście zmiążdżył, głowę naszemu największemu i ostatecznemu nieprzyjacielowi. To właśnie dlatego w dwóch kluczowych momentach swojego życia – mianowicie w Kanie Galilejskiej, na samym początku swojej publicznej działalności, oraz u jej końca, kiedy był już przybity do krzyża – Jezus mówi do swojej Matki: „Niewiasto”. W ustach innego syna i w odniesieniu do innej matki to słowo mogłoby nawet wyrażać brak szacunku. Ale Maryja jest Niewiastą w najwyższym tego słowa znaczeniu, błogosławioną między niewiastami, wybraną przez Boga do walki przeciwko Wężowi starodawnemu, naszemu największemu wrogowi. Wyraz „Niewiasta”, wypowiedziany przez Jezusa do własnej Matki, wyraża jedyne w dziejach świata powołanie, do jakiego Maryja została wezwana.

Jezus nie jest zwyczajnym człowiekiem. Jest On Synem Bożym, który przyjął naturę ludzką dla naszego zbawienia. Natomiast Maryja jest jedynym w dziejach świata zwyczajnym człowiekiem, której misja ma realne znaczenie dla całej ludzkości, dla ludzi wszystkich pokoleń i dla każdego poszczególnego człowieka. Z Niej urodził się Syn Boży Jezus Chrystus, Zbawiciel wszystkich ludzi. Ona była pierwszą wierzącą w Niego i jedyną, która wytrwała w wierze nawet w Wielki Piątek. Była nie tylko jedynym człowiekiem, towarzyszącym Jezusowi przez cały Jego historyczny

pobyt na tej ziemi. Została ponadto wybrana i przeznaczona na najszczególniejszą współpracowniczkę dokonanego przez Niego dzieła odkupienia. W sensie najdosłowniejszym była Ona tą Niewiastą, której Potomek zmiążdżył łeb Smokowi.

Wyraz „niewiasta” jest to nazwa pospolita, odnosząca się do połowy ludzkości. Wiele daje do myślenia to, że właśnie tę nazwę wybrał Bóg na imię Matki swojego Syna. Znamy jeszcze tylko jeden przypadek analogiczny. Mianowicie Pan Jezus nazywał siebie Synem Człowieczym. W sensie zwyczajnym każdy z nas jest synem człowieczym albo córką człowieczą. Ale tę nazwę pospolitą Jezus Chrystus wybrał sobie na imię. Bo On jest człowiekiem w najpełniejszym słowa znaczeniu. Nie tylko w tym sensie, że Jego człowieczeństwo w żaden sposób nie było zdeformowane przez grzech. On jest nowym Adamem, od którego pochodzi nowa ludzkość, na którego podobieństwo kształtowani są ci wszyscy, którzy będą zbawieni. Dlatego pospolity wyraz „syn człowieczy” szczególnie nadawał się na Jego imię.

Analogicznie jest z pospolitym wyrazem „niewiasta”, którego Pan Jezus używał w charakterze imienia w odniesieniu do swojej Matki, a pod którym to imieniem została Ona nam obiecana zaraz po upadku pierwszych rodziców. Imię to niewątpliwie nawiązuje do tak częstej w Piśmie Świętym kobiecej symboliki ludu Bożego. Nasze przymierze z Bogiem wielokrotnie jest przedstawiane w Piśmie Świętym jako małżeństwo Boga ze swoim ludem, gdzie lud jest ukochaną małżonką Boga. Ukochaną, choć nieraz grzeszną i niewierną.

Pod tym właśnie względem Maryja istotnie różni się od ludu Bożego w jego obecnej sytuacji. Ona, bezgrzeszna i niepokalana, bez reszty oddana Bogu – my, niestety, wciąż jeszcze grzeszni i nie do końca kochający Boga. Ale dlatego właśnie, że Ona przeszła przez życie, kochając Boga naprawdę ze wszystkich sił i z całego serca, nawet bez cienia grzechu, swoją osobą zapowiada Ona ostateczne przeznaczenie nas wszystkich, całego ludu Bożego. W życiu wiecznym dokładnie taką – niepokalaną i bezgrzeszną, doskonale i bez reszty kochającą Boga – będzie ta Niewiasta, którą jesteście my wszyscy jako lud Boży.

Przywołajmy jeszcze wyśpiewany przez Nią w domu Zachariasza i Elżbiety hymn *Magnificat*. Maryja aż dwa razy mówi tam o swoim wywyższeniu: „Bo wejrzał Pan

na uniżenie swojej służebnicy”. I nieco dalej: „Okazał moc swego ramienia. (...) strącił władców z tronu, a wywyższył pokornych”. Otóż wszystko, co dotyczy Maryi, jest jedyne w swoim rodzaju. Ona jest jedyną spośród miliardów ludzi, którą Bóg wybrał na matkę swojego Syna. I tylko w stosunku do jednej jedynej Maryi pospolity wyraz „niewiasta” jest imieniem własnym.

Jedyne w swoim rodzaju jest również jej wywyższenie. Ona jest absolutnie pierwszą spośród odkupionych. Nawet najwięksi święci dopiero czekają na wskrzeszenie i uwielbienie swoich ciał. Maryja już teraz w pełni uczestniczy w zmartwychwstaniu swojego Syna Jezusa Chrystusa. Już teraz również jej ciało jest przebóstwione. Bo nie godziło się, ażeby to ciało, z którego urodził się Syn Boży, doznało poniżenia, jakie jest skutkiem naszej grzeszności. Cieszymy się tym wywyższeniem Maryi. Bo Ona, Matka Syna Bożego, jest również Matką naszą. Jej wywyższenie jest znakiem, że nas wszystkich Bóg szczególnie umiłował. Jest ono także gwarancją, że my wszyscy dostąpimy kiedyś takiego wywyższenia, jakiego „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie może ogarnąć” (1 Kor 2,9).

„Któż jest moją matką?”

Wciąż na nowo musimy uprzytamniać sobie tę niepojętą tajemnicę, że Bóg Prawdziwy, Jednorodzony Syn Przedwiecznego Ojca, Bóg Nieskończony, stał się konkretnym człowiekiem. Stał się nie człowiekiem w ogóle, ale konkretnym człowiekiem – który urodził się w konkretnym czasie historycznym, w konkretnym kraju, w konkretnym narodzie, w konkretnej rodzinie.

To, że jedna z nas, Maryja, jako jedna jedyna z miliardów kobiet była Jego matką – jakoś się do tego przyzwyczailiśmy. Ale warto sobie ponadto uświadomić, że kiedy Syn Boży przyjął ludzką naturę i stał się konkretnym człowiekiem, różni konkretni ludzie byli Jego ciotkami i wujkami, inni konkretni ludzie byli Jego kuzynami i kuzynkami. Bo kiedy Syn Boży przyjął ludzką naturę, wszedł w ludzkie życie w całej jego konkretności.

Niektórych z nas może ogarnąć zazdrość: Jak by się chciało być kuzynem lub kuzynką Pana Jezusa, choćby nawet czwartego lub piątego stopnia! Odpowiedzią na

odczucia takiej świętej zazdrości są słowa Pana Jezusa: „Moją matką i moimi braćmi są ci, którzy słuchają słowa Bożego i wypełniają je”. Jak to? – pytamy zdumieni. Czy to możliwe, że każdy z nas może się stać bratem lub siostrą Pana Jezusa? Tak, każdy – jeśli tylko na co dzień wsłuchuje się w słowo Boże i stara się je wypełniać.

Zauważmy, Pan Jezus nie powiedział: każdy człowiek jest mi bratem i siostrą. On powiedział: bratem i siostrą jest mi każdy, kto słucha słowa Bożego i wypełnia je. Bo jeśli ktoś nie przejmuje się wolą Bożą, a przykazania Boże zachowuje tylko wtedy, kiedy jest to wygodne – taki człowiek choćby był ochrzczony i uważał się za chrześcijanina, „ma imię, że żyje, a jest umarły” (Ap 3,1).

Pan Jezus powiedział więcej: że czyniąc wolę Ojca w niebie, można stać Mu się matką. Już Ojcowie Kościoła pytali zdumieni, co znaczy to tajemnicze pouczenie: Przecież Jego Matką jest niepokalana i dziewicza Maryja! Przecież Boże macierzyństwo Maryi było posługą absolutnie jedyną! Czyżby również ktoś inny mógł się stać Jego matką? Czyżby nawet mężczyzna? Wychodząc od wspomnianych przed chwilą słów Pana Jezusa, Ojcowie Kościoła mówili o macierzyństwie Kościoła oraz o różnicy między wiarą niedojrzałą i dojrzałą. Każdy, kto pełni wolę Bożą jest bratem lub siostrą Pana Jezusa, ale nie każdy jest Jego matką. Matką Chrystusa są tylko ci, którzy realnie przyczyniają się do tego, że On rodzi się w duszach coraz to nowych ludzi.

Głęboko wyjaśnia to święty papież Grzegorz Wielki: „Nic w tym dziwnego, iż ten, kto czyni wolę Ojca, jest nazwany bratem i siostrą Pana – słowa te dotyczą obu płci powołanych do wiary. Dziwne jest jednak bardzo, iż Pan nazywa kogoś swoją matką. Braćmi raczył On nazwać swoich uczniów: «Idźcie, powiedzcie braciom moim» (Mt 28,10). Bratem Pana może stać się ten, kto przyjmie wiarę. Jak jednak można stać się Jego matką? Ten, kto przez wiarę staje się bratem i siostrą Chrystusa, stanie się Jego matką, kiedy będzie Go głosił innym. Rodzi Pana, kto wlewa Go w serce słuchającego. Staje się Jego matką, jeśli swoim nauczaniem rodzi miłość Pana w sercu bliźniego” (*Homilie na Ewangelie* 3,2).

Przy okazji wydobywali Ojcowie z listów apostoelskich te sformułowania, w których Apostołowie przypisują sobie udział w macierzyństwie Kościoła. „Dzieci

moje – pisał Apostoł Paweł – oto ponownie w bólach was rodzę, dopóki Chrystus się w was nie ukształtuje” (Ga 4,19). Bóle rodzenia są sytuacją specyficzną kobiecą, a Paweł sobie je przypisuje. A na innym miejscu pisze Apostoł: „stanęliśmy pośród was jak matka troskliwie opiekująca się swymi dziećmi” (1 Tes 2,7). I jak mamusia stara się Apostoł dostosować do poziomu tych, którzy w Kościele są niemowlętami: „Mleko wam dałem, a nie pokarm stały, boście byli niemocni” (1 Kor 3,2).

Zatem słowa Pana Jezusa o tym, kto jest Jego bratem i siostrą i matką, niech skłonią nas do postawienia sobie dwóch pytań: Czy Chrystus może o mnie powiedzieć, że ja jestem Jego bratem lub siostrą? I czy ja uczestniczę już jakoś w macierzyństwie Kościoła? Czy staram się przyczynić do tego, żeby Chrystus Pan rodził się również w innych ludziach?

Przesłanie to niewątpliwie rzuca ważne światło na Osobę Maryi. Przecież postawy duchowe, które Jezus tu wysławia i błogosławi, Maryję cechowały najszczególniej! Przecież Ona powiedziała swoje „tak” woli Bożej w najbardziej przełomowym momencie ludzkich dziejów (Łk 1,38), przecież to o Niej powiedziano: „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła!” (Łk 1,45) Zatem obrazilibyśmy ciężko i Matkę, i Syna, gdybyśmy w ślad za bluźniercami chcieli powtarzać, iż Ona była Mu Matką tylko cieleśnie.

Ewangelia nie pozostawia wątpliwości, że również swoim duchem otworzyła się Ona doskonale na tajemnicę macierzyństwa, której Bóg dokonywał w Jej ciele. Zwięźle, powołując się zresztą na Ojców Kościoła, formułuje to Jan Paweł II w swojej encyklice maryjnej (nr 13): „pierwej poczęła duchem niż ciałem – przez wiarę”. Tylko ktoś ogarnięty antymaryjną fobią może słowa Jezusa: „a któż jest moją matką?” przywoływać na świadectwo, jakoby Jezus chciał przeciwstawiać swoją Matkę i „prawdziwie wierzących”.

Matka Boża pod krzyżem – pierwowzór Kościoła

Soborowa *Konstytucja dogmatyczna o Kościele* (KK) podaje dwie formuły, w jakim sensie Maryja jest pierwowzorem Kościoła. Po pierwsze, „Bogurodzica jest pierwowzorem Kościoła w porządku wiary, miłości i doskonałego zjednoczenia z Chrystusem” (KK 63). Po wtóre, przez swoje dziewicze macierzyństwo: „w tajemnicy

bowiem Kościoła, który również sam słusznie nazywany jest matką i dziewicą, Błogosławiona Dziewica Maryja przodowała najdoskonalej i osobiwie, stając się wzorem dziewicy i zarazem matki” (*tamże*).

Obie formuły doskonale z sobą harmonizują. Bo z jednej strony: Jeżeli życiowe powołanie Maryi wyczerpywało się w Jej dziewiczym macierzyństwie, to spełniała je ona w doskonałej wierze i miłości. Przecież była ona Matką Pana nie tylko w sensie biologicznym, psychicznym i społecznym, ale całościowo i najgłębiej jak to się da pomyśleć. Z drugiej strony: Każda wiara i miłość, jaka ma miejsce w Kościele, intensyfikuje macierzyńską posługę Kościoła. Wiara i miłość poszczególnych członków uzdalnia bowiem cały Kościół do tego, że rodzi on dziewiczo (bo z Ducha Świętego) coraz to nowych członków i troszczy się o podtrzymanie w nich życia Bożego.

Być Matką Odkupiciela to najgłębszy sposób ludzkiego uczestnictwa w dziele odkupienia. Warto to sobie uprzytomnić, jeśli chce się należycie docenić tę okoliczność, że do macierzyńskiej posługi wobec Chrystusa rodzącego się i żyjącego w duszach ludzkich powołany jest cały Kościół, wszyscy wierzący.

Żeby pełniej zdać sobie sprawę, na czym polega macierzyństwo Kościoła, a więc poniekąd nas wszystkich, wobec Chrystusa, pragnącego przyjść do każdego poszczególnego człowieka, aby go zbawić, trzeba przypatrzeć się dokładniej macierzyństwu Bogurodzicy. Zauważmy przede wszystkim, że dokonywało się ono historycznie, w konkretnych sytuacjach; niektóre z nich – poczęcie Syna Bożego, Jego narodzenie, śmierć na krzyżu i zmartwychwstanie – mają przełomowe znaczenie w historii zbawienia.

Tutaj postawmy sobie pytanie, w jaki sposób Maryja spełniła swoją macierzyńską posługę pod krzyżem swojego Syna. Pomoże to nam odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób Kościół naśladuje i powinien naśladować Matkę Bolesną.

Współtowarzyszka Odkupiciela

Znakomity mariolog polski z XVII wieku, Justyn Zapartowicz z Miechowa (+1649), autor monumentalnego i kilkakrotnie wznawianego komentarza do Litanii

Loretańskiej, opisując Matkę Bolesną, kontrastuje ją z jednej strony z Córkami Jerozolimskimi (Łk 23,28nn), z drugiej strony – z Matką Machabejską (2 Mch 7)¹².

Płacz Córek Jerozolimskich nad Jezusem, skazanym na śmierć i dźwigającym krzyż, to płacz ludzi dobrej woli, ale zdezorientowanych. Widziały one w Nim jedynie niewinnie mordowanego człowieka i nawet nie przeczuwały tajemnicy Bożej, jaka się wówczas dokonywała. Nie rozumiały, że ten Skazaniec umiera za nasze grzechy i z powodu naszych grzechów. Nie wiedziały, że płacz nad Jego męką jest bólem bezpłodnym, jeśli nie jest zarazem płaczem nad swoimi i swoich bliskich grzechami, które do tej męki doprowadziły. Współcierpienie Matki Bolesnej wolne było od tych niedoskonałości.

Zarazem Maryja pod Krzyżem różni się od Matki Machabejskiej. Tamta musi całym wysiłkiem woli i mocą z góry trzymać w ryzach macierzyńskie uczucia, ażeby spełnić swoją istotną macierzyńską posługę: pomóc synom wytrwać przy Bogu w momencie ich męczeństwa, dodać im otuchy i odwagi. Dlatego na twarzy Matki Machabejskiej nie widać płaczu. Jest to twarz kobiety, która przewycięża samą siebie, gdyż rozumie, że złożyć Bogu ofiarę nawet z własnych synów jest jej bolesnym obowiązkiem.

Zupełnie inaczej Maryja pod Krzyżem. Ona jest nie tylko Matką, ale również Dziewicą. Nie ma w Niej tego rozdziału, o którym wspomina Apostoł Paweł w 1 Kor 7,34, rozdziału między przywiązaniem do najbliższych a służbą Bożą. Chociaż Matka Machabejska potrafiła całkowicie opanować swoje ziemskie uczucia i zachować się bez reszty po Bożemu, to przecież Matka Bolesna była tym od niej wyższa, że jej macierzyńskie uczucia nie miały w sobie żadnej skazy, którą musiałaby dopiero przewyciężać.

Dlatego pobożność chrześcijańska nie waha się dostrzegać łez na Jej obliczu. Są to bowiem łzy czyste, łzy należącej bez reszty do Boga Niepokalanej. Płacząc nad swoim Synem, Ona płakała nad Bogiem, wzgardzonym i zabijanym przez ludzi.

Jezus ostrzegał kiedyś, że „kto by kochał syna lub córkę więcej niż Mnie, nie jest Mnie godzien” (Mt 10, 37). Można jednak – sądząc, że kochamy Jezusa – kochać

¹² Iustinus Miechoviensis OP, *Discursus praedicabiles super Litaniis Lauretanis*, t. 2, Neapoli 1857 s.388nn.

jedynie skrojone na swoją małą miarę Jego wyobrażenie. Tak Go kochały Córki Jeruzolimskie. Zapytajmy zatem, dlaczego w Matce Bolesnej nie było tego rozdziału między Synem i własnym Jego wyobrażeniem. Czemu należy zawdzięczać to, że Jej obraz Syna był prawdziwy, że łzy Jej były czyste?

Przecież to oczywiste: Matka Bolesna była doskonale zjednoczona ze swoim ukrzyżowanym Synem. Syn Boży i Jego Matka byli jakby „dwoje w jednym ciele”, Ona była poniekąd Jego własnym ciałem. Tradycyjna pobożność pasyjna nigdy nie miała co do tego wątpliwości. *Vulnera Christi patientis erant vulnera Matris dolentis* – „Rany cierpiącego Chrystusa były ranami Matki Bolesnej”. Niekiedy można się nawet spotkać z twierdzeniem, że podobnie jak Ojciec i Syn są jednym Bogiem, tak Syn i Matka byli na Kalwarii jednym ciałem¹³.

Nie lekceważmy tej intuicji, bo rzuca ona głębokie światło na Pawłową ideę dopełniania tego, czego brakuje męce Chrystusa. Tylko w takim stopniu możemy dopełniać braki udręk Chrystusa, w jakim jesteśmy członkami Jego Ciała. Otóż Maryja pod Krzyżem była całkowicie i bez reszty zjednoczona ze swoim Synem, toteż jej współuczestnictwo w dziele odkupienia było zupełnie szczególne¹⁴. Aż do skończenia świata będzie Ona idealnym wzorem, realnie promieniującym na wszystkich, którzy „na swoim ciele dopełniają braki udręk Chrystusa, dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1,24).

Liturgiczna modlitwa na dzień Matki Bożej Bolesnej (15 września) wyraża prośbę, żeby Kościół mógł wraz z Matką Cierpiącą uczestniczyć w męce Chrystusa i w ten sposób zasłużył sobie na udział w Jego zmartwychwstaniu¹⁵. Również takie wezwanie wyraża wola Ukrzyżowanego, aby Jan – jeden z tych, których spodobało się Bogu uczynić fundamentem swojego Kościoła – wziął Ją za Matkę i był Jej synem (J 19,26n).

13 Iustinus Miechoviensis, *dz. cyt.*, s.393.

14 „Błogosławiona Dziewica szła naprzód w pielgrzymce wiary i utrzymała wiernie swe zjednoczenie z Synem aż do krzyża, przy którym nie bez postanowienia Bożego stanęła (por. J 19,25), najgłębiej ze swym Jednorodnym współcierpiała i z ofiarą Jego złączyła się matczynym duchem, z miłością godząc się, aby doznała ofiarniczego wyniszczenia żertwa z Niej narodzona, a wreszcie przez tegoż Jezusa Chrystusa, umierającego na krzyżu oddana została jako matka uczniowi tymi słowami: «Niewiasto, oto syn twój» (por. J 19,26-27)” (KK 58).

15 „Boże, Ty sprawiłeś, że obok Twojego Syna wywyższonego na krzyżu stała współcierpiąca Matka, daj, aby Twój Kościół uczestniczył razem z Maryją w męce Chrystusa i zasłużył na udział w Jego zmartwychwstaniu”.

Jak widzimy, obraz Matki Bolesnej w pobożności katolickiej nie ma nic wspólnego z sentymentalnym obrazem płaczącej, bezsilnie patrzącej na tragedię swojego Syna. Ani z obrazem stoika, który, skoro nie może obronić przed prześladowaniem najbliższej sobie osoby, stara się przynajmniej godnie zachować. Bezsilność Maryi na Kalwarii dotyczyła jedynie wydarzeń zewnętrznych. W sferze wewnętrznej Maryja dokonała wówczas wielkiej duchowej pracy współuczestnictwa w cierpieniach swojego Syna, Odkupiciela wszystkich. A ponieważ do uczestnictwa w cierpieniach Chrystusa powołany jest cały Kościół i każdy wierzący poszczególnie, Matka Bolesna jest tutaj dla nas niedościgłym wzorem.

Macierzyńska obecność Kościoła w naszym umieraniu dla grzechu

Przenieśmy nasze rozważanie na obraz innego ukrzyżowania, o którym często wspomina Apostoł Paweł: „To wiedzcie, że dla zniszczenia grzesznego ciała dawny nasz człowiek został razem z Nim ukrzyżowany po to, byśmy już więcej nie byli w niewoli grzechu” (Rz 6,6); „A ci, którzy należą do Chrystusa Jezusa, ukrzyżowali ciało swoje z jego namiętnościami i pożądaniem” (Ga 5,24). Nie jest naszym zadaniem badanie modyfikacji tego obrazu: zawsze w gruncie rzeczy chodzi tu o śmierć dla grzechu, choć czasem mówi się o śmierci dla Prawa (Ga 2,19), albo dla świata (Ga 6,14). W tym ostatnim przypadku Krzyż staje się jakby granicą dzielącą stary świat od świata Bożego.

Otóż chociaż razem z Chrystusem zostaliśmy ukrzyżowani dla grzechu, przecież ukrzyżowanie przez chrzest różni się głęboko od ukrzyżowania Chrystusa. Zbawiciel dał się ukrzyżować, bo dał się przygnieść grzechowi świata. Ukrzyżowanie dla grzechu jest dziełem łaski, ze wszech miar pożądanym. Dlatego Chrystus Pan pozwolił się ukrzyżować ludziom starego świata, aby w każdym z nas mógł zostać ukrzyżowany stary człowiek. Po to Syn Boży poddał się haniebnemu ukrzyżowaniu, aby nam wszystkim umożliwić ukrzyżowanie, które przywraca godność i wyzwala¹⁶.

16 Por. „Ciągle bowiem jesteśmy wydawani na śmierć z powodu Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym śmiertelnym ciele” (2 Kor 4,11). Por. ponadto wezwanie ostatniego soboru do misjonarzy: „Misjonarz (...) w duchu ofiary niech nosi w sobie konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w tych, do których się go posyła; w swej gorliwości o dusze niech chętnie ofiaruje wszystko, a nawet wyda samego siebie” (DM 25).

Toteż Matka Kościół uczestniczy w tym naszym ukrzyżowaniu głęboko inaczej niż Maryja pod Krzyżem. Ona gorąco pragnie tego ukrzyżowania, do niego się przyczynia i raduje się z niego, gdyż dzięki niemu stajemy się dziećmi Bożymi, uczestnikami Bożej świętości i Chrystusowego zmartwychwstania.

Zaczęło się to nasze błogosławione umieranie w dniu naszego chrztu, który otrzymaliśmy w Kościele i dzięki Kościołowi. Później Matka Kościół stale troszczy się o to, żeby to ukrzyżowanie w nas starego człowieka zostało doprowadzone do końca. Troszczy się zaś nie tylko poprzez stałe, aż do końca naszego doczesnego życia, pouczanie nas w wierze i obowiązkach wiary oraz posługę sakramentów. Troszczy się ponadto poprzez nieustanną modlitwę za swoje dzieci, poprzez dostarczanie nam wzorów prawdziwie chrześcijańskiego postępowania oraz umacnianie i dodawanie zachęty do wytrwania w godzinach próby lub nawet duchowego załamania, jakie może przyjść na każdego z nas.

Jeśli pamiętać, że udział w macierzyństwie Kościoła jest cechą wiary dojrzałej, do której jesteśmy wezwani wszyscy, powyższe troski (o siebie wzajemnie) są poniekąd obowiązkiem wszystkich ochrzczonych. Owszem, są w Kościele – i Bogu niech będą za to dzięki – pasterze, przeznaczeni szczególnie na nauczycieli wiary, ale zarazem przecież nic nie zastąpi tego pouczenia w wierze, jakie możemy i powinniśmy dawać sobie wzajemnie, a zwłaszcza naszym najbliższym. Owszem, jest w Kościele – i Bogu niech będą za to dzięki – liturgia godzin, którą biskupi i księża odprowadzają niejako z urzędu za powierzonych sobie wiernych i za cały lud Boży. Zarazem jednak nic nie zastąpi tej modlitwy za innych, zwłaszcza za siebie bliższych, jaką wszyscy winniśmy sobie wzajemnie.

O obowiązku tej ostatniej w prostych słowach pisał święty Tomasz z Akwinu: „Modlić się powinniśmy o to, czego powinniśmy pragnąć. Otóż powinniśmy pragnąć dobra nie tylko dla siebie, ale również dla innych: to bowiem składa się na treść miłości, jaką winniśmy okazywać innym. Toteż miłość tego wymaga, abyśmy się modlili za innych”¹⁷.

O ważności i konieczności modlitwy za siebie wzajemnie dramatycznie pisał – było to w czasach drugiej wojny światowej – Karol Ludwik Koniński: „Iluz Polaków

17 *Suma teologiczna*, 2-2 q.83 a.7.

modli się aby utkać niewidzialny płaszcz telepatycznej pomocy moralnej Polakom zabijanym, wygnanym, więzionym, poniżanym?!... Iluż nas umie modlić się? Nie wierzę, aby naród pod tak bezprzykładnym gniosem ucisku morderczego umieszczony mógł przetrwać szlachetnie swoją noc czarną, jeżeli nie splecie się modlitwą rzetelną w organizm duchowy, nie rozdarty już niczym”¹⁸.

Ilekcóż staramy się usunąć, a przynajmniej ulżyć cierpień bliźniemu albo innego zła, jakie go spotkało, ilekcóż staramy mu się pomóc w cierpliwym znoszeniu tego zła, którego usunąć się nie da, ilekcóż dodajemy sił bliźniemu, aby odrzucił pokusę do grzechu, ilekcóż przyczyniamy się do czyjegóż podniesienia się z grzechu – tyle razy w sposób szczególny jesteśmy uczestnikami macierzyństwa Kościoła.

Bez matczynej pomocy Kościoła żaden męczennik nie zdołałby zwyciężyć w walce, do jakiej został wezwany. Czytamy w *Dziejach Apostolskich*, że kiedy Apostoł Piotr został uwięziony i przygotowywał się do śmierci męczeńskiej – co prawda, ostatecznie Bóg wtedy jeszcze męczeństwa od niego nie zażądał – „Kościoł modlił się za niego nieustannie do Boga” (Dz 12,5). Dzieje Kościoła przekazują bezmiar świadectw, jak wiele znaczyła otucha i zachęta do wytrwania, którą męczennicy otrzymywali od Kościoła. Niektórzy z nich ulegliby słabości i zaparli się Chrystusa, gdyby w samym momencie kaźni współbracia nie dodaliby im odwagi. Przejmujące świadectwa na ten temat można znaleźć choćby w *Historii kościelnej* Euzebiusza z Cezarei (np. 5,1,35 i 45; 6,41,22n).

Dodajmy, że pomoc, jaką męczennicy otrzymują – i mają do niej prawo – od Kościoła, nie ogranicza się tylko do tych, którzy imiennie cierpią za Chrystusa. Winna rozciągnąć się na wszystkich, którzy cierpią dla sprawiedliwości. Dodawanie im otuchy jest obowiązkiem Kościoła nawet wówczas, gdyby im przyszło za to drogo zapłacić. Również w ten sposób Kościoł realizuje swoje podobieństwo do Matki Pana, współcierpiącej ze swoim ukrzyżowanym Synem.

Ból Matki Kościoła z powodu tych, co krzyżują Syna Bożego

Nowy Testament zna jeszcze jedno ukrzyżowanie Chrystusa, najbardziej tragiczne. Mianowicie ochrzczeni wielcy grzesznicy i odstępcy od wiary „krzyżują w sobie Syna Bożego i wystawiają Go na pośmiewisko” (Hbr 6,6). Problem jest delikatny

18 Karol Ludwik Koniński, *Nox atra*, Warszawa 1961 s.176.

i drażliwy. Kościół od kilku już wieków oskarżany jest o nietolerancję wobec ludzi podejmujących niezgodne z Jego nauką wybory moralne i religijne. Stąd nieraz się zdarza, że współcześni chrześcijanie, nawet przez nikogo nie pytani, krzyczą głośno, że wiara albo niewiara, a nawet taki czy inny styl życia, to prywatna sprawa każdego człowieka.

A przecież relatywizm nie jest konieczną konsekwencją tolerancji. Owszem, na płaszczyźnie prawa, poglądy i postawy życiowe każdego z nas (jak długo nie godzą w interesy innych) są i powinny być moją lub twoją sprawą prywatną. Zarazem przecież żadne prawo ani obyczaj społeczny nie mogą zabronić mnie ani tobie cierpieć z powodu tych, którzy odchodzą od Chrystusa albo układają sobie życie w poprzek Bożych przykazań. Żadne też prawo nie może mi zakazać powiedzieć mojemu bratu, przyjacielowi lub znajomemu, który utracił wiarę, żeby się zastanowił, czy przypadkiem nie stało się to w wyniku jakichś jego zaniedbań lub nawet oczywistych grzechów.

Jeśli prawdą jest, że człowiek może krzyżować w sobie Chrystusa, Matka Kościół nie jest w stanie patrzeć na to obojętnie. Ojcowie Kościoła szczególnie chętnie poruszali ten temat w komentarzach i kazaniach na temat wskrzeszenia młodzieńca z Nain. Duchową śmierć każdego grzesznika Matka Kościół opłakuje tak, jakby on był jedynakiem¹⁹, ponieważ dla Kościoła każdy poszczególny człowiek jest kimś jedynym i nie do zastąpienia.

Człowiek może również krzyżować Chrystusa w innych. Swojemu prześladowcy, Szawłowi, Pan Jezus powiedział to nawet bezpośrednio: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?” (Dz 9,4). Niestety, można krzyżować Chrystusa Pana w innych w sposób bardziej jeszcze złowieszczy niż prześladowcy zabijający męczenników, mianowicie poprzez niszczenie wiary w Niego w sercach maluczkich. Otóż o stosunku Pana Jezusa do swoich prześladowców jedno wiemy z absolutną pewnością: że On niezmiennie ich kocha i modli się za nich (Łk 23,34).

Trudno też sobie wyobrazić, żeby Matka Bolesna stojąca pod krzyżem nie przyłączyła się wówczas do tej modlitwy swojego Syna za własnych morderców. Podobnie trudno się dziwić temu, że Matka Kościół stara się uczestniczyć w tej modlitwie,

19 Por. Święty Ambroży, *Wykład Ewangelii według św. Łukasza*, 5,7,92; święty Augustyn, *Sermo* 98,4n (PL 38,593n).

jaką za swoich morderców tak często zanoszą męczennicy (por. Dz 7,60). Matka Kościół zachęca swoje dzieci również do modlitwy za tych prześladowców Chrystusa, którzy starają się wyrzucić Go z serc dzieci i ludzi prostych.

Jednak Kościół – jakkolwiek raduje się, kiedy jego dzieci godnie znoszą prześladowania (1 P 4,13), i modli się za prześladowców – przede wszystkim modli się o to, żeby prześladowania ustały. Ta modlitwa Kościoła o kres prześladowań tylko pozornie jest modlitwą we własnym interesie. W swojej istocie jest to modlitwa o głębsze zapanowanie Królestwa Bożego, o zniknięcie przyczyn prześladowań. Cała tajemnica p o s t ę p u l u d z k o ś c i zależy na tym – pisze Cyprian Norwid w swoim *Promethidionie* – aby coraz bardziej stanowczo, przez wcielanie dobra i rozjaśnianie prawdy, broń największa, jedyna, ostateczna, to jest m ę c z e n i s t w o , uniepotrzebniało się na ziemi”.

Wniebowzięta

Niesamowitą intuicję potrafią mieć poeci. W wierszu pt. *Psalm z Marią* Teresa Ferenc tak oto widzi tajemnicę wniebowzięcia Matki Bożej:

wyparujesz i ty wniebowzięta
cała z miłości
za nim

Perspektywa miłości wydaje się najbardziej trafna, jeśli chce się ogarnąć sens tajemnicy wniebowzięcia Maryi. Wszystko zaczyna się od tego, że chrześcijaństwo – jeśli traktujemy je na serio – jest jednym wielkim dziękczynieniem za ten Dar, jaki otrzymaliśmy od Przedwiecznego Ojca w osobie Jezusa Chrystusa.

Pomyślmy: Skoro Syn Boży naprawdę stał się jednym z nas, to Maryja jest absolutnie jedynym człowiekiem ze wszystkich pokoleń ludzkości, której powołaniem życiowym było macierzyństwo wobec Syna Bożego. Wiele ludzkich pokoleń przeszło już przez naszą ziemię. Nie wiemy, ile jeszcze pokoleń będzie na niej żyło. Na pewno są to miliardy, miliardy ludzi. Otóż wśród tych wielu miliardów ludzi nie było i nie będzie nikogo, kto miałby powołanie równie wzniosłe jak Maryja.

Tylko Ona została powołana do tego, żeby być matką Syna Bożego i słusznie nazywamy ją Matką Bożą – bo chociaż urodziła i wychowała Syna Bożego w Jego naturze ludzkiej, to przecież posługa macierzyńska skierowana jest ku osobie dziecka. Człowiek Jezus Chrystus jest tą samą boską osobą Syna Bożego, przez którą świat został stworzony. Ten, którego urodziła Maryja w Betlejem jako jednego z nas, jest Bogiem wiecznym i wszechmogącym, Jednorodzonym Synem Bożym. Dlatego w Maryi czcimy Matkę Boga.

Oczywiście, ona urodziła naszego Pana w Jego człowieczeństwie, ale urodziła przecież Syna Bożego – Syn Boży i Syn Maryi jest tą samą Osobą. Tysiące i miliony ludzi znalazło w Jezusie swoje Wszystko i związało się z Nim najmocniejszą miłością, ale matką Mu była tylko Ona jedna. Dlatego tak serdecznie ją kochamy i z takim przekonaniem ją czcimy.

Przyjmując człowieczeństwo, Syn Boży dobrowolnie przyjął nasz ludzki los w świecie zdeformowanym przez nasze grzechy. Jednak On sam był Człowiekiem Doskonałym i Bezgrzesznym. Przyszedł zaś do nas po to, ażeby wszystkich, którzy w Niego uwierzą i będą się Go mocno trzymać, wyzwolić z grzechu i napęłnić świętością. Otóż pierwszą osobą, którą Syn Boży najpełniej i ponadobficie ogarnął swoją świętością, była Maryja. Dlatego zaś ogarnął ją swoją świętością i uczynił najdosłownie bezgrzeszną, bo przecież miała Ona zostać Jego Matką.

Nie mogła być tego godna sama z siebie, więc On uczynił ją godną Bożego macierzyństwa. To, że sam Bóg przygotował Maryję do jej jedynej w ludzkich dziejach macierzyństwa, wyraził anioł Gabriel w słowach: „łaskiś pełna, Pan z tobą” (Łk 1,28). Gdyż Bóg przygotował ją sobie na matkę od pierwszego momentu jej poczęcia, tak jak słońce udziela światła jutrzence już przed swoim wschodem.

Już w Ewangelii zapisany jest zachwyt z powodu tej niepowtarzalnej posługi, jaką Maryja wykonała dla nas wszystkich. „Błogosławione łono, które Cię nosiło, i pierś, które ssałeś!” (Łk 11,27) – spontanicznie woła do Jezusa jakaś kobieta z tłumu. „Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia” (Łk 1,48) – zapowiada Duch Święty ustami Maryi jej przyszłą chwałę w Kościele. Każde pokolenie chrześcijan kontemplowało Maryję jako Arkę Nowego Przymierza, nieporównanie

wspanialszą od arki starotestamentalnej, w której przechowywano tablice Bożych przykazań. W Maryi przecież Ojciec Przedwieczny złożył największy Skarb, jakim chciał nas obdarzyć, swojego własnego Syna. To z jej ciała zostało wzięte i w jej ciele ukształtowało się ciało Syna Bożego! Toteż nie można mieć nam tego za złe, że tak bardzo ją kochamy.

Niepowtarzalna była nie tylko posługa, jaką Maryja wypełniła w dziele zbawienia nas wszystkich. Również miłość, jaką Ona kochała Jezusa, jest nieporównywalna z miłością największych nawet mistyków i świętych. Rzecz jasna, nie miała jej Ona sama z siebie, została nią obdarzona zwłaszcza ze względu na swe niepowtarzalne powołanie. „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła” – woła do niej Elżbieta. Natomiast w Kanie Galilejskiej Maryja potrafiła przekonać również innych do podjęcia swojej postawy całkowitego zawierzenia Jezusowi: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”, i zapewne przyspieszyła w ten sposób początek godziny mesjańskiej (J 2,4n).

Maryja była więc pierwszą osobą wierzącą w Jezusa i pierwszą apostołką, która innych uczyła zawierzenia Jezusowi. Co więcej, kto uważnie wsłucha się w wyśpiewany przez Nią hymn *Magnificat*, ten musi zauważyć, że nie jest on tylko osobistym dziękczynieniem Maryi; Ona za dar zbawienia dziękuje w nim Bogu w imieniu nas wszystkich, w imieniu całej odkupionej ludzkości.

Dopiero jeśli się o tym wszystkim pamięta, można troszeczkę zrozumieć prawdę jej wniebowzięcia. Ona już na tej ziemi kochała Boga dosłownie całą sobą, całą swoją duszą i całym ciałem. Ta miłość już na tej ziemi zaniósła ją w niewyobrażalnie bezpośrednią bliskość Boga. I już podczas swojego historycznego życia była Maryja idealnym obrazem Kościoła, poniekąd jego uosobieniem. Powtórzmy jeszcze raz: Tego wszystkiego nie miała Ona sama z siebie, Bóg ją obdarzył tak bardzo ze względu na jej absolutnie niepowtarzalne powołanie do Bożego macierzyństwa.

Po swojej śmierci Maryja z duszą i ciałem znalazła się w niebie, bo nie godziło się, żeby to ciało, z którego zostało wzięte ciało samego Syna Bożego, pozostało w grobie i doznało rozkładu. Zarazem była Ona w pełni dojrzała do tak wielkiego wyniesienia, przez swoje życie przeszła bowiem bez grzechu i przepelniona miłością. W ten sposób jest Ona żywą gwarancją, że również my wszyscy, którzy złożyliśmy

nadzieję w krzyżu i zmartwychwstaniu Chrystusa, będziemy zbawieni również w naszych ciałach, jeśli tylko w tej nadziei wytrwamy do końca.

Każdy, kto potrafi zachwycić się wiarą i miłością Maryi, siłą rzeczy będzie chciał Ją naśladować, naśladować jej całkowite zawierzenie Bogu oraz całoosobową, bezwarunkową miłość. Przecież to dlatego, że miłość przepelniała Maryję całą i bez reszty, mogła Ona wejść do nieba cała, również w swoim ciele.

Wniebowzięcie Maryi przypomina nam ponadto o szczególnej godności naszego ludzkiego ciała. Maryja już teraz, ale kiedyś my wszyscy, jeśli tylko znajdziemy się w gronie zbawionych, będziemy zbawieni cali, również w naszych ciałach. „Ciało nie jest dla rozpusty, lecz dla Pana – poucza Apostoł Paweł. – Czyż nie wiecie, że ciała wasze są członkami Chrystusa? Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie?” (1 Kor 6,13-19).

W świecie, który jest kształtowany tak, jakby Boga nie było, ludzkie ciało jest poniżane nie tylko przez pornografię, pijaństwo, narkomanię, czy różnorodną rozpustę. Niestety – a świadczą o tym wciąż podnoszące się głosy na rzecz eutanazji – widzimy coraz więcej pogardy dla ludzkiego ciała, kiedy jest ono schorowane, stare czy niedołążne. Bardzo nam dzisiaj potrzebna odnowa kultu maryjnego. Jeśli ożywimy w sobie wiarę, że Maryja już teraz jest zbawiona cała, w swojej duszy i ciele, może odnowi się w nas szacunek dla ciała własnego, ale również dla ciał naszych bliźnich. Przecież nasze ciała – a nie tylko nasze dusze – przeznaczone są do życia wiecznego!

Święto wniebowzięcia Matki Bożej zostało ustanowione dopiero pod koniec VI wieku i błyskawicznie, w ciągu jednego pokolenia, stało się najważniejszym świętem maryjnym, przyćmiewając znaczenie dwóch innych istniejących wówczas świąt ku czci Maryi. Fakt ten od dawna stanowił pasjonującą zagadkę dla historyków liturgii. Rewelacyjne światło na tę zagadkę rzuciły wykopaliska archeologiczne przeprowadzone w roku 1972 przez B Bagattiego w jerozolimskim kościele Getsemani, uważanym tradycyjnie za miejsce pogrzebania Matki Jezusa.

Otóż niewielki kościółek stanął tam dopiero na początku V wieku, zastąpiony bazyliką wybudowaną pod koniec wieku VI przez cesarza Maurycjusza. Ale co najważniejsze: grób, znajdujący się w tym kościele, wykuty w skale, pochodzi z I wieku

ery chrześcijańskiej i nie udało się w nim stwierdzić żadnych śladów zwłok ludzkich. Jak wytłumaczyć ten zdumiewający fakt, że na małym cmentarzyku mógł przez całe pokolenia stać grób, w którym nigdy nikogo nie pogrzebano? Jak wykazuje Bagatti, grób ten odpowiada dokładnie opisowi grobu, jaki znajduje się w syryjskim apokryfie z II-III wieku, relacjonującym wniebowzięcie Maryi.

Bagatti, starannie wykorzystując wszelkie wzmianki związane z tym tematem, jakie zachowały się w starożytnych źródłach, proponuje następującą rekonstrukcję wydarzeń. Prawdopodobnie jeszcze za życia Maryi jakiś chrześcijanin przygotował dla niej grób w skale. Miejsce zostało wybrane idealnie: właśnie tam, do Getsemani, Jej Syn przychodził często wraz ze swymi uczniami na modlitwę i właśnie tam pocił się krwawo w wieczór swojego aresztowania.

Po swojej śmierci Maryja została prawdopodobnie złożona właśnie w tym grobie. Wkrótce potem grób stał się miejscem tajemniczych wydarzeń, których rdzeniem był absolutnie empiryczny fakt, że ciała Maryi w grobie już nie było. Chrześcijanie jerozolimscy zapewne głęboko przeżyli te wydarzenia, zaś ów grób uczynili miejscem kultu. Świadczyłby o tym fakt, że w grobie tym przez całe pokolenia już nikogo nie pogrzebano.

To, że mimo kultu nie wybudowano na tym grobie żadnego kościoła oraz że milczą na ten temat najstarsi chrześcijańscy pisarze, Bagatti objaśnia bardzo prosto: Miejsce to (podobnie zresztą jak Wieczernik, o którym również milczą starożytne źródła) znajdowało się przez parę pierwszych stuleci – zapewne z jakąś przerwą po roku 132, tzn. po powstaniu Bar Kochby, ale wtedy było ono miejscem niczym – w rękach chrześcijan pochodzenia żydowskiego, którzy nigdy na grobach nie budowali kościołów i wobec których wielki Kościół, Kościół pochodzący z pogan, zachowywał daleko idącą rezerwę, niekiedy uważając ich nawet za sekciarzy.

Otóż właśnie na początku V wieku miejsce to znalazło się pod zarządem wielkiego Kościoła. W rezultacie nie tylko szybko pojawił się tu kościółek, ale przede wszystkim ogromnie wzrosło zainteresowanie wiernych tajemnicą wniebowzięcia Maryi. Późniejsze oficjalne ustanowienie święta zostało poniekąd wymuszone przez ówczesną świadomość społeczną i tu prawdopodobnie leży rozwiązanie zagadki, dlaczego tak błyskawicznie święto to osiągnęło w Kościele tak wielką rangę.

Rozgniewany Bóg i miłosierna Matka

Niektórych ludzi bardzo niepokoją słowa z pieśni *Serdeczna Matko*: „Lecz kiedy Ojciec rozgniewany siecze, szczęśliwy, kto się do Matki uciecze”. Czy to nie jest naiwność (i obraza boska) – pytają niekiedy – sądzić że Maryja, która jest tylko Bożym stworzeniem, jest bardziej miłosierna niż Bóg. Obraz rozgniewanego Boga i miłosiernej Matki pojawia się również w innych pieśniach maryjnych. „A chociaż Syn Twój w gniewie mnie ukarze – Matka za dzieckiem w obronie powstanie. (...) A za kim, Matko, na sądzie się wstawisz – Ten wieczną śmiercią nigdy nie zaginie”. Tak jest w pieśni *Biedny, kto Ciebie*. A w innej pieśni (co prawda, mało śpiewanej): „Racz na nas wejrzyć, Matko miłosierna – Rozbrój gniew Syna, Opiekunko wierna”.

Otóż takie właśnie „gorszące” obrazy znajdują się w Piśmie Świętym! Spójrzmy na obraz rozgniewanego Boga i miłosiernego Mojżesza: „Postanowił ich wytracić, gdyby nie Mojżesz, Jego wybraniec: on wstawił się do Niego, aby gniew Jego odwrócić, aby ich nie zniszczył” (Ps 106,23). W ogóle warto pomedytować nieco nad biblijnymi opisami modlitwy wstawienniczej Abrahama (Rdz 18,23-33), Mojżesza (Wj 17,11-13; 32,9-14; Lb 11,ln; 21,7; Pwt 9,18-20), Samuela (1 Sm 7,7; 12,23), Jeremiasza (Jr 14,7-9; 14,19-21).

Wydaje się, że – wbrew pozorom – nasze zaniepokojenie z powodu wspomnianych obrazów nie wynika bynajmniej z religijnej troski o cześć należną Bogu, ale z niedoceny ważności modlitwy wstawienniczej. Przecież to właśnie Bóg tak nas stworzył, żebyśmy sobie wzajemnie pomagali i jedni drugich chronili przed złem. I nie gdzie indziej, ale w Piśmie Świętym Bóg skarży się na to, że nie znajduje nikogo, kto by powstrzymał Jego karzącą rękę: „I szukałem wśród nich człowieka, który by wystawił mur [przeciwko Mnie] i stanął w wyłomie przede Mną, by brocił tej ziemi i przeszkodził Mi w jej niszczeniu, a nie znalazłem takiego” (Ez 22,30). Ilekroć głoszę rekolekcje dla księży, odwołuję się do tej Bożej skargi, ażeby przypomnieć, jak wielkim obowiązkiem duszpasterskim jest modlić się za ludzi, wśród których kapłanowi przyszło pracować.

Bardzo możliwe, że sprzeciwy wobec obrazu Maryi, powstrzymującej Boży gniew, zdradzają zaniedbanie modlitwy wstawienniczej we własnym życiu. Dzisiaj,

w czasach zwycięskiego indywidualizmu, nieraz nawet głęboko wierzący rodzice zapominają o tym, żeby codziennie modlić się za swoje dzieci. Może częściej modli się proboszcz za swoich parafian, ale zapewne trudno by nam było spotkać nauczyciela, który modli się za swoich uczniów, albo dziennikarza modlącego się za swoich czytelników lub słuchaczy.

Najwyższy czas, żeby dotarły wreszcie do nas biblijne świadectwa i wezwania dotyczące modlitwy wstawienniczej. Również w Nowym Testamencie jest ich niemało. „Nie przestajemy za was się modlić – wyznaje Apostoł Paweł – i prosić Boga, abyście doszli do pełnego poznania Jego woli”, itd. (Kol 1,9n; por. Ef 1,15–19; Flp 1,9n; 1 J 5,16). Paweł liczy zresztą na wzajemność: „Proszę was, bracia, przez Pana naszego Jezusa Chrystusa i przez miłość Ducha, abyście udzielili mi wsparcia modłami waszymi za mnie do Boga” (Rz 15,30; por. 2 Kor 1,10n; Kol 4,3; 2 Tes 3,1; Hbr 13,18).

Modlitwa wstawiennicza przybiera niekiedy postać walki. „Rodak wasz, Epafras, zawsze walczy za was w modlitwach, o to, abyście stali mocno, doskonali w pełnieniu każdej woli Bożej” (Kol 4,12). Również Apostoł Paweł czuje się poniekąd wojownikiem: „Chcę, abyście wiedzieli, jak wielką walkę toczę o was” (Kol 2,1). Zapytajmy niedyskretnie: z kim walczą podczas swoich modlitw Epafras i Paweł? Cytowaliśmy przed chwilą tekst Ez 22,30, zatem jest to pytanie retoryczne. W żywotach świętych można znaleźć wiele przejmujących opisów takiej walki z Bogiem o zbawienie grzeszników²⁰.

Jak to? Czyżby Mojżeszowi, Pawłowi, czy choćby nawet Matce Najświętszej bardziej zależało na zbawieniu grzeszników niż samemu Panu Bogu? Gdyby takie ujęcie znajdowało się w pieśniach maryjnych, można by zrobić w nich korekty albo przestać je śpiewać. Jednak Pismo Święte stanowi normę wiary. Zatem coś pożytecznego dla naszej wiary musimy zrobić z tym faktem, że Pismo Święte tyle razy mówi o walce, jaką toczą z Bogiem o zbawienie grzeszników Boży przyjaciele.

Najpierw jednak musimy sobie uświadomić dwie prawdy. Po pierwsze, Bóg jest Miłością i zawsze miejmy to za dogmat, że Jemu bardziej zależy na naszym dobru niż nam samym. Zatem jeżeli niekiedy przybiera postać naszego „wroga” (por. np. Pwt 32,20n; Hi 13,24; 33,10), to niewątpliwie również wówczas zależy Mu na

20 Więcej o tym w moim artykule: *Jak mówić o potępieniu wiecznym?*, W drodze 2000 nr 10 s. 30-42.

naszym dobru. Po wtóre, ilekroć jakieś stworzenie autentycznie ujmuje się za naszym dobrem, zawsze ostatecznym źródłem tego jest Boża miłość do nas. Krótko mówiąc, to kochający ludzi Bóg uzdolnił i poruszył Mojżesza do tego, żeby „walczył” z Nim o przebaczenie dla grzesznego ludu.

W przepięknej książce o Mojżeszu, która stanowi próbę podsumowania mądrości żydowskiej na temat tego wielkiego proroka, wyjaśnia się to następująco: „Pamiętaj — zwierza się Bóg Mojżeszowi — że w moim Prawie są przemieszane sprawiedliwość i miłosierdzie, bo gdyby było tylko miłosierdziem, czy grzech nie zniszczyłby świata? A gdyby było tylko sprawiedliwością, czyż sprawiedliwość nie zniszczyłaby grzesznika? Ponieważ mogłeś oglądać Mnie twarzą w twarz, niech twoje oblicze będzie łagodnością, kiedy moje będzie sprawiedliwością”²¹.

Spróbujmy sobie uprzytomnić, że Boże przebaczenie oznacza pojednanie z Bogiem i z Bożymi przyjaciółmi. Niemożliwe jest pojednanie z Bogiem bez jednoczesnego wejścia we wspólnotę Bożych przyjaciół, pojednanie z Bogiem oznacza bowiem otwarcie się na miłość, włączenie się w powszechny krwiobieg miłości. Otóż tragedia grzesznika polega na tym, że zmarnował on w sobie udzielone mu przez Stwórcę zdolności do autentycznego życia miłością. Zatem ściągnął on na siebie gniew Boży (por. Rz 2,5; Kol 3,6; Ap 6,16n) – w tym sensie, że obiektywnie stał się on osobnikiem żyjącym poza miłością, którego życie przemieniło się w coś absurdalnego.

Nawet jednak w tej beznadziejnej sytuacji nieskończona miłość Boża nie pozostawia grzesznika bez nadziei. Spoczywa na nim gniew Boży, bo Bóg nie może przyklaskiwać złu albo się nim nie przejmować. Zarazem jednak świat, w którym grzesznik żyje, nadal jest pełen Bożych przyjaciół.

Tu mała dygresja na temat Bożych przyjaciół. Zbawiciel wszystkich, Jezus Chrystus, wielu swoich przyjaciół ogarnia zbawiającą łaską, wielu innych już do zbawienia doprowadził, swoją zaś Matkę obdarzył niewyobrażalną pełnią zbawienia. Otóż być w łasce znaczy znajdować się w powszechnym krwiobiegu miłości, który zmierza do ukształtowania wszystkich przyjaciół Bożych w jedno Ciało Chrystusa. Natomiast być zbawionym, to znaczy stanowić część Ciała Chrystusa już całkowicie i w sposób ostateczny.

21 E. Fleg, *Mojżesz w opowieściach mędrców*, Lublin 1994, s. 99.

Orędownictwo świętych w niebie oraz modlitwa wstawiennicza zanoszona przez przyjaciół Bożych dopiero dążących do zbawienia – jest konsekwencją tego, że są oni naprawdę przyjaciółmi Bożymi. Bo być Bożym przyjacielem, to znaczy cierpieć z tego powodu, że ktoś znajduje się poza Bożą wspólnotą, to znaczy próbować włączać do krwiobiegu miłości nawet tych, którzy jakby już stali się do tego niezdolni. Rzecz jasna, tej wielkoduszności przyjaciele Boży, nawet Matka Najświętsza, nie mają sami z siebie. Wypełnia ich miłość Boża i to ona każe im walczyć o każdego, kto się znalazł poza krwiobiegiem wiekuistej miłości.

Nie sam z siebie „walczył” Mojżesz z Bogiem o zbuntowany lud, pobudzała go do tego i uzdolniła miłość Boża. Również miłość, jaką ogarnia ją Syn Boży, który dla naszego zbawienia raczył stać się jej Synem, czyni Matkę Najświętszą tak przedziwnym naczyniem miłosierdzia dla największych nawet grzeszników. Zamiast więc lękać się wspomnianych na początku sformułowań z pieśni maryjnych, raczej wysławiamy Boga za to, że oczekuje od nas modlitwy wstawienniczej, a Matkę Najświętszą uzdolnił do orędownictwa tak nadzwyczajnego.

Gdyby ktoś zechciał bardziej pogłębić sobie znajomość tego problemu, polecam zwłaszcza trzy teksty. Poruszające świadectwo na ten temat złożyła święta Małgorzata Alacoque²². Z kolei o obrazie Matki Boskiej Łaskawej (jest to obraz Maryi, łamiącej strzały gniewu Bożego) piękne studium napisała Beata Szafranec²³. Mamy ponadto całą książkę poświęconą ikonie modlitwy wstawienniczej²⁴.

A na koniec warto zauważyć, że aprobowane przez władzę kościelną objawienia Pana Jezusa i Matki Bożej są w zakresie naszego tematu jednoznacznie komplementarne. Objawiający się Siostrze Faustynie Pan Jezus wciąż przypominał o Bożym Miłosierdziu, natomiast Matka Boża objawiająca się w Lourdes, La Salette czy Fatimie wciąż mówiła o karze Bożej, jaka nas czeka, jeśli się nie nawrócimy.

22 *Pamiętnik duchowny św. Małgorzaty Marii Alacoque*, Kraków 1947, s. 158-160.

23 K.S. Moisan i B. Szafranec, *Maryja Orędowniczka wiernych*, Warszawa 1987, s. 140-150.

24 R. Mazurkiewicz, *Deesis. Idea wstawiennictwa Bogarodzicy i św. Jana Chrzciciela w kulturze średniowiecznej*, Kraków 1994, zwłaszcza s. 213–226.

„Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie”

„Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich” (Mt 6,7). Ktoś zapytał mnie, czy takim modlitewnym gadulstwem nie jest odmawianie różańca. Jak pogodzić modlitwę różańcową, w której zanosi się do Boga całą masę paciery, z tymi słowami Chrystusa?

O różańcu powiem na końcu. Najpierw zastanówmy się nad sensem powyższych słów Ewangelii. Zaczniemy od tego, o czym na pewno się w nich nie mówi. Otóż na pewno Pan Jezus nie zamierza zniechęcać nas do długiej i wytrwałej modlitwy. Przecież to On sam całe noce spędzał na modlitwie (Łk 6,12; por. 5,16; 9,18;11,1; Mt 14,23; Mk 1,35). Nas zaś wielokrotnie pouczał, że powinniśmy być w modlitwie wytrwali. Jedną z przypowieści, w której znajduje się to pouczenie, Ewangelista rozpoczyna następująco: „Powiedział też im przypowieść o tym, że zawsze powinni się modlić i nie ustawać” (Łk 18,1). W samej zaś przypowieści, podobnie jak w innej przypowieści na ten temat (Łk 11,5-8), Chrystus Pan każe nam wprost naprzykrzać się Panu Bogu naszymi prośbami. W ślad za Nim Apostoł Paweł powiada: „Módlcie się bez ustanku” (1 Tes 5,17).

Czym zatem jest to wielomówstwo na modlitwie, które zasłużyło sobie na potępienie Pana Jezusa? Dwa najważniejsze elementy odpowiedzi na to pytanie znajdują się w samym tekście Ewangelii. Pan Jezus powiada: „Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani”. Krótko mówiąc, ich modlitwa nie płynie z miłości, nie jest przepojona ufnością do Boga. Cechuje ich mentalność magiczna, jakieś niemądre przeświadczenie, że słowa modlitwy stanowią coś w rodzaju środka płatniczego, za pomocą którego można uzyskać od Pana Boga rzeczy, na których nam zależy.

Co więcej, za taką modlitwą stoją fałszywe pojęcia o Bogu, jakieś naiwne wyobrażenia, że trzeba Go poinformować o naszych potrzebach. Tymczasem – powiada sam Chrystus Pan – „wie przecież Ojciec wasz, czego wam potrzeba, wpierw nim Go poprosicie”. Z tych fałszywych wyobrażeń o Bogu szydził sobie prorok Eliasza,

kiedy kapłani Baala usiłowali przymusić swojego bożka do tego, żeby ich wysłuchał: „Wołajcie głośniej, bo to bóg! Więc może zamysłony albo bardzo zajęty, albo udaje się w drogę. Może śpi, więc spróbujcie go obudzić!” (1 Krl 18,27) I rzeczywiście, kapłani Baala „wołali coraz głośniej i kaleczyli się według swojego zwyczaju mieczami oraz oszczepami, aż się pokrwawili. Ale nie było ani głosu, ani odpowiedzi, ani żadnego dowodu uwagi” (1 Krl 18,28n).

Bóg prawdziwy jest zupełnie inny. Owszem, nie każda modlitwa dochodzi do Boga. Ale jeśli jakaś modlitwa do Boga nie dochodzi, to nie dlatego, żeby Bóg jej nie słyszał i żeby trzeba było do Boga wołać głośniej albo dłużej. Do Boga nie dochodzi modlitwa, która płynie z brudnego serca, zwłaszcza jeśli człowiek nawet nie tęskni za przemianą. Bóg oczywiście słyszy taką modlitwę, ale się od niej odwraca: „Gdy wyciągniecie ręce, odwrócę od was me oczy. Choćbyście nawet mnożyli modlitwy, Ja nie wysłucham. Bo ręce wasze pełne są krwi. Obmyjcie się! Czyści bądźcie!” (Iz 1,15n)

Toteż chrześcijanin często modli się do Boga: „A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie!” (Ps 102,2) Modlitwa ta znaczy: „Panie, racz oczyszczać moje serce, racz mnie napełniać miłością do Ciebie, bo dopiero wówczas moja modlitwa może być przez Ciebie przyjęta”. Z tego też względu tak cenna w oczach Boga jest modlitwa wytrwała. Przecież Pan Bóg nie jest tyranem, którego bawi to, że ktoś jest od niego zależny, i który ociąga się z wysłuchaniem prośby, bo lubi być proszony długo. Modlitwa wytrwała potrzebna jest nam, a nie Panu Bogu. Podczas modlitwy człowiek otwiera się coraz więcej na miłość Bożą i otrzymuje zrozumienie Jego woli. W ogóle modlitwa przybliża do Boga – nie automatycznie, rzecz jasna, ale zgodnie z prawami miłości. Jeśli więc się modlę, ale w gruncie rzeczy jestem na Boga i na Jego świętą wolę zamknięty, trzeba czasu, ażeby modlitwa przebiła się przez moje serce i zaczęła być naprawdę modlitwą. Dlatego powinienem modlić się z wytrwałością, powinienem niejako naprzykrzać się Panu Bogu moją modlitwą.

Duszą modlitwy jest miłość. To zdanie chyba najlepiej streszcza naukę Pana Jezusa na temat modlitwy. Ale wobec tego w modlitwie jest kilka rzeczy ważniejszych aniżeli zanoszone w niej słowa. Słowa mojej modlitwy są, ma się rozumieć, czymś bardzo ważnym – w tym sensie, że nie jest to obojętne, jakie słowa zanoszę do Boga – ale są w modlitwie co najmniej trzy rzeczy jeszcze ważniejsze.

Spróbuję je pokazać, wychodząc od najbardziej popularnego określenia modlitwy, że mianowicie jest to rozmowa człowieka z Bogiem. Otóż warunkiem, bez którego rozmowa nie może nawet zaistnieć, jest nawiązanie łączności z tą drugą osobą, uzyskanie jakiejś jej obecności. I to jest pierwsza rzecz, która w modlitwie jest niewątpliwie ważniejsza niż słowa: być w obecności Boga, być jako ktoś kochający. Niekiedy bliskość kochającego Boga tak człowieka zafrapuje, że nie potrzeba mu żadnych słów: po prostu jestem w Jego obecności i chciałbym tylko, żeby On raczył przeniknąć do końca każdą komórkę mojego ciała i mnie całego. Mimo że nie mówię wówczas do Boga ani jednego słowa, niewątpliwie jest to prawdziwa modlitwa.

Jeśli przebywam z Tym, kogo kocham, to chciałoby się jednak z Nim porozmawiać. Otóż nawet w zwyczajnej rozmowie czymś ważniejszym jest słuchać niż mówić, a cóż dopiero w rozmowie z Bogiem! Nawet i nie wypada stanąć w obecności Boga i od razu trajkotać to, co ja mam Mu do powiedzenia. Może jednak i Pan Bóg chciałby mi coś powiedzieć? Dlatego modlitwa potrzebuje wyciszenia się i otwarcia duchowych uszu. Wysłuchiwanie się w głos Boży jest zatem również prawdziwą modlitwą, nawet jeśli ja ze swej strony nic jeszcze do Boga nie mówię.

Jest jeszcze trzecia rzecz, która jest w modlitwie ważniejsza niż słowa, jakie zanoszę do Boga. Modlitwa jest to przecież rozmowa z Bogiem w miłości. Otóż rozmowa w miłości nigdy nie polega na przekazywaniu sobie wzajemnie samych tylko słów. Wprawdzie potrzebuje ona słów, ale rozmawiając z osobą, którą kocham, chciałbym przekazywać jej coś znacznie więcej niż słowa, w gruncie rzeczy chciałbym przekazywać samego siebie. Odnosi się to również do modlitwy. Słowa są niezmiernie cennym narzędziem modlitwy, ale powinienem się starać mówić do Boga również swoimi czynami, postawą życiową, a ostatecznie – samym sobą.

Sądzę zatem, że krytykowana przez Pana Jezusa pogańska gadatliwość w modlitwie polega również na niedostrzeganiu tego wszystkiego, co w modlitwie jest głębsze i ważniejsze niż słowa.

Przypatrzmy się teraz modlitwie różańcowej. Jest to modlitwa paradoksalna. Znosi się w niej bardzo wiele słów, ale jej niejako założeniem jest to, żeby nie mówić w niej do Boga ani jednego słowa (w każdym razie, o czym za chwilę, ani jednego słowa tylko od siebie). Święte słowa Modlitwy Pańskiej i Pozdrowienia Anielskiego

mają nas wyciszyć i stworzyć atmosferę sprzyjającą temu, żebyśmy mogli głęboko usłyszeć to, co sam Bóg ma nam do powiedzenia. Przy czym podczas tej modlitwy staramy się wsłuchiwać w rzeczy najważniejsze, jakie kiedykolwiek Bóg powiedział ludziom. Chodzi o wsłuchiwanie się w to, co Bóg powiedział już nie tylko do mnie czy do ciebie, ale do całej ludzkości, do wszystkich jej pokoleń. W medytacji różańcowej staramy się wsłuchać w ten Boży Przekaz, który został nam podany już nie tylko w naczyniu ludzkich słów, ale w Słowie Jednorodzonym, przez Jego wcielenie, zbawczą śmierć na krzyżu i zmartwychwstanie.

Modlitwa różańcowa na tym bowiem polega, że Zdrowaśki odmierzają czas i stanowią coś w rodzaju melodii duchowej, wyciszającej mój umysł i zmysły, natomiast samym centrum swojej duszy staram się wówczas otwierać na Syna Bożego, mojego Zbawcę, który przemawia do mnie już nie tylko swoją nauką, ale tym wszystkim, czego dokonał dla naszego zbawienia. Celem bowiem medytacji różańcowej jest wchłanianie w siebie tych zbawczych wydarzeń. Jeśli pamiętać o tym, że msza święta jest więcej niż modlitwą (jest ona bowiem rzeczywistym – mocą Ducha Świętego dokonany – uobecnieniem zbawczej Ofiary Chrystusa), to czy chrześcijanin może sobie wyobrazić modlitwę wspanialszą niż różaniec?

Wspaniałość różańca na tym się jednak nie kończy. Jest on modlitwą maryjną. Polega to na tym, że modląc się na różańcu, staramy się dokonać rzeczy obiektywnie niemożliwej: próbujemy patrzeć na Tajemnice naszego zbawienia tak, jak widziała je i przeżywała Matka Boża, i na Jej wzór staramy się je przyjmować i nimi nasycać. Dorównanie Jej w miłowaniu Chrystusa przekracza oczywiście nasze możliwości. Ona była przecież całkowicie bezgrzeszna i pełna łaski, my zaś jesteśmy ułomni i jeśli nawet ufamy Bogu, to nie potrafimy zaufać Mu bez reszty. Jednak już to, że staramy się Jej dorównać – jeśli tylko rzeczywiście się staramy – ogromnie nas do Chrystusa przybliża.

Na końcu powiedzmy o tym, co w modlitwie różańcowej najwspanialsze. Otóż jeśli już otworzyliśmy się na Chrystusa Pana, przemawiającego do nas tą Miłością, którą okazał nam w czasie swego widzialnego przyjścia do nas; jeśli już w otwieraniu się na tę Miłość staramy się jakoś dorównać Jego Matce – wolno nam dołączyć się do Chrystusa Pana, który się wstawia za nami u Przedwiecznego Ojca. Wstawia się właśnie swoim wcieleniem, ukrzyżowaniem i zmartwychwstaniem, które

przenikają nas coraz więcej dzięki medytacji różańcowej. W ten sposób możemy zanosić do Boga Słowo, do jakiego sami z siebie nigdy nie bylibyśmy zdolni, Słowo zawsze skuteczne, mające moc doprowadzić nas do życia wiecznego.

Krótko mówiąc, te zachwyty, jakie słyhać w Kościele na temat różańca, mają głębokie uzasadnienie. Moim zdaniem, jest wręcz niemożliwe, żeby ktoś, kto naprawdę zrozumiał modlitwę różańcową, mógł ją krytykować. Różaniec jest czymś znacznie więcej niż mądrą i skuteczną techniką medytacyjną. Jest próbą wchłonięcia w siebie samej istoty Ewangelii.

Męczennicy różańcowi

Szczególnym potwierdzeniem znaczenia modlitwy różańcowej są ci uprzywilejowani świadkowie wiary, których śmierć męczeńską spodobało się Opatrzności Bożej powiązać z różańcem. Zaczniemy od pierwszego wyniesionego do chwały ołtarzy Cygana, bł. Zefiryra Gimenez Malla, skazanego na śmierć w okolicznościach następujących. Kiedy czerwona Hiszpania szalała nienawiścią do wszystkiego co katolickie, Zefiryra ujął się za prowadzonym na rozstrzelanie młodym księdzem – było to w Barbastro pod koniec czerwca 1936 r. Rzecz jasna, tyle tylko osiągnął, że sam został aresztowany. „Gdy jeszcze znaleziono w jego kieszeni różaniec, jego los był przesądzony. Jeden z milicjantów, który znał Zefiryra jako dobrego człowieka, próbował go ratować, prosząc o dyskretne oddanie różańca w jego ręce. Zefiryra pozostał jednak wierny swoim przekonaniom. Odważnie wyznał wiarę, godząc się na więzienie i śmierć. W więzieniu modlił się na różańcu i pocieszał innych «wrogów hiszpańskiego ludu»²⁵. Skazany na śmierć, został rozstrzelany 2 sierpnia 1936 roku, beatyfikowany przez Jana Pawła II 4 maja 1997 roku.

Dwóch jednoznacznych bohaterów różańca znajduje się w grupie 108 męczenników z czasów II wojny światowej, beatyfikowanych 13 czerwca 1999 r. Pierwszy z nich, ks. Władysław Demski z Inowrocławia, został z powodu różańca zatłuczony na śmierć 26 maja 1940 roku w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. A było to tak: Kiedy przypadkowo wypadł mu z kieszeni różaniec, esesmani kazali

25 Z. Podlejski, *dz.cyt.*, t.4 s.211. Nie udało mi się dotrzeć do biografii tego błogosławionego: Don Mario Riboldi, *Prawdziwy Kalo*, tłum. Edward Wesolek SJ, Mediolan 1994.

mu go podeptać. Kiedy ks. Władysław odmówił, Niemiec rzucił różaniec w błoto i kazał go księdzu pocałować. Ksiądz ukląkł i odszukał wargami krzyżyk różańca, co wywołało wściekłość strażników. Pobili go na śmierć i jeszcze próbowali się bawić nad ciałem męczennika²⁶.

Z kolei w Oświęcimiu, 4 lipca 1942 roku, poniósł śmierć inny męczennik różańcowy, ks. Józef Kowalski, salezjanin. Za odmowę podeptania różańca został pobity i przeniesiony do obozowej kompanii karnej. Kiedy kazano mu wejść na beczkę i wygłosić kazanie, ksiądz Józef „spokojnym głosem odmówił *Ojcze nasz, Pod Twoją obronę i Witaj Królowo*. Kapo Karl Langenhagen zepchnął go z beczki i skopał niemiłosiernie. Ksiądz Józef wrócił do baraku i modlił się, przeczuwając najgorsze. Po jakimś czasie zjawił się kapo Józef Mitas i zabrał go ze sobą. Ksiądz Kowalski oddał koledze ostatnią kromkę chleba i poprosił, żeby pomodlić się za niego i prześladowców. Został zmasakrowany i utopiony w beczce z fekaliami²⁷.

Czuje się coś szatańskiego w nienawiści, jaką u różnych osobistych nieprzyjaciół Boga i Kościoła budził różaniec. Sądzę, że nie jest czymś nieracjonalnym domyślać się, że nienawiść ta jest odgłosem wściekłości szatana z powodu szczególnej potęgi modlitwy różańcowej.

Szczególnie wiele prześladowań z powodu różańca zaznali katolicy w czasach sowieckich. „Z obsesyjną wręcz nienawiścią – że przytoczę słowa jednego z badaczy zagadnienia – prześladowano działalność Żywego Różańca²⁸. Tu Autor przywołuje świadectwo ks. Antoniego Chomickiego, który usłyszał kiedyś od oficera KGB, że Żywy Różaniec to coś gorszego niż bomba atomowa.

Być może istotnym źródłem takiej nienawiści do Żywego Różańca była niemożność uwierzenia przez służbę bezpieczeństwa, że naprawdę jest to nabożeństwo czysto religijne. Oto fragment instrukcji „objaśniającej” lokalnych wyznaniowców, czym jest Żywy Różaniec: „Prawowierny katolik, żeby osiągnąć «odpuszczenie grzechów», musi codziennie odmówić 150 modlitw (70 razy «pater noster», 60 razy «credo», 20 razy «ave Maria», odliczając je na specjalnych paciorkach nazywanych

26 Z. Podlejski, *dz.cyt.*, t.5 s.146,

27 Z. Podlejski, *dz.cyt.*, t.5 s.226.

28 Włodzimierz Osadczy, *Wierzyli wbrew nadziei. Z dziejów przetrwania Kościoła łacińskiego na Ukrainie rzymskokatolickiej w okresie powojennym*, Ethos 2001 nr 53-54 s.162.

różańcem. Ponieważ jednej osobie trudno przeczytać taką ilość modlitw, kościół zezwala przeczytać te modlitwy kolektywnie, zrzeszając grupy po 10 ludzi. Takie zebrania po 10 ludzi są prawdopodobnie praktykowane wśród katolików, przy czym w trakcie tych zebrań ich skład stabilizuje się. Zebrania te z reguły nie zawężają się tylko do odczytywania modlitw. Zmieniają się one w dyskusje dotyczące różnych, w tym też daleko niereligijnych tematów. «Różaniec» w ten sposób zamienia się w działającą nieustannie zwartą grupę, dowodzoną przez tzw. tercjarzy»²⁹.

Wiele faktów martyrologii różańcowej w ZSRR wydobył ks. Roman Dzwonkowski SAC. To on wydobył na światło dzienne męczeństwo inwalidki z Żytomierskiego, Janiny Jandulskiej, rozstrzelanej bez sądu za samo tylko zorganizowanie Żywej Róży. Chyba jeden tylko Pan Bóg wie, ilu męczenników zostało zamordowanych w Związku Sowieckim za swoje, takie czy inne, zaangażowanie w modlitwę różańcową. „Opowiadała mi – cytuję teraz ks. Dzwonkowskiego – p. Władysława Jaworska z parafii Sołobkowce, w rejonie jarmolińskim obwodu chmielnickiego, historię własnej rodziny, związaną ze sprawą Żywego Różańca. W roku 1938, gdy miała lat 7, został aresztowany jej ojciec. Uwięziono go z wieloma innymi Polakami w Płockirowie. Udało mu się stamtąd przysłać żonie brudną koszulę, w której mankiecie ukrył karteczkę ze słowami: «Zabrali mnie za Różaniec, pamiętaj, ucz dzieci». Było ich w domu czworo. Napisał to, bo wiedział, że już nie wróci – i nie wrócił. Jak się później okazało, za worek pszenicy wydał wszystkich sąsiad, zresztą Polak»³⁰.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych „zdarzało się na Ukrainie, że z konduktu pogrzebowego wyciągano mężczyznę, który odmawiał różaniec i karano wysokim «sztrafem»”. Na KGB księżom często zadawano pytanie o Żywy Różaniec i „tercjarów”³¹.

29 *Tamże*. Świadek dość podobnego „pomieszania z poplątaniem” na temat różańca zapisał kapucyn, o. Hilary Marcin Wilk. Jeden z pięciu zarzutów, jaki postawiono autorowi brzmiał: „Organizowałem i popierałem kółka różańcowe. W języku rosyjskim różaniec utożsamiali z «Rózio», to jest «oruzie», czyli broń wojenna, narzędzie wojenne. Do tego dołączono pojęcie naszej eucharystycznej puszeki ołtarzowej – jako «puszki» wojennej, to jest armaty, którą przechowujemy w kościele” – H. M. Wilk, *Ty nie zginiesz*, Lublin 2001 s.111.

30 *Za wschodnią granicą. 1917-1993*, z Romanem Dzwonkowskim rozmawia Jan Pałyga, Warszawa 1993 s.123. Być może wiele innych świadectw tego rodzaju znajduje się w (niestety, nieznanym mi) książce Mariana Jonkajtrysa, *Różaniec Sybiracki*, Biblioteka Sybiraka, 170.

31 *Dz. cyt.*, s.124. Tajemnicze świadectwo cierpienia za różaniec podaje w swoich wspomnieniach z Syberii prof. Barbara Skarga, świadectwo tym bardziej interesujące, że jego przekazicielka nie jest katoliczką. Opowieść tę Pani Skarga usłyszała bezpośrednio z ust jej bohatera, żołnierza sowieckiego walczącego z Finami, który stracił łączność ze swoim oddziałem i ukrywając się w ciągu dnia w jamie ze śniegu, nocami próbował odnaleźć swoich kolegów. „Gdy trzeciego dnia znalazł wykopaną przez samego siebie jamę i poznał własne ślady, zrozumiał, że nie ma dla

Odnotujmy jeszcze świadectwo cierpienia za różaniec w polskich więzieniach stalinowskich. Jego autorem jest ks. Józef Sanak, więzień PRL w latach 1950-55, autor książki pt. *Gorszy niż bandyta. Kapłan w stalinowskim więzieniu* (Wyd. Platan 2001): „Bardzo niebezpieczną modlitwą był Różaniec. Różańce robiliśmy z kulek chleba. Gdy naczelnik więzienia znalazł przy kimś taki różaniec, natychmiast kazał mu go zjeść, nie licząc się z tym, że więzień po prostu mógł się udławić. My, starzy wyrafinowani więźniowie, wiedzieliśmy, gdzie i jak chować różańce, aby nie podpaść. Jeden Bóg wie, ile tych różańców chlebowym zmówiłem...”³².

Nieznane u nas fakty z dziejów różańcowego męczeństwa w dalekiej Japonii odsłaniają badania Józefa Klimurczyka OP³³. Wielu spośród chrześcijan więzionych za wiarę, a następnie zamordowanych w Dniu Wielkiego Męczeństwa, 10 września 1622 roku, przekazało swoim bliskim różańce, jakie w oczekiwaniu na śmierć sporządzili w więzieniu. Te otrzymane od męczenników różańce były przechowywane jako drogocenna relikwia – i były później zarówno świadectwem oskarżenia w następnych prześladowaniach, jak źródłem mocy dla następnych męczenników.

Owoce tych męczenników różańcowych – których imiona i liczbę zna jeden tylko Bóg – nieoczekiwanie objawiły się z górą dwa wieki później. Jak wiadomo, ostatnie prześladowania w Japonii – po których władze doszły do wniosku, że chrześcijan w tym kraju już nie ma – zakończyły się w roku 1637. Wtedy również zaczął się trwający aż do roku 1853 okres izolacji Japonii. Kilkanaście lat później, kiedy w Nagasaki francuscy misjonarze wybudowali kościół, zaczęli się do nich zgłaszać ukryci chrześcijanie, którzy przez prawie 250 lat bez księży i bez Eucharystii, a nawet bez Pisma Świętego, gruntownie odseparowani od Stolicy Apostolskiej i całego

niego ratunku. (...) Ogarnęła go rezygnacja, nie miał sił walczyć dalej. Oczy mu się kleiły, różne widzenia roily się w głowie. I nagle dostrzegł dziwną jasność, coraz wyraźniejszą i coraz mocniejszą. Szła ku niemu, aż dojrzał niewiastę, która trzymała za rękę zastrzelonego fińskiego chłopca. Zaczął się trząść ze strachu. Ona zaś rzekła tylko: on ci przebaczył, i wskazała na chłopca. A potem kazała mu iść prosto i podała jakiś łańcuszek”. Wkrótce odnalazł swój oddział. „Łańcuszek nosił zawsze na szyi, nie rozstawał się z nim. Przez ten łańcuszek go aresztowano. Kazano mu zdjąć, odmówił. Jak to – perswadowano mu – ty że komсомолец i w głuposti wierisz? Nie odpowiadał. Chciano siłą zabrać. Nie pozwolił. Wsadzono go do aresztu. Wysiedział. Wyrzucono z partii za bigoterię. Zgodził się bez słowa. Wreszcie oddano pod wojskowy trybunał. Został oskarżony o sianie wrogiej religijnej propagandy i sprzeciwianie się władzy. Dostał dziesięć lat. Łańcuszek był zwykłym różańcem o nieudolnie wyciętych z drzewa ziarenkach z nieproporcjonalnie dużym krzyżykiem. Ktoś go w szpitalu nauczył, że trzeba trzymać ziarenko i modlić się. Żadnych modlitw nie znał, mówił więc tak od siebie, o tym, co go bolało” – Barbara Skarga, *Po wyzwoleniu... 1944-1956*, Poznań 1990 s.162n.

32 Pastores 2002 nr 15 s.167.

33 J. Klimurczyk, *Moc różańca*, W drodze 2003 nr 6 s.116-121.

Kościoła, zdołali zachować – właśnie dzięki modlitwie różańcowej – wiarę katolicką. Ostatni misjonarze – jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku – przekazali im trzy kryteria, po których będą mogli poznać tych głosicieli Ewangelii, którym powinni zaufać: będą oni czcić Maryję, uznawać Papieża i żyć w celibacie.

Temat męczenników różańcowych tutaj tylko sygnalizuję. Już Tertulian zauważył, że *sanguis Martyrum – semen Christianorum* – krew męczenników jest posiewem chrześcijan. Analogicznie, krew męczenników różańcowych na pewno przyczynia się do rozszerzania się w Kościele umiłowania modlitwy różańcowej. Dlatego powinniśmy sobie wzajemnie więcej o faktach takiego męczeństwa opowiadać. Wielka szkoda na przykład, że u nas w Polsce praktycznie nic nie wiemy o naprawdę poruszających dziejach męczeństwa różańcowego Kościoła w Irlandii.

Korona na wizerunku Matki Najświętszej

Nasza mentalność nominalistyczna o koronie królewskiej wie jedynie tyle, że jest ona znakiem władzy monarszej, zaś w koronie królowej potrafi rozpoznać tyle tylko, że osoba, która ją nosi, jest kimś królowi najbliższym. Toteż nasze przypatrzenie się pytaniu, dlaczego koronujemy wizerunki Matki Najświętszej, rozpoczniemy od pytania o biblijną symbolikę korony. Okazuje się bowiem, że nie jest ona znakiem czysto arbitralnym, jest ona czymś znacznie więcej niż tylko znakiem rozpoznawczym króla czy królowej. Korona, czyli złoty wieniec, stała się znakiem monarszym dzięki temu, że już wcześniej wieniec symbolizował wiele głębokich treści, które po odpowiedniej modyfikacji mogły być odniesione również do władzy i godności królewskiej.

Biblijny symbolizm korony

Symbol korony żywy był w wielu kulturach, nie tylko w kulturze biblijnej. Nam jednak wystarczy przypatrzeć się znaczeniu tego symbolu w Biblii. Nie ulega bowiem wątpliwości, że bezpośrednią inspiracją do przedstawiania Maryi w koronie królewskiej była znajdująca się w Apokalipsie (12,1) wizja Niewiasty obleczonej w słońce, stojącej ponad księżycem i ukoronowanej gwiazdami. Jak wiadomo,

w wizji tej Kościół rozpoznaje obietnicę swojej własnej sytuacji eschatologicznej, którą zapowiada i już teraz idealnie urzeczywistnia Maryja, Matka Pana.

Otóż wieniec, czyli korona, wskazuje w Biblii przede wszystkim na pełnię oraz dopełnienie. Na przykład autor Księgi Syracha dostrzega niewidzialne korony na głowach ludzi, którzy przez całe swe życie chodzili drogami sprawiedliwości: „Koroną starców wielkie doświadczenie, a chlubą ich bojaźń Pańska” (Syr 25,6). Analogiczną intuicję znajdziemy w Księdze Przysłów: Mądrość „miej w cenie, a czcigłównie cię otoczy, okryje cię sławą, gdy ją posiadasz. Włoży ci wieniec wdzięczny na głowę, obdarzy zaszczytną koroną” (Prz 4,8n). Zatem korona ma w sobie coś z owocu, który pojawia się i dojrzewa w trakcie życia wiernego Bogu.

Treścią tego owocu jest pokój i autentyczna, ostateczna pomyślność – jak powiedzielibyśmy dzisiaj: zgodne z zamysłem Bożym zrealizowanie samego siebie. W prosty sposób i bez tendencji do uwznioślenia stwierdza to cytowany już natchniony autor: „Koroną mądrości bojaźń Pańska, daje ona pokój i czerstwe zdrowie” (Syr 1,18).

W kręgu tych właśnie intuicji leży symboliczny sens korony królewskiej. Symbolizuje ona nie tylko władzę królewską, ale również pomyślność, jaka płynie i powinna płynąć z tej władzy dla całego ludu. „Panie, [...] uprzedzasz króla pomyślnymi błogosławieństwami, koronę szczerozłotą wkładasz mu na głowę” – modli się Psalmista (Ps 21,4). I nie można mieć wątpliwości co do tego, że pomyślność i błogosławieństwo Boże, jakie spływa na króla, są znakiem pomyślności i błogosławieństwa, jakim cieszy się cały lud.

I odwrotnie: Strącenie korony z głowy króla symbolizuje klęskę całego ludu. Prorok Jeremiasz otrzymuje następujące przesłanie dla młodego króla Jechoniasza i jego matki: „Powiedz do króla i królowej: Usiądźcie zupełnie nisko, albowiem spadła z waszych głów korona chwały” (Jr 13,18). Była to zapowiedź rychłego uprowadzenia ich do niewoli babilońskiej, a zarazem zapowiedź agonii samego państwa.

Wyobraźnia biblijna znała również symboliczny obraz korony, wieńczącej cały naród lub państwo. Skojarzenie takie łatwo mogło się pojawić w odniesieniu do stolicy północnego królestwa, Samarii (Iz 28,3), gdyż miasto to było wybudowane na wzgórzu. Ale autorzy biblijni sięgają po obrazy korony i diademu także wówczas,

kiedy chcą w symbolicznym skrócie przedstawić stan dobrobytu, pokoju i wszelkiej pomyślności. W ten sposób prorok Ezechiel wypomina Jerozolimie, że zmarnowała błogosławieństwo Boże, jakim ją Pan Bóg dawniej otaczał: „Włożyłem [...] wspaniałą diadem na twoją głowę, [...] doszłaś aż do godności królewskiej” (Ez 16,12n).

Natomiast prorok Jeremiasz, kiedy chce przedstawić samą istotę nieszczęścia narodowego, jakim było zburzenie Jerozolimy i upadek państwa, powie po prostu: „Spadła z naszej głowy korona – biada nam, bośmy zgrzeszyli” (Lm 5,16). Toteż i wyzwolenie z niewoli wyobrażano sobie niekiedy jako obdarzenie koroną. Świadczy o tym słynne proroctwo z Księgi Izajasza, przywołane kiedyś przez samego Pana Jezusa: „Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił. Posłał mnie, by głosić dobrą nowinę ubogim, [...] aby koronę im dać zamiast popiołu, olejek radości zamiast szaty smutku, pieśń chwały zamiast zgnębienia na duchu” (Iz 61,1.3; por. Łk 4,18n). Wydaje się, że nie wolno pominąć tego tekstu ilekroć przychodzi nam interpretować apokaliptyczny obraz Niewiasty obleczonej w słońce i ukoronowanej dwunastoma gwiazdami.

Ale wróćmy do korony jako symbolu dopełnienia pojedynczej osoby ludzkiej. Niekiedy korona symbolizuje dopełnienie niedobre i nieszczęsne: „Roztropność jest koroną mądrych, koroną niemądrych – głupota” (Prz 14,24). W Apokalipsie pojawia się złowieszczy obraz koron na głowach demonów, który symbolizuje ich niezwykłą potęgę niszczycielską w stosunku do wszystkiego, co nie chce podlegać władzy Chrystusa: „A wygląd szarańczy: *podobne do koni uszykowanych do boju*, na głowach ich jakby korony podobne do złota, oblicza ich jakby oblicza ludzi” (Ap 9,7). Jednak negatywna symbolika korony występuje w Piśmie Świętym niezmiernie rzadko.

Niejako ukoronowaniem biblijnej symboliki korony jest idea, że koroną człowieka może stać się druga osoba, a dokonuje się to w tej przestrzeni miłości, jaką rozciąga nad nami Bóg i w której przebywamy, jeśli żyjemy zgodnie z Jego wolą. „Koroną starców – synowie synów, zaś chlubą synów – ojcowie” (Prz 17, 6); „Koroną męża jest dzielna żona, a próchnicą jego kości – żona bezwstydną” (Prz 12,7). Apostoł Paweł dwukrotnie nazywa swoją koroną tych braci w wierze, którym dopomógł w poznaniu i uwierzeniu w Chrystusa Zbawiciela. „Przeto, bracia umiłowani, za

którymi tęsknię – radości i korono moja! – tak stójcie mocno w Panu, umiłowani” (Flp 4,1). Wielka szkoda, że w przekładzie Biblii Tynieckiej zaginął sam wyraz „korona”. Po raz drugi Apostoł sięga po ten obraz w apostrofie do Tesaloniczan: „Jakaż jest nasza nadzieja albo radość albo korona chwały? Czyż nie wy nią będziecie przed Panem naszym Jezusem Chrystusem, w chwili Jego przyjścia?” (1 Tes 2,19).

Tutaj dochodzimy do momentu, którego w żaden sposób nie potrafimy ogarnąć naszą wyobraźnią. Mianowicie przeznaczeniem naszym jest zostać koroną samego Boga, z kolei On pragnie stać się koroną naszą. Obie obietnice są wyraźnie zapisane w Księdze Izajasza. „Będiesz prześliczną koroną w rękach Pana, królewskim diademem w dłoni twego Boga” (Iz 62,3). I to zapewne nie przypadek, że pierwszy męczennik chrześcijański nazywał się Koroną (Stephanos, Szczepan po grecku znaczy korona). Szczepan bowiem prawdziwie stał się prześliczną koroną i królewskim diademem w rękach Chrystusa.

Z drugiej zaś strony, Bóg chce być koroną swoich umiłowanych: „W owym dniu Pan Zastępów będzie koroną chwały i ozdobnym diademem dla Reszty swego ludu” (Iz 28,5).

Należy mieć przed oczyma tę obietnicę, ilekroć czytamy w Nowym Testamencie – a czytamy to często – o czekającej na nas koronie życia wiecznego. W Starym Testamencie idea ta pojawia się wyraźnie chyba tylko w Księdze Mądrości. Mianowicie czytamy tam o kobiecie bezdzietnej, ale na szczęście bogobojnej, że „w wieczności triumfuje uwieńczona, zwyciężywszy w zawodach o nieskazitelną koronę” (Mdr 4,2). Natomiast w Nowym Testamencie obraz korony, jaka czeka na nas w niebie, znajdziemy zarówno w pismach Apostoła Pawła, jak i Piotra, Jakuba i Jana. „Na koniec odłożono dla mnie – pisze w swoim liście pożegnalnym Apostoł Paweł – koronę sprawiedliwości, którą mi w owym dniu odda Pan, sprawiedliwy Sędzia, a nie tylko mnie, ale i wszystkim, którzy miłują pojawienie się Jego” (2 Tm 4,8; por. 1 Kor 9,25). „Błogosławiony człowiek – powiada Apostoł Jakub – który wytrwa w pokusie. Gdy bowiem zostanie poddany próbie, otrzyma koronę życia, obiecaną przez Pana tym, którzy Go miłują” (Jk 1,12). Również Apokalipsa Apostoła Jana posługuje się kilkakrotnie tym obrazem (Ap 2,10; 3,11; 4,4 i 10).

Chwilę szczególnej uwagi poświęćmy wypowiedzi Apostoła Piotra: „Kiedy objawi się Najwyższy Pasterz, otrzymacie niewiędnący wieniec chwały” (1 P 5,4). Grecki

wyraz *stephanos* został tu oddany jako wieniec, a nie jako „korona”, zapewne ze względu na towarzyszący mu przymiotnik „niewiędnący”, korona bowiem kojarzy nam się spontanicznie z metalem. Zauważmy jednak, że gdy frazę tę przetłumaczyć: „otrzymacie niewiędnącą koronę chwały”, czytelnik i słuchacz otrzymaliby większą możliwość związania tych słów z obietnicą, że sam Bóg chce stać się naszą koroną.

Rzecz jasna, nie zabrakło też w Nowym Testamencie obrazu Chrystusa Pana z koroną na głowie. W Apokalipsie jest to Chrystus Zwycięzca ostateczny, który odbiera siłom ciemności panowanie nad ziemią: „I ujrzałem: Oto biały koń i Siedzący na nim miał łuk. I dano mu koronę i wyruszył jako zwycięzca, by jeszcze zwyciężać” (Ap 6,2). Jest to zatem obraz Chrystusa, Pana historii. On nie tylko podsumuje całość ludzkich dziejów, ale to właśnie On napełnia ludzkie dzieje swoją zbawczą mocą i prowadzi do swojego Przedwiecznego Ojca tych wszystkich, którzy chcą być zbawieni. Zarazem Król ten jest Sędzią, który zapewnia pełny i niczym nie zagrożony pokój tym wszystkim, którzy pokoju szukają, oraz odbiera możliwość czynienia zła i nienawiści tym wszystkim, którzy umiłowali ciemności i zamęt. „Siedzący na obłoku – czytamy również w Apokalipsie – podobny do Syna Człowieczego, miał na głowie złotą koronę, a w ręku ostry sierp” (Ap 14,14).

Szczególnie jednak godna zauważenia wydaje się wypowiedź Hbr 2,9: „Widzimy Jezusa, który mało od aniołów był pomniejszony, chwałą i czcią ukoronowanego za cierpienia śmierci, iż z łaski Bożej za wszystkich zaznał śmierci”. W wypowiedzi tej znajduje się pośrednie odniesienie do korony cierniowej, jaką nałożono na Jezusa podczas Jego męki, oraz bezpośrednie odniesienie do Ps 8,6. Jak pamiętamy, treścią tamtego Psalmu jest wywyższenie człowieka ponad wszystkie stworzenia widzialne. Otóż człowiek tym różni się od stworzeń nierozumnych, że Bóg „ukoronował go chwałą i czcią”, to znaczy swoją przyjaźnią i życiodajną obecnością. Zatem tekst Hbr 2,9 przedstawia Jezusa jako Człowieka Doskonałego w najpełniejszym znaczeniu, który mocą swojej śmierci uzdrawia chore człowieczeństwo nas wszystkich. Cierniowa zaś korona na Jego głowie nie tylko zadawała Mu ból i była znakiem hańby, ale przede wszystkim symbolizowała udrękę i poniżenie naszej zwyciężonej przez grzech ludzkiej natury, którą On przyjął jako swoją własną, mimo że sam był bez grzechu.

Natomiast ukoronowany został Jezus „czcią i chwałą” w zupełnie nowym sensie, inaczej niż pierwszy Adam. Pierwszy Adam ukoronowany został Bożą przyjaźnią i Jego życiodajną obecnością. Natomiast koroną chwały drugiego Adama jest sam Przedwieczny Ojciec. Człowiek Jezus Chrystus jest bowiem w najdosłowniejszym sensie tym samym Jednorodzonym Synem Bożym, przez którego świat został stworzony, zaś Jego uwielbione człowieczeństwo jest już bez reszty doskonale i przeniknięte Bóstwem. To właśnie dlatego, że koroną zmartwychwstałego Jezusa jest sam Przedwieczny Ojciec, my wszyscy możemy dążyć do korony życia wiecznego. Pierwszą zaś z przyjaciół Jezusa, która najszczególniej i najpełniej została dopuszczona do tej chwały, jaką On został ukoronowany, jest niewątpliwie Jego Matka.

Dlaczego koronujemy wizerunki Matki Najświętszej

Wyposażeni w powyższy przegląd biblijnej symboliki korony spróbujmy zastanowić się nad tym, co wyraża korona, jaką umieszczamy na wizerunku Matki Najświętszej. Oprócz świętych, którzy sprawowali ziemską władzę monarszą, nie malujemy przecież koron na głowach żadnych innych świętych, nawet na głowie Apostoła Pawła, mimo że ten wyraźnie zapowiadał „koronę sprawiedliwości, którą mi w owym dniu odda Pan, sprawiedliwy Sędzia” (2 Tm 4,8). Zatem korona na głowie Matki Najświętszej – zarówno ta namalowana przez artystę, jak i ta ze złota nałożona przez biskupa – wyraża coś znacznie więcej niż nagrodę życia wiecznego, jaką Bóg już teraz obdarza swoich świętych. Wyraża ona jakiś najszczególniejszy udział Matki Bożej w królewskiej godności Jej Syna. Wprawdzie każdy przyjaciel Boży realnie w niej uczestniczy, ale Maryja nie tylko wraz z innymi uczestniczy w królewskiej godności swego Syna; jest Ona Królową w sensie najszczególniejszym.

Wydany 25 marca 1981 roku przez Kongregację Sakramentów i Kultu Bożego *Obzęd ukoronowania obrazu Najświętszej Maryi Panny* wymienia, w piątym punkcie „Wstępu”, cztery aspekty Jej królewskiej godności. Po pierwsze, jest Ona Królową, bo jest Matką Syna Bożego, „w którym wszystko zostało stworzone” (Kol 1,16) i który stał się mesjańskim Królem, synem Dawida, którego „królowanie nie będzie miało końca” (Łk 1,33). Spośród miliardów przyjaciół Bożych tylko Ona jedna została postawiona tak niewyobrażalnie blisko Chrystusa Króla.

Po wtóre, uczestniczyła Ona najszczególniej w królewskim boju, jaki Jej Syn stoczył na Kalwarii za swój lud, i była czynnym świadkiem tej przełomowej godziny, kiedy to „zostaliśmy wykupieni nie za przemijające srebro czy złoto, ale drogocenną krwią Chrystusa jako baranka niepokalanego i bez zwały” (1 P 1,18 n.). Nie trzeba chyba dodawać, że swoją szczególną współpracę z Ukrzyżowanym Synem wypełniła Maryja w duchu Jego Królestwa, które – jak On sam powiedział – nie jest Królestwem z tego świata. Duch ten cechuje również całą Jej królewską posługę wobec Kościoła. Pięknie mówił o tym Ksiądz Prymas Wyszyński w 25 rocznicę koronacji obrazu Matki Bożej Jazłowieckiej:

„To my, pełni wdzięczności i żywej wiary, ozdabiamy Ją koronami. Ale Ona chce pozostać Służebnicą Pańską, Służebnicą Ojca Niebieskiego, gotową wypełnić Jego wolę, Służebnicą Jezusa Chrystusa, swojego Syna, Boga wcielonego, Służebnicą Kościoła, Służebnicą wszystkich pokornych sług Bożych, wszystkich dzieci Bożych”.

Po trzecie, jest Ona Królową również w tym sensie, że współuczestniczy ze swoim Synem w Jego królewskiej chwale. Warto przypomnieć wypowiedź na ten temat Jana Pawła II, z jego kazania wygłoszonego na Jasnej Górze 19 czerwca 1983 roku, podczas uroczystości ukoronowania czterech obrazów Matki Bożej: „Zjednoczona z Nim w wyniszczeniu, zostaje również zjednoczona w uwielbieniu, które objawia się naprzód przez zmartwychwstanie. Wiemy, że Bogurodzica uczestniczy w zmartwychwstaniu Chrystusa przez swoje wniebowzięcie. Wniebowzięta, uczestniczy też w owym panowaniu, o jakim usłyszała w chwili zwiastowania: Jego panowaniu nie będzie końca. Uczestniczy na prawach matki – i uczestniczy po macierzyńsku. Kiedy wkładamy koronę na skronie Matki Chrystusa w koronowanym obrazie, pragniemy wyrazić wiarę w to przedziwne uczestnictwo Maryi w królowaniu Jej Syna”.

Wreszcie po czwarte, jest Ona pierwszym i najwspanialszym członkiem królewskiego ludu odkupionych przez Chrystusa. Tam, gdzie panuje współzawodnictwo skłóconych egoizmów, czyjeś wywyższenie budzi zazdrość u innych oraz ucisk lub pogardę wobec tych, którzy pozostali niżej. Ale Królestwo Chrystusa jest Królestwem miłości, toteż szczególnym wywyższeniem Maryi wszyscy czujemy się wywyższeni, zaś Jej szczególna bliskość z Chrystusem jest dla nas gwarancją szczególnej skuteczności Jej wstawiennictwa za nas wszystkich.

Korona na wizerunku Matki Najświętszej wskazuje jednoznacznie na Jej godność królewską, zatem z natury swojej ewokuje cztery wymienione przed chwilą prawdy. Ale wyraża również coś więcej. Jak wiadomo, obrzęd koronacyjny stanowi akt społeczny, jest jakby uwieńczeniem długiego już przywiązania ludu Bożego do tego oto wizerunku Matki Najświętszej. Korona jest wyrazem wdzięczności ludu Bożego za całą opiekę, jakiej zaznał od Matki Bożej w tym oto wizerunku; jest również znakiem ufności, że Maryja nadal będzie roztaczać z tego wizerunku swoją macierzyńską obecność wśród ludu swego Syna. W kazaniach głoszonych w sanktuariach maryjnych głosi się to niezliczoną ilość razy. Tutaj przypomnijmy słowa kardynała Hlonda podczas uroczystości koronacyjnej obrazu Matki Bożej Jazłowieckiej: „W ręce koronatora złożcie najświętsze uczucia waszych dusz. Będziemy koronować Matkę Bożą naszym hołdem ufności w Jej orędownictwo, którego dziś zwłaszcza tak nam potrzeba”.

Biblijna symbolika korony upoważnia nas ponadto do wiązania z koroną na wizerunku Matki Najświętszej paru następnych duchowych intuicji. Wskazywaliśmy na niezwykle obietnice z Księgi Izajasza, że sam Bóg stanie się koroną chwały swoich umiłowanych, oni zaś będą prześliczną koroną i królewskim diademem w Jego ręku. Otóż nie można mieć wątpliwości co do tego, że obietnica ta najpełniej została urzeczywistniona w stosunku do osoby Matki Najświętszej. Zatem korona na Jej głowie symbolizuje Jej niewyobrażalne zjednoczenie z Przedwiecznym Ojcem, z Synem Bożym, który raczył stać się również Jej Synem a naszym Bratem, oraz z Duchem Świętym. Ona jest najprawdziwiej ukoronowana samym Bogiem, a zarazem jest królewską koroną w Jego ręku. Rzecz jasna, jako Matka Kościoła, a zarazem jako Pierwsza spośród zbawionych przez Chrystusa zapowiada w ten sposób przyszłą chwałę nas wszystkich.

Ponadto warto tutaj przypomnieć biblijną ideę, że dzięki długotrwałym więzom miłości człowiek może stać się koroną drugiego człowieka. Czy wolno nam tę ideę odnieść do naszych więzi z Matką Najświętszą? Jeśli dzieci mogą być koroną matki, to z pewnością tak. Innymi słowy, staniemy się autentyczną, żywą koroną zdobiącą Matkę Najświętszą, jeśli napelni nas ten sam Duch Święty, który Ją ożywia.

Wstępna intuicja tej idei zawiera się w popularnym przeświadczeniu naszej pobożności maryjnej, że możemy upiększać oblicze Maryi naszymi pieśniami,

modlitwami i pełnieniem woli Bożej. Owocem tej właśnie intuicji jest na przykład wyraz „koronka”, określający pewne konkretne nabożeństwo maryjne. Za wyrazem tym stoi przeświadczenie, że pielęgnując to nabożeństwo, niejako wkładamy na głowę Maryi duchową koronę – wchodzimy bowiem w ten sposób głębiej w przestrzeń Jej władzy, która polega przecież na tym, że jest Ona bezgranicznie oddana Jezusowi oraz tym wszystkim, za których Jezus umarł na krzyżu.

Legenda na ten temat zapisana przez Justyna Zapartowicza z Miechowa w jego *Wykładzie Litanii Loretańskiej* (disc. 259, 5) mówi o młodym chłopcu, który miał zwyczaj codziennie ozdabiać kwiatami wizerunek Matki Najświętszej, kiedy zaś wstąpił do zakonu Franciszkanów i nie mógł już kontynuować tego zwyczaju, Matka Najświętsza miała mu objawić, że będzie Jej jeszcze milej, jeśli codziennie będzie ozdabiał Jej oblicze duchową koroną swoich modlitw.

Jak widzimy, stąd już tylko jeden krok do idei, jaką sformułowaliśmy przed chwilą: że naszą pobożnością maryjną i wiernością Jezusowi my sami możemy za łaską Bożą przemieniać się w żywą koronę Matki Najświętszej i w powód Jej dumy. Dotyczy to również całego narodu, jeśli ten pragnie widzieć w Maryi swoją Królową.

Z książki: J Salij, *Nasze czasy są O.K.*, Lublin 1997 Towarzystwo Naukowe KUL s.110-120.

Królowa Jasnogórska w poezji polskiej

Oczy Matki Bożej

Anonimowy autor opublikowanej w roku 1568 legendy o namalowaniu obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej miał nie tylko duszę poety, ale zapewne niejedną godzinę spędził na kontemplacji Obrazu³⁴. Taką bowiem wiedzę o tym, czym jest święty obraz, zdobywa się tylko przez praktykę. Centralnym tematem legendy są oczy Matki Bożej: żywe, pełne mocy, zdolne przemienić człowieka. Autor legendy musiał sam wielokrotnie zaznać tej mocy, żeby w ten sposób o niej pisać. Zresztą posłuchajmy:

34 *Historia o obrazie w Częstochowie Panny Maryey y o cudach rozmaitych tej wielebney tablice*, Kraków 1568. Przypominając niedawno tekst tej legendy, opatrzyłem ją tytułem: *Dlaczego święty Łukasz namalował obraz Matki Bożej?*, „W drodze” nr 8/1978, s. 32-34.

Abowiem jako czytamy Jana świętego nade wszystkie Apostoły Chrystus umiłował, tak nade inne Dziewica Błogosławiona umiłowała Łukasza, któremu tajemnice Boskie zjawiała, i sługą swym najwierniejszym udzielała (...). Oblicza jasnego z częstego patrzenia na Dziewicę Naświętszą, w czym się on bardzo kochał. A wszakoż nie dosyć był o tym się i często poglądać (taka była cudność Dziewice Naświętszej), ale też o tym zawsze myślał, o tymże tako sobie w pamięć wlepił, i też chocia jej świętej miłości oblicza nie widział, a wszakoż mniemał iżby zawsze przed sobą na nią patrzył... Do którejże gromada apostołska, wszystko zebranie wiernych chrześcijanów schodziło się do jej świętej miłości. Gdzie Apostołowie słowy swymi ku wierze nawrócić nie mogli wszechne skały, z której tylko widzenia wiele ludzi ku wierze świętej przystawało.

Święty Dionizy – kontynuuje legenda – przyciągnięty famą o niezwykłej piękności Najświętszej Dziewicy, kiedy ją zobaczył, wpadł w ekstazę, a wróciwszy nieco do siebie, powiada:

A abych wiary nie miał, byłbych tego domniemania, aby Bóg wszego stworzenia nad cię nie był cudniejszy. Ale wiem, iż ten, który ma światłość nieogarnioną, ciebie do nas jako promień swój posłał, aby oświeceni byli ci, których pierwsza niewiasta Ewa ślepe uczyniła.

Nie przypadkiem Dionizego wybrała legenda na bohatera tego wydarzenia. W średniowieczu uważano go bowiem za największego mistyka czasów apostołskich, widziano w nim między innymi autora cieszącej się ogromną popularnością *Hierarchii niebieskiej*.

Początkiem idei namalowania obrazu Bogurodzicy było – według tej legendy – głębokie poczucie osierocenia po Jej odejściu do nieba. Obraz miał uobecniać Tę, której tak dotkliwie zabrakło apostołom. Do dzieła tego – przejrzysta wskazówka dla malarzy! – najbardziej nadawał się Łukasz, jako ten, który najdłużej z Nią przebywał i najbardziej przeniknięty był Jej obecnością:

O jako szczęśliwymi byli, o jako wesołymi byli z częstego poglądania święci na Dziewicę Marią. Zasię jako nieszczęśliwi, jako smętni, gdy była od nich w niebo wzięta. Dlatego wszystka ona obec³⁵ święta Łukasza świętego prosiła, aby jej obraz wymalował, aby tak potomkowie chrześcijańscy ku nabożeństwu większemu i też miłosierdzia Boskiego otrzymaniu, patrząc na taką cudność byli poruszeni.

Legenda powiada jeszcze, że obraz namalowany został na desce ze stołu Świętej Rodziny:

A tako był stół Dziewice Mariej z drzewa cyprysowego, przy którym częstokroć z Synem swoim miłym ochłodę brała, tamże też robiła i o tajemnicach Boskich rozmawiała. Który oni dotykaniem rąk swoich przenaświętszych poświęcili.

35 Obec – ogół, społeczność.

Pokrewieństwo kultu świętych obrazów z tajemnicą Eucharystii stanowi jedną z podstawowych idei teologii ikony. Natomiast sam motyw stołu z Nazaretu pojawia się stosunkowo często w kazaniach ku czci Pani Jasnogórskiej. Nawiązywali do niego również w jednej ze swoich pieśni konfederaci barscy:

Tam Twoje serce, kędy skarb przebywa,
Gdzie królewski stół Twój obraz nakrywa:
Niech odrobiny z niego nam spadają,
Twoi synowie niech głodu nie znają.

Przelotnie odwoływał się do tego motywu Cyprian Norwid w Częstochochowskich wierszach, aby w ten sposób dać wyraz swojemu zachwytowi, że Syn Boży naprawdę przeszedł przez tę ziemię jako jeden z nas:

A ta deska skąd – wiecie?
Oj, ze stołu, gdzie jadał
Nasz Pan Jezus, i siadał
Za tym stołem, tu, w świecie.

Ale wróćmy do motywu oczu Matki Bożej – miłosiernych dla grzesznika, dodających otuchy upadającemu, groźnych dla szatana – oczu, które każdemu mają coś do powiedzenia, a mówią to, czego każdemu najbardziej potrzeba. Musiał to być częsty wątek w staropolskim kaznodziejstwie maryjnym, a zapewne również w pieśniach, skoro luteranin Erazm Glicner w roku 1598 „napadał na obraz częstochochowski: nie mogła tak wyglądać Matka Boska i z oczyma tak nie strzygła, jako ten obraz ma oczy ciekawe, patrząc w każdą stronę za każdym, gdzie się kolwiek obróci: dziwno, że tej mataninie tak wielczy i roztropni ludzie wierzą”³⁶.

Tej prawdy – że Maryja patrzy na swoje dzieci, dobre i złe, ale także na ich wrogów – nie da się jednak usunąć z pobożności maryjnej. Jej nie wysychającym źródłem jest antyfona Witaj Królowo, ze swoją prośbą „przeto miłosierne oczy Twoje na nas zwróć”, ale przede wszystkim żywy kontakt z Bożą Matką obecną tajemniczo w swoim obrazie.

Spojrzyj na nas miłosiernie, o miłosierna Królowo! – wołał w roku 1717 ojciec Cyprian Sapecki na Jasnej Górze podczas jednego z nabożeństw poprzedzających koronację Obrazu – Twoje bowiem, łaskawe oko jak słońce rozpędza grzechowe ciemności. Twojego oka nie mogą znieść szatani, dlatego uciekają. Na kogo Ty wejrzysz, o Pani łaskawa, by był największy grzesznik, to zapłakać musi!³⁷

36 A. Bruckner, *Dzieje kultury polskiej*, Warszawa 1958, t.2, s. 224, przypis 1.

37 *Nowa korona chwały Naywyższej Monarchini Nieba i Ziemi, Naiśniejszey Królowey Polskiej*, wyd. Antoni

Ale właśnie ten wątek – najściślej religijny, któremu potrzebna jest najlepsza duchowa gleba, bo gleba kontemplacji – przedstawia się stosunkowo ubogo w naszej poezji jasnogórskiej. Nie znaczy to oczywiście, że jest to poezja mało religijna, bo często przenika ją wręcz religijna żarliwość: płynie ona jednak raczej z duszy narodu, który czci w Maryi swoją Królowę, niż z modlitewnego wpatrywania się w Wizerunek. Obrona Jasnej Góry podczas potopu szwedzkiego kazała poetom czcić Panią Jasnogórską jako zwycięską Królowę, do której w pełni odnoszą się słowa liturgicznej antyfony, zaczerpnięte z Pieśni nad pieśniami, że jest ona groźna dla nieprzyjaciół, *terribilis ut castrorum acies ordinata* (6,4 i 10). Później, kiedy naród poddawany był coraz to nowym próbom i utrapieniom, widziano w Jasnogórskiej Królowej niejako współtowarzyszkę cierpień, pocieszycielkę, która odsłania sens narodowych doświadczeń i wskazuje drogę duchowego odrodzenia. Dopiero stosunkowo niedawno poeci zaczęli się w skupieniu i uważnie przypatrywać samemu Obrazowi.

Rzecz jasna, zarysowane przed chwilą trzy części niniejszej wypowiedzi nie obejmą wszystkich znanych mi wierszy ku czci Matki Jasnogórskiej³⁸ (a przecież wielu wierszy zapewne nie znam). Nie zmieszczą się w tym ujęciu ogólne prośby o błogosławieństwo (np. Sarbiewskiego *Do Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej*, tłum. Wł. Syrokomla) ani Jej przebywania wśród ludzi (np. Wespazjana Kochowskiego *Hymen Jasnogórski*). Nawet żarliwego oddania się Pannie Częstochowskiej, jakie po śmierci żony wypełnił Wincenty Pol, nie będziemy bliżej omawiać. Przypomnijmy jedynie ten fragment, w którym poeta, składając Adresatce swojego wiersza to co ma najdroższego, ma świadomość powtórzenia jak gdyby gestu dawnych królów i hetmanów:

Tu – gdzie królowie składali koronę,
 Tu – gdzie hetmani składali buławę,
 Ja się uciekam pod Twoją obronę
 Życiem złamany i boleścią krwawy...
 Przyjm moje pióro i pierścionek żony
 I niech po stracie łaska Twa posili
 I silna wiara.

Nowakowski, Jasna Góra 1718; por. „W drodze” nr 5/1978, s. 66.

38 Wielką pomocą w dotarciu do tych wierszy były dla mnie antologie maryjne: T. Jodelka, *Polska poezja maryjna*, Niepokalanów 1949, s. 387; *Matka Boska w poezji polskiej* (zbior.), t. 2, Antologia, Lublin 1959, s. 286. Oczywiście, sporo wierszy tu omawianych lub wspomnianych nie znajduje się w żadnej z tych antologii.

Królowa Zwycięska

Oczy Pani Jasnogórskiej po raz pierwszy pojawiają się w naszej poezji w dużym poemacie *Oblężenie Jasnej Góry Częstochowskiej*, napisanym przed rokiem 1673. Są to oczy groźne, straszliwe dla tych, którzy chcą skrzywdzić jej dzieci. Oto Matka Boska jakby zstępuje z obrazu i obchodzi mury swojej oblężonej przez Szwedów twierdzy:

Nic nie mówiła, a przecie tak sroga
 Była i taka od Jej twarzy trwoga
 Na wojsko biła, że drudzy padali
 I od Jej wzroku zaraz umierali;
 Drudzy twarz, kędy chodziła schylali
 Albo czapkami oczy zasłaniali.

Nie jedyna to forma Jej potężnej interwencji. W utworze wykorzystany został na przykład popularny w ikonografii motyw opiekuńczego płaszcza³⁹, którym Matka Boża osłaniała oblężonych:

A gdzie najbardziej strzelano z armaty,
 Tam zasłaniała ściany krajem szaty.
 Ani z żelaza ni z miedzi ulane
 Ni z dyamentu baszty wykowane
 Nigdy takowej twardości nie miały,
 Jak te, które się szaty dotykały
 Niebieskiej Pani, pod którą w pokoju
 Stały i najmniej nie bały się boju.

Co więcej, Maryja stała się wówczas Bojowniczką, która czynnie włączyła się do walki. Ujęcie takie umożliwiło poecie jego założenie, że walka oblężonych ze Szwedami była starciem sił dobrych z mocami zła:

Gniewliwa, straszna, i tak wykręcała
 Mieczem, jakoby obóz wyciąć chciała;
 Twarzą groziła, a z miecza błyskały
 Ognie tak wielkie; że świat oświecały.
 Za każdym machem tak się wszystkim zdało,

39 Por. „Płaszcz Matki Bożej”, rozdział w: *Legendy dominikańskie*, opr. Jacek Salij, Poznań 1981, s. 19-22.

Jakby się niebo jasne otwierało,
 A kędy tylko końcem sztych podała,
 Chociaż z daleka, choć się nie tykała
 Namniej ich ciała, od strachu padali
 I bez zadanej rany umierali.

Potop szwedzki był wydarzeniem proroczym, w którym Polacy na całe wieki otrzymali wytyczną postępowania na sytuacje po ludzku beznadziejne. Dopóki trwa Jasna Góra, ta polska arka Noego, nie wolno nam wątpić w ratunek i odrodzenie. W poemacie znajdziemy inną jeszcze metaforę: Jasna Góra jest sercem Królestwa Polskiego. Dopóki serce zdrowe i nietknięte, jest nadzieja, że zadane nam rany da się uleczyć:

Aby Królestwo po tym Polskie znało,
 Że gdy już prawie przez rozdarte ciało
 Do serca przyszedł nieprzyjaciół srogi,
 Ona go Sama zbiła z dalszej drogi
 I jako Pani, swego obroniła
 Państwa i do sił pierwszych przywróciła.

Przypomina się tu słynna wypowiedź gubernatora Franka o znaczeniu Jasnej Góry dla Polaków.

Potęga Królowej Polski jest trwałym wątkiem poezji jasnogórskiej, również tej, która powstała w czasach narodowych nieszczęść. Na szczególną uwagę zasługuje tu *Częstochowska* Wiktora Gomulickiego, wiersz napisany na samym początku XX wieku. Potęga Tej, którą poeta lęka się nazwać po imieniu, której nie śmie nawet nazywać Matką ani Królową, ani Dziewicą, przekracza oczywiście nasz rozum: „tam, gdzie lśni Twa potęga, Już rozumu grot nie sięga”. Potęga ta przejawia się w kosmicznej współpracy nieba z ziemią, w której Ona – Częstochowska – jest Świadkiem i Pośredniczką gigantycznego przepływu energii duchowej w obu kierunkach:

Gdyby zebrać w jedno łoże
 Łzy, co płyną Tobie w dani,
 Wielkie bólów ludzkich morze
 Zgasiłoby żar otchłani;
 I Bóg może łzami tymi
 Zmyłby grzechy naszej ziemi.

Gdyby skupić wszystkie blaski,
 Wszystkie dobra i pociechy,
 Które rozsiał dar Twej łaski –
 I na trony i na strzechy,
 Światła tego by starczyło,
 By dzień zatlić – pod mogiłą.

Groźne oczy tej Pani nie patrzą już – jak w *Obleżeniu Jasnej Góry...* – na innych, ale na nas samych, dla naszego dobra. Rozpraszają w nas siły rozprasające, które usiłują zniweczyć owoce owego gigantycznego zespalania się nieba z ziemią:

Tu namiętność, ówdzie nędza
 Falom życia szaleć każą;
 Częstochowska szal rozpędza
 Miłościwą Swoją twarzą;
 Na świat cisza idzie od Niej,
 W której naród kroczy zgodniej.

Dodajmy jeszcze, że jest to mariologia ściśle teocentryczna: potężna Pani jest jedynie pokorną Pośredniczką. Żeby to podkreślić, Gomulicki używa popularnej w mariologii metafory zwierciadła⁴⁰:

Twój jest obraz, jak zwierciadło
 Promieniste, choć w ukryciu;
 Światło Boże gdy nań padło,
 Nam odsyłasz je w odbiciu.

Potężną pomoc Maryi w zmaganiu się sił dobra i zła wyrażać może metafora zwycięstwa nad zbrojcami. Piosenka ludowa śpiewana w Łęczyckiem⁴¹ opisuje następujący epizod, jaki miał się wydarzyć podczas przewożenia świętego obrazu do Częstochowy:

Czterech zbrojców przyleciało,
 obraz święty szarpać chciało.
 – Stójcie, zbrojce, nie szarpajcie,

40 „Zwierciadło – pisał wybitny mariolog polski w pierwszej połowie XVII wieku – aby przyjąć obraz, musi być czyste i lśniące. Bóg Ojciec nie odbijałby w tym maryjnym zwierciadle swojego Obrazu, to znaczy własnego Syna, gdyby nie było ono wolne od wszelkiego brudu i wszelkiej zmazy. Życie Błogosławionej Dziewicy jest pierwszym odbiciem wzoru. Chrystusowego, toteż słusznie nazywamy ją zwierciadłem bez zmazy” (Justyn z Miechowa Zapartowicz, *Zwierciadło sprawiedliwości*, „W drodze” nr 8/1979, s. 74-78.

41 O. Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 22, Wrocław 1964, s. 169.

bo tu marnie wyginiecie.

Zbójce się tak polękali,

aże krzyżem popadali.

W *Wierszu na cześć Matki Boskiej Częstochowskiej* Kazimierzy Iłłakowiczówny ruch jest dwukierunkowy – potężne siły zła słabną w jej Obecności, zaś osłabione dobro nabiera sił:

Od świętej twarzy, pozłocistego płaszcza
ucieka wilk, kryje się warcząc w chaszczce,
ptak zziębnięty do stóp jaśniejących przypada.

Jako podsumowanie powyższych uwag warto przypomnieć *Modlitwę do Bogarodzicy* Baczyńskiego. Wiersz ten nie należy ściśle do poezji jasnogórskiej, jednak poeta wyraził w nim samą istotę obecności Bożej Matki w walce dobra ze złem:

Która ziemi się uczyłaś przy Bogu,
w której ziemia jak niebo się stała,
daj nam z ognia Twego pas i ostrogi,
ale włóż je na człowiecze ciała.

Jest to więc specyficznie chrześcijański program przeduchowienia ziemi, program wynikający z tajemnicy Wcielenia. Postać Bogarodzicy nie tylko wyznacza cel tej walki – już ziemia może i powinna stawać się niebem (nadzieja zaiste wbrew nadziei, jeśli pamiętać, że były to czasy okupacji). Za pośrednictwem Bożej Matki może dokonywać się jakby kontynuacja Wcielenia: wielki ideał przekroczy sferę marzeń czy bezowocnych wysiłków, bo naprawdę wcieli się w nas moc Boża.

Królowa umęczonego narodu

Tylko w religiach bałwochwalczych klęska narodu jest odbierana jako znak słabości jego bogów. Toteż Polacy, nawet w najciemniejszych godzinach swojej historii, nie zwątpili w moc swojej Królowej. Początkowo, zwłaszcza w czasach konfederacji barskiej, wiarę tę wyrażano przez prostą ufność w Jej obronę. W miarę jak poniżenie narodu się przedłużało i biorąc po ludzku, nie było powodów do nadziei, modlitwy poetów stają się głębsze i bardziej żarliwe. Poeci błagają Królową Polski

o ratunek, często zaś po prostu o to, aby doznawanym cierpieniom nadała ona wartość męczeństwa. A więc są to modlitwy podobne do tych, jakie ludzie zanoszą również w chwilach osobistych utrapień.

Przypatrzmy się pod tym kątem modlitwom Zygmunta Krasińskiego. Jego *Hymn* to coś dużo więcej niż głośne wołanie o wskrzeszenie Ojczyzny i odwiązanie jej „od katowskich kołów”. Jest to wołanie do Tej, która nie tylko jest wystarczająco potężna, aby dokonać tego cudu, ale z własnego doświadczenia zna zarówno ciężar cierpienia, jak radość zmartwychwstania:

Królowo Polski, Królowo Aniołów! (...)
 Wiesz, co rozpaczy wrzący w sercu ołów,
 Co krzyż i gwoździe i rany i ciernie,
 Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich cieki
 I jak konania ból boli bezmiernie (...)
 Lecz wiesz zarówno, jakim blaskiem płonie
 Ukrzyżowany – wniebowzięt po zgonie.

Poeta przypomni więc tylko „Królowej Polski, Królowej Aniołów”, że Polska – mimo swoich cierpień i wbrew powszechnej apostazji narodów – jest wciąż wierna i że „poznasz, Królowo, poddanych po głosie”.

W *Psalmie dobrej woli*, Ta, na której „skroniach lśni polska korona”, błaga o uchryśtosowanie polskiej krwi przelanej za wolność Ojczyzny:

W dłoniach jej śnieżnych jakby dwa puchary –
 Krew Twoją własną w prawym Ci kielichu
 Podaje, Panie – a w lewym, co niżej,
 Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży
 Poddanych swoich – krew płynną przez lata
 Po wszystkich ziemiach pod mieczem Trój-kata!
 I boskim, tamtym wzniesionym kielichem
 Błaga drugiemu przełaski Twej, Panie!

Prośby do Pani Jasnogórskiej często odwołują się do historii. Chrześcijanie przejęli zwyczaj zakorzeniania swoich modlitw w historii jeszcze od starożytnych Żydów,

którzy prosząc o Boże dary, przypominali Bogu Jego łaski dawniejsze i błagali Go o ich odnowienie. W poezji jasnogórskiej odwołanie się do historii ma zwykle dwie formy: albo wskazuje się na pomoc, jaką otrzymaliśmy od Bożej Matki w obronie przed Szwedami, albo też podkreśla się, że przecież wolna Polska zawsze wiernie służyła Chrystusowi. Świadomość niedopełnienia ślubów Jana Kazimierzowych zaczęła drążyć duszę polską dopiero po upadku powstania styczniowego (w poezji dał jej wyraz zwłaszcza Stanisław Wyspiański w *Królowej Korony Polskiej*). Poeci romantyczni przeważnie idealizowali historię swojej Ojczyzny. Oto jedna z prośb Zygmunta Krasińskiego:

Niegdyś Cię, Mario, w świętej Częstochowie
 O lud swój polscy błagali królowie,
 Niegdyś Cię Polska, jeszcze wielka, cała,
 Królową swoją przed zgonem obrała,
 Naród ten niegdyś służył Ci orężno,
 Bój Chrystusowy tocząc z poganami –
 Królowo Polski i Litewska Księżno,
 Zmiłuj się nad nami!

Pochodząca z *Beniowskiego*, z Pieśni IX, słynna scena dwóch spotykających się Matek Boskich – Poczajowskiej i Podkamieńskiej, jak twierdzi Juliusz Kleiner⁴² – domaga się krótkiej uwagi wstępnej. Mianowicie cechy charakterystyczne żadnej z dwóch postaci nie odpowiadają rzeczywistym wizerunkom, jakie znajdują się we wspomnianych sanktuariach. Ta natomiast, która powiada o sobie, że króluje „z Poczajowa”, która skarży się żalobnie na bezmiar udręki swoich poddanych, została wyposażona w obie najbardziej charakterystyczne cechy Wizerunku Jasnogórskiego: „twarz miała czarną” oraz ranę na twarzy⁴³. W obu cechach poeta dostrzegł zresztą głębsze znaczenie, o czym za chwilę. Rzecz to skądinąd paradoksalna: pierwsze w naszej poezji głębsze wpatrzenie się w Wizerunek Jasnogórski przedstawiono pod imieniem zupełnie innego wizerunku, również zresztą sławnego i bardzo czcigodnego.

Na obraz Matki, szerniałej od nieszczęść swojego ludu, nakłada Słowacki obraz Żniwiarki i Ogrodniczki, która gromadzi dla swojego Syna – również przecież niegdyś

42 J. Kleiner, *Echo folkloru szwajcarskiego w „Beniowskim”*, „Roczniki humanistyczne” nr 1/1958, s. 168-189.

43 Druga Madonna „w sercu nosi mieczów trzy żelaza”, a więc jej obraz również odbiega od rzeczywistego wizerunku Matki Boskiej z Podkamienia.

zabitego – Jego męczenników. Językiem ludzkim nie da się już chyba bardziej przejmująco wyrazić bezmiaru męczeństwa, a zarazem niełatwej wiary w jego sens:

Królestwo moje, rzekła matka czarna,
 Wyniszczone jest mieczem i płomieniem;
 Ptaszka małe, gdy lecą po ziarna,
 Znajdują pola, siane kul nasieniem.
 Ja jestem matka ludzi gospodarna,
 Zbieram, co sieją... i nad pokoleniem
 Umarłych – moje wysłałam Anioły,
 Męczennikami napełniać stodoły. (...)
 O siostrzo moja! morem ja owiana
 I czarna dymem smętnego jałowcu,
 Do mego Dziecka krwawego i Pana
 Każę się często nieść... i na grobowcu
 Siedząc, mam dziątek umarłych kolana
 Pełne – nie mówię, na jakim manowcu
 Zbierałam kwiaty ludzkie nieszczęśliwe,
 Lecz On je widzi u nóg – te nieżywe...

Zauważmy, że oblicze Matki Bożej Słowackiego jest czarne z zupełnie innych powodów niż twarz Oblubienicy z Pieśni nad pieśniami, która wołała: „Czarna jestem, lecz piękna (...) nie patrzcie na mnie, żem czarna, bo opaliło mnie słońce” (1,5n). W duchu Pieśni nad pieśniami, z uwzględnieniem niektórych interpretacji patrystycznych⁴⁴, odczyta czarne oblicze Częstochowskiej Matki dopiero Anna Kamińska w swojej Pieśni Jasnogórskiej:

W wielkim Słońcu całaś opalona
 Twoje blizny dwie łez koleiny
 Całaś mroczna cała zamyślona
 Jakby moje zmoczyły Cię winy

Bolesna obecność w męczeństwie swych dzieci odnawia – zdaniem Juliusza Słowackiego – bliznę, jaką niegdyś zraniono jej twarz:

44 Poetka nawiązuje być może do znanej wypowiedzi św. Grzegorza Wielkiego, dostosowując ją jednak do dogmatu maryjnego: „Nie patrzcie na mnie, żem śniada, że mię spaliło słońce. Słońcem jest Pan, z Jego przyjściem straciłam swą barwę. Bo im bardziej zbliżamy się do łaski, tym więcej rozpoznajemy swą grzeszność” (*Super Cantica Cantorum expositio*, 1,19 - PL 79, 486).

Tak się skarżyła siostrze, a zadana
Turecką szablą na twarzy obraza,
Po której... uśmiech pozostał i rana,
Stała się teraz widną, jako skaza
Nowo boląca.

Tu z kolei przypomina się *Czarny portret* Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która tę samą prawdę – że rana na obliczu Pani Częstochowskiej została przecież zadana Komuś Żywemu – odkrywa po swojemu. Mianowicie policzek „Madonny hebanowej” został pocięty nienawiścią. Dlatego najbardziej drogocenne wota, ani nawet żywe serce

nie ukoją, nie uciszą zdumienia
które się w oczach twych mieni...

Z kolei dla Lechonia, zraniona twarz *Matki Boskiej Częstochowskiej*, która przecież żyje, jest źródłem nadziei, że również rany, jakie zadawane są naszemu narodowi – a był to już piąty rok okupacji, moment męczeństwa powstańczej Warszawy – nie sprowadzą śmierci:

I Tyś była też mieczami pogańskimi ranną,
A wciąż świecisz ponad nami, Przenajświętsza Panno.

Królowa męczeńskiego narodu – podkreślaliśmy już to – jest Matką bolesną, ale nie bezsilną: Niemoc Matki wobec krzywd zadawanych dzieciom jest pozorna, świadczy jedynie o tym, że zamysły Boże wobec tych, których On kocha, są tajemnicze. Przecież losy Polaków nie są pierwszym przykładem Bożego milczenia wobec krzywdy zadawanej sprawiedliwemu. Bóg milczał nawet wówczas, kiedy ukrzyżowano Jego Syna. Rzekoma bezsilność Królowej Polski w męczeńskich dniach Jej narodu – zauważali poeci – wynika stąd, że oto jakby odnawia się tajemnica Wielkiego Piątku. Myśl tę znajdujemy w ostatniej zwrotce *Do Najświętszej Marii Panny* Norwida:

Kraju, co jako Syna Twego szata,
Porozrywany na wiatrach ulata,
Ludu, co rodzi się z łez wyczerpnięciem –

Co rozpoczyna mękę nie-mowlęciem,
 A kona wieki i skonać nie może:
 „Czemuś opuścił mię (wołając) Boże!”
 Ludu – co świata rozrządzał połową
 I nie ma grobu ze swymi orłami...
 O! Matko dobra Ty, P o l s k a K r ó l o w o,
 Módl się za nami...

W kaznodziejskim niemal wywodzie prawdę tę rozwija siostra Nulla (Lucyna Westwalewiczówna) w wierszu *Matka Boska Zwycięska* w roku 1944:

Nie przeszkodziłaś Męce,
 nie wołałaś do Ojca z rozpaczą:
 – „Ratuj Syna!
 Chciej porazić Jego sierpaczy
 siarki i ognia deszczem!”
 Tylko duszą i ciałem
 – sercem wszystką tkliwością nabrzmiałym
 BYŁAŚ PRZY NIM.
 Jak przy nas teraz JESTEŚ.
 Pod naszym wielkim stoisz krzyżem
 pośród szrapneli świstów. (...)
 A jeśli dzisiaj znowu
 tak jak wtenczas
 – przy Twoim Pierworodnym i Jedynym – milczysz,
 chociaż na Twoje słowo
 musiałyby okowy
 a łańcuchy wrosłe w ciało pęknać –
 to widać i ten krzyż także,
 pod którym stoisz z pochyloną twarzą,
 Matko Boleści mężna,
 w zachodu łunach rdzawych
 – ten polski krzyż,
 który rozdzielił świat granicznym słupem,
 coś jeszcze musi w nas odkupić
 i coś zbawić.
 Lecz Ty w krzyżu naszym ZWYCIĘŻYSZ.

Więcej niż Królowa

Wczytanie się w poezję jasnogórską ostatnich kilkadziesiąt lat pomoże zrozumieć głębsze – nie zawsze uświadamiane – powody, dla których rozpowszechnił się ostatnio obraz Matki Częstochowskiej bez korony. Poezja jest nadzwyczaj wrażliwą obserwatorką przemian duchowych – zwykle pierwsza je zauważa i pierwsza potrafi je nazwać po imieniu. Otóż w wierszach poetów współczesnych i niedawno zmarłych odnajdujemy dwa nowe wątki. Nie całkowicie nowe, rzecz jasna, jednakże nigdy przedtem z taką wnikliwością nie rozwijane. Po pierwsze, że opieka Bożej Matki rozciąga się nie tylko na naród, ale na każdego z jego członków. I po wtóre: poeci zaczynają coraz uważniej kontemplować Częstochowski Wizerunek. Następuje więc obustronne zbliżenie: Pani Jasnogórska niejako jeszcze bardziej zbliża się do nas, do każdego z nas, z drugiej zaś strony, my sami zbliżamy się do Niej. Dwukierunkowość bardzo charakterystyczna dla współczesnego renesansu wiary.

Jeśli więc nie przywiązujemy dzisiaj tej samej co dawniej wagi do Jej królewskiego tytułu, nie wynika to z jakiegokolwiek negacji, ale właśnie z pogłębienia naszych związków z Matką Zbawiciela królującą na Jasnej Górze. Jest Ona naszą Królową, oczywiście, ale w tytule tym dostrzegamy coś dużo więcej, niż może się w nim zmieścić. Wolimy więc niekiedy unikać tytułu i oglądać Ją bez korony, żeby „tego więcej” nie zagubić. Jest tylko jeden tytuł na miarę tej Pani: Matka.

Przypatrzmy się więc błaganiom poetów, aby Królowa Polski – właśnie Królowa! – objęła swoją potężną opieką każde ze swoich dzieci z osobna. Jan Lechoń niejako wyjmuje nam te słowa z ust, bo przecież od dawna wiemy, że Jej królowanie na tym właśnie polega:

Každy ranny niechaj znajdzie opatrunek czysty
I od wszystkich zagubionych niechaj przyjdą listy.
I weź wszystkich, którzy cierpiąc patrzą w Twoją stronę,
Matko Boska Częstochowska, pod Twoją obronę.
Niechaj druty się rozluźnią, niechaj mury pękną,
Ponad Polską, błogosławiąc, podnieś rękę piękną,
I od Twego, łez pełnego, Królowo, spojżenia
Niech ostatnia kaźń się wstrzyma, otworzą więzienia.
Niech się znajdą ci, co z dala rozdzieleni giną,
Matko Boska Częstochowska, za Twoją przyczyną.

Iłakowiczówna – ten wiersz również już był cytowany – wykorzysta znany już nam motyw zstąpienia Maryi z obrazu:

Gdy zachoruje dziecko w domu jakim na Mazowszu,
gorączkuje, i kaszle, i zdaje się że już nie będzie zdrowsze,
gdy zaśnie na fotelu w nocy pielęgniarka lub służąca,
a serce bije mocno tak i głowa tak gorąca –
któż to zsuwa się jak jasny obłok po ścianie?
kto z obrazu zszedł i pochylony nad chorym czuwa?
kto zmienia okład, poduszkę wyżej podsuwa?
Oczy jaśniejące szczęściem, a na ustach o dziecko troska...
To Częstochowska Pani, o mili moi, to Matka Boska!

W wierszu *Królowa wygnańców* Bogdana Ostromęckiego Matka jest natomiast „bosa i bez korony”. Ale właśnie wtedy Jej królewskość ujawnia całą swoją wielkość: ta Królowa nigdy nie opuszcza swego ludu, a zwłaszcza w dniach klęski chce być jego światłem. Czyż mogłoby być inaczej? Przecież Maryja jest promieniem Tego, którego ognisty rydwan Obecności – jak czytamy u proroka Ezechiela – towarzyszy ludowi nawet w ziemi niewoli. W wierszu Ostromęckiego nie zabraknie też wzmianki o tym, że Królowa ta pojawia się zwłaszcza przy najsłabszych i najbardziej bezradnych:

Królowo bosa i bez korony
słyszemy szelest Twoich stóp
po ziemi tej, podległej tylko Tobie,
Światło idące na wygnanie
koleinami piaszczystych dróg,
Światło idące z ludem w żałobie.
To Ty poiłaś dziecko zabitej
a osłoniłaś starcowi oczy,
aby bez zgrozy skonać mógł,
Twój cień, Twój profil, Twoja ręka,
gdy pięścią niebo zasłaniał wróg,
gdy Człowiek – klękał.

Trzy jeszcze wiersze chciałbym zasygnalizować, a wszystkie trzy wydają się być owocem jakiejś błogosławionej godziny zażyłości z Matką Jasnogórską. Mam na

myśli *Niewidomą dziewczynkę* ks. Jana Twardowskiego, *Pieśń Jasnogórską* Anny Kamieńskiej oraz wiersz zaczynający się od słów *Matko Boska ciemnolica* Wiktora Woroszyńskiego⁴⁵.

Niewidoma dziewczynka, oglądająca Obraz palcami, to prostaczek, któremu objawiono mądrość Bożą, zakrytą przed uczonymi i teologami (por. Mt 11,25). Za-uważmy, że palce jej zaledwie na krótko zatrzymują się na koronie Matki Boskiej: „korona Twoja zimna – ślizgam się po niej jak po gładkiej szybie”. Poeta wykracza tu poza moralistyczne przesłanie, że miłość szukająca spotkania z Ukochaną Osobą, nie zna żadnych przeszkód. Dziewczynka bowiem ogląda Obraz Jasnogórski nie tak jak widzący, lecz w sposób doskonalszy od nich. Potrafi bowiem odczytać dalszy ciąg *Magnificat*, jaki Matka Boska – wypłakawszy swoje oczy w Wielki Piątek – pisze alfabetem Braille’a, „którego nie znają teologowie, bo za bardzo widzą”. A właśnie w wielkopiątkowych nocach człowiek najściślej jednoczy się z tą Matką. Wprowadzie wówczas

nie można poznać
To nic
wystarczy kochać słuchać i obejmować

Pieśń Jasnogórską Anny Kamieńskiej uważam za jeden z najlepszych wierszy tej poetki. Nie tu miejsce, żeby analizować jego niezwykle kunsztowną strukturę. Od strony treści, wiersz ten jest owocem jakiegoś serdecznego „sam na sam” z Wizerunkiem, którego każdy dosłownie szczegół nabiera duchowego i to wielorakiego znaczenia. Blizny na twarzy, ciemne oblicze, usta Bożej Matki, zdobiące Obraz klejnoty, a przede wszystkim Dzieciątko – mówią poetce o tym samym, choć w różny sposób: że Matka ta zna aż do końca zarówno ludzkie ły, jak i naszą grzeszność, ale właśnie dlatego jej uśmiech objawia radość ostateczną.

Stara idea, że bogate ozdoby Obrazu są niczym w porównaniu do Skarbu prawdziwego, nabrała u Kamieńskiej niezwykle prostoty, a przez to prawdziwości. Kiedyś Gomulicki myśl tę wyrażał w duchu drażniącej nieco deklaratywności i egocentryzmu:

Obciążonaś srebrem, złotem,
Sukienkami perłowymi;

45 Dwa ostatnie wiersze powstały w styczniu 1977; por. „W drodze” nr 8/1978, s. 3; „Więź” nr 5/1978, s. 17.

Lecz najdroższym Twym klejnotem:
Miłość całej naszej ziemi.

Kamieńska – bez silenia się na głębię, a tak głęboko! – zauważa Skarb większy jeszcze niż „miłość całej naszej ziemi”:

Po co Ci turkusy i rubiny
Srebro złoto chciwości się lęka
Wszystko to nie warte tej Drobiny
Tego Skarbu co trzymasz na rękach

Właśnie dzięki temu Skarbowi nasze bóle i grzechy nie kończą się na sobie samych:

Krwią człowieczą
Prawda nasycona
Mlekiem ludzkim
Mądrość wykarmiona

Toteż cały wiersz – choć tyle w nim mowy o łzach i winach – przenika atmosfera niebiańskiego spokoju:

Niech uśmiechną mi się usta Twoje
Choć widziały dość bólu ludzkiego
A mnie pozwól spocząć w Twym pokoju
W szczęściu Twego smutku matczynego

Natomiast blask drżący na rzęsach *Matki Boskiej ciemnolicej* Woroszylskiego oświeca raczej ciemności stosunków międzyludzkich. Poeta modli się o łaskę podwójnego upodobnienia do Niej. Ona przecież, która „przybyła z dalekich stron”, jest nam tak bliska, zaś rany Jej zadane jednak zabiły się:

Matko Boska ciemnolica
przybyła z dalekich stron
spraw by nikt tu nie był obcy
każdy żeby miał tu dom

Matko Boska ze szramami
rany ducha zasklep nam
krwawe rowy dzielą ludzi
niech się ściagną na kształt szram

Z pewnością trzeba było osobiście doświadczyć świętej atmosfery, jaką emanuje ten Wizerunek, żeby napisać takie słowa.

A przecież – choć tyle autentycznej głębi religijnej we współczesnych wierszach jasnogórskich – wciąż jeszcze poeci raczej mówią do Bożej Matki, niż Ją słuchają. Kochające oczy Królowej Polski nie przeniknęły jeszcze do głębi polskiego słowa poetyckiego. Poezja jasnogórska zapewne nie osiągnęła jeszcze przeznaczonych jej szczytów.

Matka Boska niewierzących

Królowa niekatolików

Ogłaszając Maryję Królową Polski, Jan Kazimierz nie mógł oczywiście nie wiedzieć o tym, że nie wszyscy mieszkańcy jego państwa są katolikami. Nie wydaje się jednak, żeby przeżywał jakiś niepokój, czy ma prawo podjąć taką decyzję. Subiektywizm nie ogarnął jeszcze wówczas powszechnej świadomości i ludziom zwykle nie przychodziło nawet na myśl, że coś by mogło być prawdą jedynie w granicach ich świadomości. Jeśli ktoś wierzył, że to, czego Kościół katolicki naucza o Maryi, jest prawdą, wierzył oczywiście, że jest to prawdą niezależnie od czyjejś wiary lub niewiary: wiara, jeśli jest prawdziwa, nie ustanawia bowiem prawdy, ale ją odsłania. Nie zapominajmy ponadto, że swoją decyzję Jan Kazimierz podjął jako król, przeświadczony o szczególnych prerogatywach swojej władzy nad całym krajem.

W okresie zaborów sytuacja się zmieniła. Zwłaszcza w momentach powstań narodowych wyraźnie uświadamiano sobie równoprawność wszystkich Polaków, bez względu na wyznanie, wobec Matki Ojczyzny. Protestanci i Żydzi nie tylko walczyli o wolność ojczyzny, ale nie zabrakło ich również wśród męczenników i bohaterów sprawy narodowej – żeby wymienić Szymona Konarskiego czy Berka Joselewicza. W dniach powstania styczniowego wielu Żydów ogłosiło się „Polakami wyznania Mojżeszowego” i idea ta zyskała sobie popularność w całym społeczeństwie. Powstał więc problem: Jak pogodzić wielowyznaniowość społeczeństwa z tradycją, tak drogą większości tegoż społeczeństwa, że Maryja jest szczególną Królową Polaków? Z jednej strony należało przecież w pełni uszanować odrębności

wyznaniowe; z drugiej zaś strony nie wolno było odciąć sprawy narodowej od wymiaru religijnego, bo dopiero w nim uzyskuje ona niewyczerpane źródło siły.

Przypatrzmy się, jak próbował rozwiązać ten problem ks. Aleksander Jełowiecki. Oto 31 maja 1863 roku przyszło mu poświęcić sztandar narodowy, na którym centralne miejsce przyznano Królowej Jasnogórskiej: „na jednolitej krwawej tarczy, promieniami złotymi w troje przedzielonej, połyskują jasne herby Korony, Litwy i Rusi, a w ich pośrodku w obrazie częstochowskim króluje Maria”. Było to jednoznaczne wyznaczenie królewskich uprawnień Maryi wobec narodu polskiego: nasi królowie elekcyjni w centralnym miejscu swojego sztandaru umieszczali własny herb rodowy, otoczony herbami państwowymi.

Ks. Jełowiecki poświęcił sztandar w kościele Wniebowzięcia w Paryżu, kazanie jego przedrukowało jedno z powstańczych pism, „Duchowny Dzwon” z 17 sierpnia 1863. Ponieważ tekst jest stosunkowo trudno dostępny⁴⁶, niech mi wolno będzie przytoczyć obszerny jego fragment:

„Niektórzy obawiają się, by ta pozorna nowość nie zraziła różnowierców w Polsce. Próżną jest ta obawa; mili bracia, przy wolności dla wszystkich wyznań, którą przyjmujemy i której pragniemy. Wolność sumienia nie tylko nam jest pożądaną dla pokoju społecznego, bez którego nie masz potęgi w narodzie, ale przy tym pożądaną nam jest bardzo dla rozszerzania prawdziwej wiary, dla wzrostu Kościoła i dla spełnienia prorocтва Chrystusowego, kończącego prorocтва wszystkie: że będzie jedna tylko owczarnia i jeden pasterz. A prorocтво to spełni się najprędzej wolnością sumienia. O tę wolność dopominając się Kościół święty dla siebie, woła już przez to samo o wolność dla wszystkich. O tę wolność Kościół święty walcząc daje własną krew swoją, krew codziennych męczenników swoich; ale niczyjej krwi nie rozlewa, nikogo nie prześladowa, nikogo nie męczy, a tym sposobem wszystkim wolność tę zdobywa. O tę wolność Kościół święty codziennie woła do Boga, który chce mieć w swej służbie synów wolnych, nie zaś niewolników, bo niewolnictwo to nie obóz Marii, to szatański obóz. Tą wolnością Polska zawsze żyła; bo Polska od początku królestwem Marii. Tą wolnością Polska, w imię Marii, podbiła Kościołowi pokolenia i narody całe. I mam nadzieję, że to nieprzeparte prorocтво Jezusowe: «że będzie jedna tylko owczarnia i jeden pasterz», spełniać się pocznie na wzór narodom wszystkim miłością i wolnością w królestwie Marii, w Polsce naszej drogiej.

46 Prasa tajna z lat 1861-1864, cz. 2, Wrocław 1969, s. 261-263.

Maria, bracia mili, jest miłości i wolności matką. Nie lękajcie się przeto, by obraz Jej w herbie Polski miał kogo bądź od Polski odstręczyć. Owszem, wszystkich zjedna. I różnowiercy nawet tym więcej nas uszanują, im więcej my uszanujemy Marię. I patrząc na obraz Jej w środku herbów naszych, chociażby nie uszanowali w nim jeszcze Matki Bożej, uszanują w nim wszakże obraz swej królowej, skoro są Polacy. Boć nie w imieniu jednego tylko wyznania, lecz w imieniu narodu całego król nasz Jan Kazimierz wezwał Marię na królową Polski. I nie dla jednego wyznania tylko, lecz dla narodu całego myśmy tu z wami, na wygnaniu, u nóg Matki Boskiej Zwycięskiej ślub ten ponowili. I nie jedno tylko wyznanie w Polsce, ale cała Polska korzystała zawsze z opieki Marii. A kiedy Maria budzi w tej chwili naród cały do życia w sposób tak wymowny, mieliżbyśmy względem Niej okazać się niewdzięczni albo słabej wiary, nie śmiejąc wyznać Marii onym wyznaniem głośnym i na wszystkie wieki; że Maria królową naszą. Nie lękajcie się, bracia mili, przyjęcia obrazu Marii do polskiego herbu. Nie oddali od nas sprzymierzeńców, owszem, ich przymnoży, Kto Polak, już przez to samo obrońca Marii”.

Stanowisko ks. Jełowickiego skrytykowała się – sam się do tego w kazaniu przyznaje – pod wpływem słynnego wydarzenia, które miało miejsce 8 kwietnia 1861 podczas patriotycznej manifestacji w Warszawie. Mianowicie kiedy Karol Nowakowski, student niosący krzyż na czele pochodu, padł od kuli kozackiej, wówczas młody Polak wyznania Mojżeszowego, Michał Lande, podjął upadający krzyż i poprowadził pochód dalej, aby wkrótce samemu z krzyżem w ręku – zginąć. Wydarzenie to stało się symbolem jedności Polaków wszystkich wyznań w walce o wolność Ojczyzny. „Podobnież wszyscy Żydzi, którzy są Polacy – mówił ks. Jełowicki – staną w obronie obrazu Marii, skoro go ujrzą promieniującego nam nadzieją na chorągwiach naszych”.

Kaznodzieja paryski przemawiał do katolików i jego argumentacja na rzecz wolności dla wszystkich wyznań jest przede wszystkim religijna: dopiero wolność stwarza warunki sprzyjające docieraniu Dobrej Nowiny do wszystkich. Gdyby przyszło mu przekonywać niekatolików do jakiegoś uznania Królowej Polski, zapewne zwróciłby uwagę na to, że różnorodność wyznaniowa narodu polskiego nie stoi w sprzeczności z faktem, że kultura tego narodu jest w swojej istocie, w swoim głównym nurcie, katolicka. Podobnie katolicy duńscy przyłączają się – jako Duńczycy – do

protestanckiego ze swojej istoty kulturowego dziedzictwa własnego narodu. I chociaż dziedzictwo to jest im wyznaniowo obce, okazuje się, że można autentycznie w nim uczestniczyć i jednocześnie zachować swoją wyznaniową odrębność.

Argumenty rzadko jednak są źródłem porywów, a cóż dopiero porywów społecznych! Te budzą się raczej pod wpływem jakiejś wielkiej radości, wielkiej tęsknoty i nadziei, wielkiego nieszczęścia: I rzeczywiście, zdarzało się w naszej historii, że Polacy powszechnie, bez względu na wyznanie, gromadzili się wokół swojej niebieskiej Królowej, patriotycznym instynktem jakby do tego przymuszeni. O jednym z takich wydarzeń świadczy Adam Mickiewicz:

„Ach! gdybyście widzieli całą ludność wielkiego miasta, stolicy Litwy, kiedy rozstrzeliwano tam patriotów, całą ludność bez różnicy płci, wieku, a nawet wyznania (bo w tłumie tym byli Izraelici i prawosławni), całą ludność na klęczkach i z oczyma zwróconymi ku obrazowi Najświętszej Panny, jedynej nadziei, jaka została temu ludowi; gdybyście czuli ową boleść, tak potężną, że ulegali jej niedowiar-kowie i prawosławni i bili czołem przed obrazem, który stał się wtedy przedmiotem powszechnej czci (...) zrozumielibyście skuteczność modlitwy narodowej natchnionej boleścią⁴⁷.

Matka tych, którzy stracili wiarę

Drugi temat naszego dyptyku natychmiast przywodzi na pamięć Konrada z trzeciej części *Dziadów*, którego przed ostatecznym upadkiem uratowało jedynie to, że również jego apostazja nie była ostateczna, gdyż – jak go bronił Archanioł przed Bożą sprawiedliwością – „on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki”. Zaczniemy może od przypomnienia tego szczegółu w dramacie Mickiewicza, żeby następnie zasygnalizować inne świadectwa żywotności owego wątku w literaturze polskiej i wreszcie wskazać na jego teologiczne korzenie.

Wszystko zaczęło się od bluźnierczej piosenki Jankowskiego, w której natrętnie powtarzały się imiona „Jezus, Maryja”. Uraziło to religijne uczucia Konrada, mimo że uważał się przecież za niewierzącego:

47 Adam Mickiewicz, *Literatura słowiańska*, kurs IV wykład 4, W: *Dzieła*, t. 11 Warszawa 1955, s. 358n.

Słuchaj, ty! – tych mnie imion przy kielichach wara.
 Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara,
 Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii,
 Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

Wówczas Kapral, dawny legionista, interpretuje to zachowanie Konrada jako znak, że nie utracił on wiary do końca, a to daje nadzieję odzyskania – nawet z naddatkiem – utraconego skarbu. Cześć dla imienia Maryi będzie ostatnią rękojmią ocalenia dla zbłąkanego bohatera:

Dobrze, że Panu jedno to zostało imię –
 Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety,
 Nie zgrał się, póki jedną ma sztukę monety.
 Znajdzie ją w dzień szczęśliwy, więc z kalety wyjmie,
 Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi,
 I większy skarb przed śmiercią, niżli miał, zostawi.

Następująca potem opowieść Kaprała o swojej obronie imienia Maryi, a następnie ocaleniu z nocnej rzezi w oberży hiszpańskiej kończy się zdaniem, którego prawdziwości wkrótce miał zaznać również sam Konrad:

Otóż widzisz Pan, że ja tym imieniem żyję.

Wspomnieliśmy już, że wzgląd na imię Maryi był ważnym argumentem Archanioła w obronie Konrada przed Bożą sprawiedliwością.

Tak się przedstawia materialna zawartość tego motywu w Dziadach. Zanim wskażemy teologiczną tradycję, z której on wyrasta, posłuchajmy napisanej w sto lat później modlitwy bliźniaczego brata Konrada. Nie ma on w sobie nic z tytana, biorącego los całego narodu na ramiona, walczy on po prostu o własną duszę. Ale, podobnie jak Konrad, utracił już wiarę i tylko jakieś tajemnicze przywiązanie do Matki Bożej uzdalnia go jeszcze do modlitwy. Tym jeszcze różni się od Konrada, że – choć niewierzący – wprost modli się o wiarę, a Matki Bożej trzyma się świadomie i równie kurczowo, jak spadający taternik ubezpieczającej go liny. Mam na myśli *Modlitwę do Matki Boskiej* Teodora Bujnickiego:

Budzimy się ze snu ciężkiego bardzo samotni
 i krzyż wiszący nad łóżkiem już nie mówi do nas
 kładziemy ręce na skroniach niby na przęsłach zwrotnic
 gdzież jest Anioł co zstąpi by nas pokonać, przekonać?
 Panno niepokalana, Ty wiesz jak pragnę boleśnie
 uwierzyć w Twojego Syna i prawdy tak bardzo piękne
 Ty wiesz dlaczego się zrywam i krwawię i wołam we śnie
 do Boga Miłosiernego przed którym boję się klęknąć.
 Ach czemu w Twoją Legendę jest mi uwierzyć zbyt łatwo
 i czemu w sercu jałowym wschodzą trujące plony
 Nauczycielko wątpiących, Pocieszycielko strapionych
 do stóp Twych depczących węża przypadam z modlitwą o światło!

Niekiedy znów poeta podejmie się roli Archanioła, wstawiającego się za tymi, których wiara nie zdołała się uwyraźnić, lecz tli się gdzieś ukryta w głębi duszy. W ten sposób ks. Jan Twardowski modli się za niewierzących, aby za przyczyną Bożej Matki mogli wejść do Królestwa „poza kolejką”, „z zapasowym kluczem”:

ale Ty Matko Najświętsza (...)

przyjmiesz poza kolejką
 wszystkich niepewnych którym się zdawało
 że znak zapytania jest dłuższy od znaku krzyża
 (Poza kolejką)
 którąś do Ciebie (...)

może od innej strony
 na przełaj
 trochę naokoło
 od tyłu
 poprzez ciekawą wszystkiego rozpacz
 poprzez poczekalnię drugiej i trzeciej klasy
 z biletem w inną stronę
 bez wiary tylko z dobrocią jak na gapę
 z zapasowym kluczem od samej Matki Boskiej (*Którędy*).

Wszystkie powyższe spojrzenia stanowią refleks dwóch popularnych idei mariologicznych. Po pierwsze, że spodobało się Bogu objawiać swoje szczególnie

miłosierdzie przez Maryję i uczynić Ją skuteczną orędowniczką, ratującą grzeszników przed Jego zagniewaną sprawiedliwością. Po wtóre, że cześć dla imienia Maryi chroni przed zabłąkaniem ostatecznym i stanowi nawet dla największych grzeszników rękojmię zbawienia wiecznego. Ideę pierwszą znajdziemy już u św. Germana (+733), na Zachodzie podniósł ją Ryszard ze Świętego Wiktora (+1173), szczególnie zaś rozwinął i spopularyzował św. Bernard (+1153). Również druga idea pojawiła się na Wschodzie, między innymi u św. Andrzeja z Krety (+740), zaś na Zachodzie głosili ją św. Bonawentura (1274), św. Antonin z Florencji (+1459), najzarliwiej zaś św. Alfons Liguori (+1787).

„Bóg nasz – mówił św. Bernard w niedzielnym kazaniu w oktawie Wniebowzięcia – jest ogniem trawiącym. Czyż grzesznik nie będzie się bał, że przystępując do Niego, zginie w obliczu Boga, podobnie jak wosk roztapia się w obliczu ognia? (...) Czego zaś miałyby się lękać ułomność ludzka, kiedy przystępuje do Maryi? Nic w Niej przykrego, nic nie budzi lęku: Ona cała miła, wszystkim przynosi mleko i wełnę”⁴⁸.

„Królestwo Boga – streszcza św. Alfons Liguori Jana Gersona (+1429) – polega na sprawiedliwości i miłosierdziu. Pan Bóg podzielił je: sobie zatrzymał królestwo sprawiedliwości, a królestwo miłosierdzia odstąpił Maryi i rozporządził, aby wszelkie zmiłowanie, jakiego ludzie dostępują, przechodziło przez ręce Maryi i od Jej zależało”⁴⁹. Zresztą przypomnijmy sobie nasze Serdeczna Matko:

A kiedy Ojciec rozgniewany siecze,
Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze.

Przeciętny człowiek współczesny, podświadomie noszący w sobie deistyczne wyobrażenie Boga (jak gdyby był On jedynie centrum wszechbytu, a nie Tym, „w którym żyjemy, poruszamy się. i jesteśmy”), łatwo gorszy się takim ujęciem: „Czy nie ograbiamy w ten sposób Boga z atrybutu miłosierdzia? Przecież bluźnierstwem byłoby nawet pomyśleć, że jakieś stworzenie przewyższa Boga czymkolwiek, a cóż dopiero miłosierdziem!”

Zestawmy to zgorszenie z innymi wątpliwościami nowożytnej mentalności co do kultu Maryi, a przekonamy się, że wszystkie one płyną z powierzchownych, a może

48 Św. Bernard, *Kazania o Najśw. Marji Pannie*, tłum. I. Bobicz, Kielce 1924, s. Illn. Ostatnie zdanie jest aluzją do Księgi Przysłów (31,13).

49 Św. Alfons Liguori, *Uwielbienia Marji*, tłum. S. Misiaszek, cz. 1 Kraków 1927, s. 27.

nawet wypaczonych pojęć o Bogu. Przecież w czasach nowożytnych niektórzy posunęli się nawet do całkowitego zakwestionowania religijnej czci dla Matki Bożej: „Kult oddawany Maryi – twierdzili – ujmuje Bogu, bo On ma przecież prawo do całego ludzkiego serca”. „Maryja – brzmiał inny zarzut – zajęła w Kościele katolickim miejsce Ducha Świętego: przecież to Duch Święty jest nieskończenie miłowany przez Ojca i Syna, przecież to On rozlewa miłość Boga na ludzi”.

Otóż Bóg, jest Kimś nieskończenie więcej niż centrum wszechbytu. On jest Wszechobecny – jest cały w każdym miejscu i w każdym czasie, choć zarazem żadne miejsce ani czas nie może Go ogarnąć, jest On bowiem zarazem Transcendentny wobec wszystkiego co stworzone. Właśnie dlatego stworzenia, nawet nierozumne, mogą głosić Boga: „Niebiosa opowiadają chwałę Boga, a nieboskłon obwieszcza dzieło rąk Jego” (Ps 19,2). Tutaj również tkwi tajemnica, dlaczego kochając bliźniego, okazujemy tym samym miłość Bogu: „Gdyby ktoś mówił: «Miłuję Boga», a nienawidził brata swego, jest kłamcą” (1 J 4,20). Z drugiej strony, wszelkie autentyczne dobro, jakie otrzymujemy od bliźnich, jest oczywiście darem Bożym, przede wszystkim darem Bożym: to On przecież uzdalnia człowieka do czynienia dobra.

Bóg podniósł stworzenie, zwłaszcza rozumne, do tak wielkiej godności, że uczynił je jakby sakramentem, przez który okazuje swą dobroć innym stworzeniom i przez który możemy zanosić do Niego nasze odpowiedzi na Jego miłość. Bałwochwalstwo zaczyna się dopiero wówczas, kiedy człowiek depreczuje tę godność quasi-sakramentu złożoną w stworzeniu i traktuje je jako swoją wartość najwyższą i przedmiot czci ostatecznej. Natomiast nie wolno nam, pod pozorem walki z bałwochwalstwem, sprzeciwiać się woli Boga, który chce „być wszystkim we wszystkim” (1 Krn 15,28). Zarazem, oczywiście, jest Transcendentny wobec wszystkiego. Miłości, jaką do Niego kierujemy, nie wolno ograniczyć do samej tylko miłości bliźniego; również słowo Boże i różne dobra, jakimi On nas obdarza, przychodzą do nas nie tylko za pośrednictwem stworzeń.

Powyższe uwagi dotyczą wszystkich stworzeń, z wyjątkiem tylko mieszkańców piekła. Natomiast Maryja jest stworzeniem najszczególniejszym. Jeśli Chrystus jest Zbawcą wszystkich ludzi i Panem kosmosu, to Ona, która Go urodziła, urodziła Go dla nas wszystkich i dla całego kosmosu. Bóg powołał więc Ją, swoje najmilsze stworzenie, do pośrednictwa w wymiarze powszechnym. Ale również wobec Jej pośrednictwa Bóg jest, oczywiście, Kimś Transcendentnym.

Tę właśnie prawdę znakomicie wyraża obraz miłosiernej Orędowniczki, ratującej przed gniewem sprawiedliwości Bożej. Przecież miłosierdzie okazywane przez Maryję pochodzi od samego Boga, Ona zaś – która dla nas wszystkich urodziła Zbawiciela świata – jest jedynie pośredniczką oraz wezwaniem, aby również przez nas świat napełniał się duchem miłosierdzia, jaki płynie od Boga. Zarazem miłosierdzie Boże przekracza wymiar *mysterium fascinans*, zawiera w sobie również aspekty budzące drżenie: „Bóg nie pozwoli naigrawać się z siebie” (Ga 6,8). Dlaczego jednak pobożność chrześcijańska nie śpieszy się przypisywać Maryi pośrednictwo w zakresie gniewu i sprawiedliwości Bożej? Może dlatego, żebyśmy również my sami nie poczuli się wezwanymi do takiego pośrednictwa. Przystoi nam naśladować raczej miłosierdzie Boga, niż Jego zagniewaną sprawiedliwość.

Konrad, który utracił wiarę, zachował jednak cześć dla Matki Bożej, należy oczywiście do galerii tych grzeszników, których niezliczone portrety znaleźć można w kazaniach maryjnych. Miłosierdzie Boże, okazywane ludziom za pośrednictwem Maryi, staje się bowiem szczególnie zauważalne wówczas, kiedy dokonuje rzeczy jakby niemożliwych. Bo czy możliwą jest rzeczą nawrócić grzesznika ztwardziałego w swoim złu? Zły łotr nie chciał się nawrócić, choć umierał tuż obok Syna Bożego, który jest samym Miłosierdziem. Żeby się nawrócić, trzeba mieć w sobie bodaj odrobinę potencjalności na łaskę Bożą.

Otóż można zapytać: dlaczego ową resztkę potencjalności na łaskę miałyby stanowić cześć dla Matki Bożej? Na to pytanie odpowiedziałbym następująco: Grzesznik swoim złym życiem neguje zarówno Boga, jak świat Boży. Jeśli jednak zachowa cześć dla najlepszej części Bożego świata, dla Matki Bożej, znaczy to, że nie odrzucił jeszcze całkowicie ani Boga, ani Bożego świata: Maryja jest bowiem miejscem najpełniejszej obecności Boga w stworzeniu, a zarazem najwspanialszym świadectwem, że świat jest Boży.

Wątek maryjnego orędowania za największymi grzesznikami rozwijał zwłaszcza św. Alfons Liguori. Oto jeden z licznych jego przykładów na ten temat:

„Święty Antonin opowiada o jednym grzeszniku: Zdawało mu się raz, że stoi przed trybunałem Bożym. Szatan go oskarżał, a Maryja broniła. Nieprzyjaciel przedstawił przeciw niemu całą listę grzechów, które położone na szali Bożej sprawiedliwości

przeważały o wiele wszystkie jego dobre czyny. I cóż uczyniła wtedy jego wielka Orędowniczka? Wyciągnęła swą miłą dłoń, położyła ją na drugiej szali, i sprawiła w ten sposób, że spadła na korzyść Jej czciciela. W ten sposób dała mu do zrozumienia, że wyjedna mu przebaczenie, jeśli zmieni życie. Rzeczywiście, grzesznik ów nawrócił się po tym widzeniu i rozpoczął nowe życie⁵⁰.

Nie brak tego wątku również w literaturze polskiej:

O, wstąp w me grzechy,
 Jak w miasta judzkie,
 Swoim imieniem:
 Mario z Libanu!
 Mario z Egiptu!
 Mario z Betlehem!
 Jak krzyk skarłały,
 Jałowiec ciemny,
 Jest moja wiara,
 Pozwól jej rosnać,
 Panno wysoka,
 Ku niebu dalej!

Tak modli się Jerzy Liebert w *Litanii do Marii Panny*. Albo przypomnijmy sobie *Wilka gromnicznego* Kazimierzy Iłakowiczówny: wzruszającą opowieść o wilku, słusznie ściganym za swoje zbrodnie, który się schronił pod płaszcz Matki Najświętszej; Ona go nie tylko uratowała, ale i upomniała dobrotliwie i doprowadziła do nawrócenia.

We wspomnianej galerii grzeszników, Konrad wyróżnia się tym, że obciążają go nie tyle złe czyny, co niewiara i pycha. Starzy kaznodzieje naiwnie utożsamiali grzech ze świadomym przekroczeniem prawa Bożego. Konrad jest grzesznikiem już nowych czasów, które są prawie nieświadome swojej grzeszności. Jego grzech nie polega na tym, że brak mu szlachetności lub poświęcenia, ale na tym, że jest szlachetny i poświęca się, kierując wyłącznie własnym rozumem, zapominając o tym, że świat jest Boży. Grzech ten ściągnąłby go w otchłań lucyferyczną. Na szczęście Konrad nie do końca zapomniał o tym, że świat jest Boży: „on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki”. I to go uratowało.

50 Dz. cyt., s. 124.

Możliwość i znaczenie objawień prywatnych

Kościół uznał autentyczność niektórych objawień prywatnych, np. objawień w Lourdes czy Fatimie. Od innych, np. od objawień w Garabandal, Kościół zdecydowanie się odciął. Ktoś zapytał mnie kiedyś: Czy nie prościej by było, gdyby Kościół poprzestał na prostym głoszeniu Ewangelii i z zasady odcinał się od wszelkich objawień prywatnych?

Otóż przypatrzmy się najpierw temu Objawieniu, dzięki któremu Bóg przybliżył się istotnie do wszystkich ludzi i które zachowa pełną aktualność aż do końca świata. Mam oczywiście na myśli to Objawienie, jakie dokonało się przez przyjście do nas Syna Bożego, przez Jego życie i naukę, śmierć i zmartwychwstanie. Objawienie to przyjmujemy przez wiarę, wieść o nim rozszerzamy i pogłębiany przez głoszenie i nauczanie Ewangelii.

Na czym to Objawienie polega? Co nam wówczas zostało objawione? Jeżeli powiemy, że Jezus Chrystus objawił nam wiele prawdy o Bogu, której inaczej nie moglibyśmy w żaden sposób poznać, nie mylimy się, wskazujemy na rzecz ważną, jednak nie najważniejszą. Albowiem przede wszystkim Bóg dał nam wówczas poznać, że nas kocha; objawił się jako Ten, który z miłości do nas przyjął nasz ludzki los i oddał za nas swoje życie. Istota tego jedyne w dziejach Objawienia polega na tym, że sam Bóg zbliżył się do ludzi – nieodwołalnie i aż do końca świata – aby dawać się w darze każdemu człowiekowi, który Go szuka.

Z powyższego wynika, że wiara chrześcijańska, przez którą otwieramy się na to Objawienie, jest przede wszystkim przyjęciem Boga żywego, który nam się daje – i dopiero z tej perspektywy jest również przyjęciem objawionej prawdy o Bogu oraz o sprawach Bożych. Zatem wiara jest czymś bardzo różnym od światopoglądu. Światopogląd to bardziej lub mniej uświadomiona teoria, za pomocą której człowiek usiłuje uporządkować swoją wiedzę i swe przeświadczenia na temat sensu świata i własnego życia. Wiara zaś – mówimy, rzecz jasna, o wierze chrześcijańskiej – jest raczej wejściem w tę wspólnotę z Bogiem, która stała się możliwa dopiero dzięki Jezusowi Chrystusowi.

Zarówno światopogląd, jak wiara podlegają zmianom, ale na różny sposób. Światopogląd rozwija się lub kostnieje zależnie od mojej aktywności intelektualnej w dziedzinie pytań ostatecznych. Wiara pogłębia się lub zamiera w zależności od tego, jak kształtuje się moja relacja do Boga, który chce nam dawać samego siebie.

Otóż chrześcijanin ma wielorakie możliwości realizowania swojej wspólnoty z Bogiem. Boga można prawdziwie usłyszeć poprzez przyjmowanie w wierze orędzia o Jezusie Chrystusie, które jest zapisane w Ewangelii i głoszone przez Kościół. Można się do Niego modlić i wsłuchiwać w to, co On chce nam powiedzieć poprzez powszednie i niepowszednie wydarzenia naszego życia. Codziennie otrzymujemy od Niego liczne dary – naturalne i nadprzyrodzone; człowiek wierzący stara się je z wdzięcznością zauważyć, wolno mu też zabiegać o to, żeby otrzymywać ich coraz więcej. Codziennie staramy się – lub właśnie nie staramy się – o to, żeby okazać Bogu swoją miłość poprzez posłuszeństwo Jego przykazaniom i świadczenie dobra tym, których On kocha, zwłaszcza najbardziej potrzebującym.

Z punktu widzenia pytania o miejsce objawień prywatnych w naszym życiu wiary, następująca rzecz zasługuje na podkreślenie: Kształtowanie się mojej wspólnoty z Bogiem zależy nie tylko ode mnie, ale przede wszystkim od Niego. Bóg nie jest bezosobową głębią, do jakiej na pewno dotrę, jeśli tylko zastosuję odpowiednie techniki duchowe. On jest Kimś absolutnie wolnym, suwerennym i osobowym. Toteż spotkamy się z Nim tylko wówczas, kiedy i jeśli On tego będzie chciał. Stąd o Jego miłość musimy zabiegać. Musimy też przyjąć tę płaszczyznę spotkania, którą On sam nam proponuje. Nawet jeśli odbiega ona od naszych oczekiwań. Czyż nie tak postępujemy, kiedy ubiegamy się o miłość drugiego człowieka?

Otóż Bóg może chcieć spotkać się z kimś w sposób przekraczający zwyczajne z Nim spotkania, które odbywają się w przestrzeni naszego duchowego doświadczenia. Może wyznaczyć człowiekowi płaszczyznę spotkania znajdującą się w zasięgu poznania zmysłowego – tak jak niegdyś objawił się w znakach widzialnych Mojżeszowi. Czyni to rzadko, ale to Mu wolno – jest przecież Bogiem i może mieć po temu swoje własne powody. Cóż z tego, że nam byłoby wygodniej i prościej bez samej nawet możliwości takich objawień? Nie musielibyśmy się wówczas kłopotać o autentyczność danego objawienia, nie posądzano by nas o obskurantyzm czy łatwowierność, ludzie obdarzeni takimi objawieniami nie musieliby pić kielicha goryczy, jaki zazwyczaj piją.

Jednak też właśnie dlatego, że Bóg jest Bogiem, niemożliwe jest, żeby jakiegokolwiek autentyczne objawienie – Jego samego czy Jego przyjaciół i wysłańców – wycho-
dziło swoją treścią poza to jedyne Objawienie, w którym raz na zawsze dał się On
nam w swoim Synu Jednorodzonem. „Gdybyśmy nawet my – powiada Apostoł
Paweł – lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy
– niech będzie przeklęty!” (Ga 1,8)

Tę prostą prawdę, że żadne cuda czy objawienia, które odwołują się do Boga, nie mogą
od Niego pochodzić, znano już w Starym Testamencie. Już w Pięcioksięgu znaj-
duje się następująca przestroga: „Jeśli powstanie u ciebie prorok, lub wyjaśniacz
snów, i zapowie znak lub cud, i spełni się znak albo cud, jak ci zapowiedział, a po-
tem ci powie: «Chodźmy do bogów obcych – których nie znałeś – i służmy im»,
nie usłuchasz słów tego proroka albo wyjaśniacza snów. Gdyż Pan, Bóg twój, do-
świadcza cię, chcąc poznać, czy miłujesz Pana, Boga swego, z całego swego serca
i z całej duszy” (Pwt 13,2-4).

W tym właśnie duchu postępuje Kościół, kiedy odwraca się od wszelkich nadzwyc-
zajnych wydarzeń, które mimo swoich treści religijnych odciągają ludzi od Boga:
rodzą podziały, ośmieszają wiarę, zwracają uwagę religijną w kierunku niezdrowej
sensacji itp. „Nie dowierzajcie każdemu duchowi – uczy Apostoł Jan – ale badajcie
duchy, czy są z Boga” (1 J 4,1).

Ostrożność jest zwyczajną postawą Kościoła nawet wobec objawień autentycz-
nych. Jeśli one naprawdę pochodzą od Boga, taki czyściec nieufności nie tylko im
nie zaszkodzi, ale uczyni je bardziej wiarygodnymi.

Tu nasuwają się jednak dwa pytania. Po pierwsze: Czy kiedykolwiek można osiągnąć
absolutną pewność, że dane wydarzenia pochodzą od Boga? I pytanie drugie: Skoro
żadne autentyczne objawienie nie wychodzi swoją treścią poza Objawienie, jakiego
Bóg dokonał w Jezusie Chrystusie, to jaki jest sens i pożytek takich objawień?

Zacznijmy od tego drugiego pytania. Weźmy dla przykładu objawienia w Fatimie.
Główną ich treścią jest wezwanie do pokuty, a więc – mogłoby się wydawać – nic
nowego: zwyczajne przypomnienie nauki zawartej w Ewangelii. Niemniej żadna

encyklika papieska, żadne plany duszpasterskie nie zdołałyby ożywić religijnie tylu tysięcy i milionów ludzi, których przyprowadziła do Chrystusa Jego Matka, przemawiająca w Fatimie.

To samo można powiedzieć o objawieniach, które dały początek kultowi Najświętszego Serca Jezusa. Cała treść tych objawień mieści się w Ewangelii. Czyż bez św. Małgorzaty Marii Alacoque katolicy nie wiedzieli o tym, że Chrystus jest nieskończenie miłosierny, że nasze grzechy Go obrażają, a Komunia święta jest niezastąpionym pokarmem na życie wieczne? A jednak dzięki kultowi Najświętszego Serca dokonało się w swoim czasie duchowe pogłębienie całego Kościoła.

Wydaje się, że wszystkie objawienia autentyczne – zarówno te skierowane do milionów ludzi, jak te przeznaczone dla nielicznych – mają w sobie tajemniczą moc skutecznego mobilizowania ludzi do tego, żeby przybliżyli się do Chrystusa.

Wciąż jednak nie podjąłem jeszcze pytania, jak osiągnąć pewność, że dane objawienie jest autentyczne. Otóż sądzę, że z pewnego punktu widzenia jest to pytanie mało ważne. Ogromnie ważne jest pytanie o to, czy należy poważnie liczyć się z tym, że dane objawienie jest autentyczne. Znacznie mniej ważne wydaje się pytanie, czy na pewno jest ono autentyczne. Przyczyna tego leży we wspomnianym wyżej podporządkowaniu wszelkich autentycznych objawień uniwersalnemu Objawieniu, jakie dokonało się w Chrystusie.

Powyższe stanowisko spróbuję uzasadnić na przykładzie możliwie najbardziej skromnym. Przypuśćmy, że we śnie nakazuje komuś nieżyjący już ojciec lub matka porzucić złe życie, powrócić do praktyk religijnych albo coś podobnego. W ocenie takiego snu czymś naprawdę ważnym jest pytanie, czy otrzymany przekaz nie kłóci się z Ewangelią i czy jego realizacja przybliży mnie do Chrystusa. Gdyby bowiem przekaz zawierał rzeczy kłócące się z wiarą lub nakazywał coś niezgodnego z Bożymi przykazaniami, albo gdyby chodziło w nim o rzeczy duchowo nieważne, nie można by mieć wątpliwości, że nie ma w nim nic nadprzyrodzonego i że snem takim nie należy się przejmować.

Kiedy jednak zmarły ojciec lub matka wzywa do pojednania z Bogiem, niewątpliwie jest to wezwanie nadprzyrodzone, którego należy usłuchać, nawet jeśli sam

sen da się całkowicie wytłumaczyć w sposób naturalny. Mianowicie w ten sposób dotarły wreszcie do świadomości tego człowieka pobudzane przez łaskę pragnienia zbliżenia się do Boga oraz, również pobudzana przez łaskę, troska jego rodziców – kiedy jeszcze byli na tym świecie – o dobro jego duszy.

Zarazem czysto naturalne wyjaśnienie takiego snu raziłoby małodusznością. Przecież to niemożliwe, żeby po przejściu do wieczności rodzicom obca już była troska o duchowe dobro własnego dziecka. Nie wydaje się zatem czymś lekkomyślnym przypisywać ten błogosławiony sen tajemnicy świętych obcowania, która się realizuje pomimo dzielącej nas granicy śmierci. Dodajmy, że tajemnice łaski doskonale mogą się realizować również za pośrednictwem najzupełniej naturalnych mechanizmów psychologicznych. Inaczej mówiąc, wyjaśnienie nadprzyrodzone danego zjawiska nie musi wykluczać takich czy innych wyjaśnień naturalnych. To przecież Bóg stworzył człowieka istotą tak cudownie wielowarstwową.

Otóż trochę podobne stanowisko zajmuje Kościół wobec objawień, które zostały zaadresowane do wielkich ludzkich społeczności. Kościół szybko i stanowczo odcina się od objawień, których nie da się pogodzić z prawdą wiary albo których przesłanie nie ma charakteru gruntownie religijnego. Natomiast w sprawie objawień, których autentyczność – po skrupulatnym rozważeniu ich całokształtu – nie jest wykluczona, osobiście odnoszę wrażenie, że więcej uwagi poświęca Kościół zgłębianiu samego przesłania aniżeli dowodom, że dane objawienia są ponad wszelką wątpliwość autentyczne. Większość nawet najgłośniejszych objawień do czekało się jedynie pośredniego potwierdzenia ze strony Kościoła (np. poprzez wybudowanie sanktuarium na miejscu objawień, beatyfikację i kanonizację osób, które tych objawień doznały itp.).

Postawa ta wynika z przeświadczenia, że jeśli coś jest sprawą Bożą, to obroni się samo i to zwłaszcza swoimi duchowymi owocami. Przede wszystkim zaś Kościół daje w ten sposób wyraz swojej wierze w absolutną uniwersalność Objawienia, jakie zostało nam dane w Chrystusie. Jeśli również dzisiaj zdarzają się autentyczne objawienia – głośne lub całkiem prywatne – to przecież całym ich celem jest większe otwarcie nas na to Objawienie jedyne i nieprzemijalne.

Aniołowie i Święci

Prawda o aniołach – integralna część wiary chrześcijańskiej

W którąkolwiek stronę rzeczywistości by spojrzeć, jej granice są dla nas nieosiągalne. Patrząc w dal, mamy wszystkie powody do przypuszczeń, że chociaż najnowocześniejsze teleskopy sięgają odległości, od których aż w głowie się kręci, to przecież poza ich zasięgiem istnieją dalsze przestrzenie kosmiczne, w ogóle niedostępne w tej chwili ludzkiej obserwacji. Patrząc w głąb, w najmniejszą odrobinę materii, coraz więcej zdajemy sobie sprawę z tego, że moment, w którym będziemy mogli sobie powiedzieć, iż na temat struktury materii wiemy już wszystko, odsuwa się nam praktycznie w nieskończoność. W ten sposób nawet świat materialny świadczy o swoim pochodzeniu od nieskończonego Boga.

To zaś, że człowiek jest jedyną na tej ziemi istotą, zdolną rozpoznać tę bezgraniczność materialnego kosmosu, też zapewne coś znaczy. Czyż nie wolno nam dopatrywać się w tym znaku, że stworzeni zostaliśmy dla nieskończonego Boga? Że – jak powiada ostatni sobór – człowiek jest jedynym na tej ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego?

Ale zapatrziliśmy się ostatnio w bezkres materii i zmniejszyły się nasze zainteresowania bezkresem świata duchowego. Owszem, jesteśmy świadomi naszej niemożności całościowego ogarnięcia ludzkich dziejów, ludzkiej myśli, a nawet ludzkiej psychiki. Czyżby jednak świat ducha ograniczał się do człowieka? Warto zdać sobie sprawę z tego, że chociaż o aniołach wiemy z Bożego objawienia, przecież istnienia ich domyślali się najwybitniejsi filozofowie starożytności. Do jakiego stopnia problem bytów pośrednich – wyższych od człowieka, a przecież stworzonych i zależnych od Boga – zaprzętał umysły Platona, Arystotelesa i innych ojców filozofii, osobiście zorientowałem się dopiero w trakcie pracy nad przekładem dziełka św. Tomasza pt. *O substancjach czystych*.

Istotą prawdy o aniołach jest oczywiście jej wymiar religijny. Wykład tej prawdy zaczniemy od miejsca dla wiary chrześcijańskiej absolutnie centralnego, tzn. od starannie zaznaczonego w Ewangeliach udziału aniołów w tajemnicy Wcielenia i Odkupienia. To naprawdę nie przypadek ani szczegół bez znaczenia, że właśnie anioł zwiastował nam najwspanialszą nowinę, jaką kiedykolwiek na ziemi słyszano: że Syn Boży stanie się człowiekiem. Aniołów, śpiewających chwałę Bogu i pokój ludziom, słyszymy w noc Bożego Narodzenia. Pojawiają się oni na początku publicznej działalności Chrystusa i w Ogrodzie Oliwnym, i w grobie Zmartwychwstałego, i w dniu Wniebowstąpienia.

Spróbujmy odnaleźć sens, jaki zawiera w sobie ta nieprzypadkowa przecież obecność aniołów przy Synu Bożym, dokonującym zbawienia rodu ludzkiego. Czyż nie świadczy ona o tym, że Odkupienie nie jest partykularną sprawą między Bogiem a mieszkańcami ziemi, ale w jakiś tajemniczy sposób dotyczy ono całego wszechstworzenia? Już Stary Testament różnorodnie mówi o dwukierunkowej naszej łączności ze światem aniołów, stworzeń duchowych niewyobrażalnie od nas doskonalszych. Z Ewangelii zaś jednoznacznie wynika, że centrum i przestrzenią tej naszej wspólnoty z aniołami jest Chrystus.

Przypatrzymy się owym dwóm kierunkom solidarności aniołów z zagubionym rodem ludzkim. Najzwięźlej symbolizuje je drabina, którą zobaczył we śnie Jakub: „We śnie ujrzał drabinę opartą na ziemi, sięgającą swym wierzchołkiem nieba, oraz aniołów Bożych, którzy wchodzili w górę i schodzili na dół, a oto Pan stał na jej szczycie” (Rdz 28,12n). Aniołowie, idący od nas ku górze, obrazują, rzecz jasna, potężną, pociągającą nas ku Bogu życzliwość, jaka płynie z tego niepojętego dla nas świata. Życzliwość tę Pismo Święte raz przedstawi w obrazie aniołów, którzy zanoszą do Boga nasze modlitwy i ofiary (Tb 12,12; Ap 5,8; 8,3n), raz w obrazie naszego przyłączania się do wiekuistej liturgii, odprawianej przez aniołów.

„Będę Ci śpiewał wobec aniołów!” – woła Psalmista (Ps 138,1). „I ujrzałem i usłyszałem głos wielu aniołów (...), a liczba ich była miriady miriad i tysiące tysięcy, mówiących głosem doniosłym: Baranek zabity jest godzien wziąć potęgę i bogactwo, i mądrość, i moc, i cześć i chwałę, i błogosławieństwo” – czytamy w Apokalipsie (5,11n; por. 7,11nn). Właśnie dlatego artyści często wyobrażali sobie aniołów w szatach liturgicznych.

W obrazie drabiny Jakubowej widzimy również aniołów, którzy zstępują do nas od Boga, aby być towarzyszami, przewodnikami i obrońcami naszej trudnej i pełnej niebezpieczeństw drogi. Ta posługa aniołów najbardziej obrazowo przedstawiona została w Księdze Tobiasza. W Dziejach Apostolskich dwukrotnie czytamy o aniele, który przyjaciół Bożych cudownie wyprowadza z więzienia (Dz 5,19n; 12,7-11). Z opowieści o nawróceniu dworzanina królowej Etiopczyków dowiadujemy się, że anioł Boży może wskazywać drogę głosicielom Ewangelii (Dz 8,26). Najbardziej generalnie o tym towarzyszeniu aniołów ludzkim losom mówił Pan Jezus: Nawet najmniejsi spośród nas są Bogu tak drodzy, że mają swoich aniołów, którzy „wpatrują się zawsze w oblicze Ojca mego, który jest w niebie” (Mt 18,10). „Czyż nie są oni wszyscy – czytamy w Liście do Hebrajczyków – duchami przeznaczonymi do usług, posłanymi na pomoc tym, którzy mają posiąść zbawienie?” (1,14)

Dla wielu chrześcijan współczesnych prawda o aniołach trąci mitologią. Otóż warto sobie uświadomić, że nie jest to pomysł nowy. Podobnego zdania byli już saduceusze, którzy głosili, „że nie ma zmartwychwstania ani anioła, ani ducha” (Dz 23,8). Osobiście sądzę, że mamy w sobie coś z saduceuszy nawet wówczas, kiedy nie odrzucamy może wprost prawdy o aniołach, ale ich istnieniem praktycznie się nie przejmujemy. W wierszu *Nie umiem z aniołami* Kazimiera Iłakowiczówna znakomicie sformułowała przeciętne problemy, jakie prawda ta stwarza dzisiejszym chrześcijanom. Co zatem robić? Jak prawdę o aniołach uczynić żywą?

Odpowiedź jest bardzo prosta. Wystarczy chcieć jeszcze więcej zbliżyć się do Chrystusa, który jest – powtórzmy to jeszcze raz – centrum i przestrzenią naszej wspólnoty z aniołami. Zbliżając się do Chrystusa, zbliżamy się zarazem do Jego przyjaciół, wchodzimy w większym stopniu „do Jeruzalem niebieskiego, do niezliczonej liczby aniołów, na uroczyste zebranie do Kościoła pierworodnych, którzy są zapisani w niebiosach” (Hbr 12,22n). Pieśń 28 „Nieba” w *Boskiej Komedii* przedstawia Boga jako Ogień otoczony dziewięciu świetlistymi kręgami, czyli dziewięciu chórami aniołów. Aniołowie właśnie dlatego są tak niewyobrażalnie wspaniali i zasługują na naszą miłość, i właśnie dlatego mogą być naszymi potężnymi pomocnikami, że są nierozzerwalnie złączeni z Bogiem i z Chrystusem. Już Ojcowie Kościoła porównywali aniołów do promieni Boskiego Słońca.

Byłoby obrazą aniołów, gdybyśmy próbowali ich czcić w taki sposób, że kult ten rozpraszałby naszą uwagę religijną i utrudniałby całoosobowe zwrócenie ku Bogu. „Niechaj was nikt nie odsądza od nagrody, zamiłowany w uniżaniu siebie i czci aniołów” (Kol 2,18). Kiedy obaj Tobiasze upadli na twarz przed aniołem, ten całą ich uwagę stara się zwrócić ku Bogu, który jeden godzien jest uwielbienia (Tb 12,16nn). W analogicznej sytuacji anioł zakazuje autorowi Apokalipsy oddawać sobie pokłon: „Bacz, byś tego nie czynił, bo jestem współsługą twoim i braci twoich, proroków, i tych, którzy strzegą słów tej Księgi. Bogu samemu złóż pokłon” (Ap 22,9). Tę anielską pokorę znakomicie oddaje wiersz Konopnickiej pt. *Angelus*, w którym anioł, zwiastujący Wcielenie, stanowi dla uczonego materialisty ostatnią nitkę do utraconego wymiaru, gdzie można znaleźć Boga.

Prawdziwa cześć aniołów zbliża do Boga, a zarazem jest znakiem Jego bliskości. Niezwykle przejmujące pod tym względem jest świadectwo dzieci fatimskich o spotkaniu z aniołem, które poprzedzało objawienia Matki Bożej: „Otaczała nas tak intensywna atmosfera nadprzyrodzona, nieledwie nie zdawaliśmy sobie sprawę z własnego istnienia. Trwało to dość długo. Trwaliśmy w postawie, w której anioł nas opuścił, powtarzając bez przerwy jego modlitwę. Obecność Boga czuliśmy tak potężnie i tak głęboko, że nawet między sobą nie odważyliśmy się mówić o zjawisku. Jeszcze nazajutrz umysły nasze pogrążone były w tej atmosferze”.

Rezultaty tego spotkania przedstawiały się następująco: „Od czasu, gdy tajemnicze światło oświeciło ich dusze, patrzą na ziemię innymi oczami. Po zjawiskach anielskich jakoś inaczej wyglądają góry i lasy, doliny, słońce, ludzie i owce. Dzieci odczuwają to, co wracający z daleka podróżnik, któremu każda rzecz wydaje się zmieniona. Anioł wprowadził je w krainę, o której miały tylko mgliste pojęcie. Teraz ich wyobrażenie o Bogu było bez porównania wyższe, większym też było obrzydzenie do grzechu”.

W tym właśnie leży sens szukania przyjacielskiej zażyłości z aniołami: aniołowie pomagają nam zbliżyć się do Chrystusa i oddalić się od zła. Ich nieobecność w naszym życiu religijnym może (choć zapewne nie musi) być znakiem naszego oddalenia od Boga. „Jak dym odgania pszczoły, a smród gołębie – powiedział kiedyś św. Bazyli – tak czyn brzydkie i haniebny oddala od nas naszego anioła stróża”.

Dawne wieki pozostawiły nam wiele świadectw tej intuicji. Tu nie mogę się powstrzymać przed przytoczeniem rozbijającą naiwnej opowieści, przekazywanej w legendach dominikańskich: „W jednym z klasztorów Lombardii było dwóch pobożnych braci, którzy przechadzali się rozmawiając o Bogu. Wówczas pewien starzec zakonnik zobaczył przez okno, że nad głowami owych braci unoszą się aniołowie i wzniosłszy ręce w niebo, błogosławią Boga. Kiedy jednak rozmowa tych braci zwróciła się ku rzeczom niepotrzebnym i bezmyślnym, aniołowie przedziwnie się zagniewali i porzucili ich, zatykając sobie nosy. Natychmiast nad głowy owych braci nadciągnęło stado czarnych wieprzy, które smrodziły na nich i straszliwie ryczały. Wreszcie bracia znów zaczęli rozmawiać o Bogu i zaraz wieprze zniknęły, przystąpili zaś aniołowie, chwając Boga i obmywając braci z nieczystości”.

Opowieść ta jest rzeczywiście bardzo naiwna. Ale może warto się zastanowić nad zawartą w niej intuicją? Może prawdy o aniołach należy szukać nie tyle poprzez zwiększenie zainteresowań tą problematyką, ale właśnie poprzez odnowę życia? Adam Asnyk chyba miał rację, kiedy pisał, że śpiewy anielskie słyszą „tylko ci, którzy toną w wielkiej miłości pragnieniu”. Zaś według legend franciszkańskich, „pycha brata Eliasza niegodna była rozmawiać z aniołem”.

Jeszcze jedno dość ważne pytanie: Co sądzić o pojawiającym się w naszej mowie codziennej, a częstym zwłaszcza w poezji motywie podobieństwa i upodabniania się ludzi do aniołów?

Czy nie jest to dowolność, wprowadzająca zamęt w religijną prawdę o aniołach? Zwłaszcza trzy przymioty ośmielają do porównania człowieka z aniołem. Po pierwsze, dobroć i współczujące pochylenie się nad cierpiącym i bezradnym. Po wtóre, ta postać czystości, dzięki której człowiek osiąga jakąś transcendencję wobec ciała i różnych potrzeb, i ambicji tylko doczesnych (por. marzenie Słowackiego, żeby zjadacze chleba przetworzyli się w aniołów). Po trzecie, do anioła porównuje się również zwiastuna Dobrej Nowiny.

Czy wolno nam stosować takie porównania i symboliczne identyfikacje? Ależ tak! Obiecano nam przecież równość z aniołami, a stanie się to wówczas, kiedy już ostatecznie i w całej pełni otrzymamy nieśmiertelność i synostwo Boże. W życiu przyszłym „już bowiem umrzeć nie mogą, gdyż są równi aniołom i są dziećmi

Bożymi, będąc uczestnikami zmartwychwstania” (Łk 20,36). Ziarna zaś nieśmiertelności i synostwa Bożego nosimy w sobie już teraz. W paralelnych tekstach Mateusza i Marka (Mt 22,30; Mk 12,25) nauczyciele Kościoła jednoznacznie odczytywali sugestię, że szczególne podobieństwo do aniołów osiąga się przez celibat, pojmowany jako zdobywanie transcendencji wobec swojej seksualności.

Toteż nie tylko w poezji, lecz również w najbardziej oficjalnym nauczaniu wiary mówi się o możliwości upodobnienia do aniołów. „Na wzniosłe imię anioła – mówi święty papież Grzegorz Wielki w *Homilii* 6,6 – również wy, jeśli chcecie, możecie zasłużyć. Każdy z was – o ile otrzymał do tego natchnienia z nieba – prawdziwie jest aniołem, jeśli zdoła odwieść bliźniego od zła, jeżeli stara się zachęcić go do dobrego, jeśli błędzącemu mówi o wiecznym królestwie i o karze, i nie szczędzi mu świętych słów upomnienia”.

Przede wszystkim jednak anioł kojarzy nam się z gestem pochylenia nad człowiekiem słabym i bezradnym lub cierpiącym. Skojarzenie to utrwaliło się w języku, w postaci takich zwrotów jak: „anielska cierpliwość”, „anioł dobroci”, „to anioł, nie człowiek” itp. Zauważmy jednak, że anielska pomoc istotnie różni się od ludzkiej. Jest potężna. Weźmy dla przykładu słynną scenę z Księgi Daniela: „Anioł Pański zstąpił z Azariaszem i jego towarzyszami do pieca i wyrzucił płomień ognisty z pieca. Sprawił, że w środku pieca przewiewał jakby wietrzyk rosisty, a ogień nie dotknął się ich wcale i nie zadał im żadnego bólu ani szkody” (3,49). Przecież to od razu rzuca się w oczy, że ten anioł różni się bardzo od miłosiernego Samarytanina. Nie dotyczą go ograniczenia naszej ludzkiej kondycji.

Potęga aniołów nie tylko wspiera przyjaciół Bożych. Jest groźna dla zła. W Biblii mówi się o tym tak często, że aż trudno zrozumieć, dlaczego prawda o aniołach jako o potężnych wrogach zła jest w naszej świadomości prawie nieobecna. Przypomnijmy główne epizody tworzące tę tradycję. Otwierają ją Cheruby z ognistym mieczem, postawieni u bram Edenu (Rdz 3,24). W czasach Wyjścia Anioł Niszczyciel pozabijał pierworodnych Egiptu (Wj 12,23), w okresie zagrożenia asyryjskiego anioł Pański sprawił spustoszenie w najeźdźczej armii Sennacheryba (2 Krl 19,35), anioł też dopełnił sprawiedliwości na bezbożnych prześladowcach Zuzanny (Dn 13,55 i 59). O karzącym aniele mówi się w modlitwie przeciwko niegodziwcom:

Niech będą jak plewa na wietrze,
gdy będzie ich gnać anioł Pana.
Niech droga ich będzie ciemna i śliska,
gdy anioł Pana będzie ich ścigał. (Ps 35,5n)

A nade wszystko w Apokalipsie aniołowie wielokrotnie przedstawieni są jako posłańcy gniewu Bożego, skierowanego przeciwko złu. W tej podwójnej roli – obrońców dobra i mścicieli zła – wystąpią aniołowie na sądzie Bożym (Mt 24,31; 13,41).

Tradycję tę cudownie interpretuje m.in. Odyniec w swoim *Aniele śmierci*. Spróbujmy i my te groźne wątki prawdy o aniołach w sobie ożywić. Czy nie moglibyśmy na przykład modlić się do Boga, aby raczył uprzedzić swój sąd nad nami? Aby wysłał do mnie i do ciebie swoich aniołów, którzy będą niemiłosierni dla mojego i twojego grzechu (choćby nie wiem jak miałyby to nas boleć), będą zaś uwalniali w nas to wszystko, co dobre i tęskniące za prawdziwą miłością!

Wydaje się, że tymi przede wszystkim treściami należałoby napełniać naszą modlitwę do Anioła Stróża. Te motywy można też dołączać, ilekroć wspominamy aniołów w prefacji Modlitwy Eucharystycznej. Nie lękajmy się prosić Boga również o to, żeby przysyłał przeciwko nam – przeciwko temu wszystkiemu, co zasługuje w nas na zniszczenie – swoich aniołów mścicieli. Będzie to przecież dla naszego dobra.

Starotestamentalny zakaz obrazów i posągów

Wyjaśnijmy sobie zarzut, jaki stawiany jest Kościołowi katolickiemu przez aktywnych w ostatnich latach radykalnych protestantów o sfalszowanie tekstu przykazań Bożych: jakoby Kościół usunął z Dekalogu przykazanie drugie, zakazujące sporządzania obrazów i oddawania im czci.

Otóż tekst dziesięciu przykazań Bożych podaje nam Pismo Święte w dwóch redakcjach: w Księdze Wyjścia (20,2-17) oraz w Księdze Powtórzonego Prawa (5,6-21). Owszem, w obu wersjach znajduje się tam zakaz sporządzania obrazów Boga.

Brzmi on następująco: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią. Nie będziesz się kłaniał przed nimi i nie będziesz im służył, ponieważ Ja, Pan, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia względem tych, którzy Mnie nienawidzą. Okazuję zaś łaskę aż do tysiącznego pokolenia tym, którzy Mnie miłują i strzegą moich przykazań” (Wj 20,4-6).

Dla porządku podam jeszcze informację, że jest rzeczą dyskusyjną, czy zakaz ten stanowił pierwotnie odrębne przykazanie, czy też był uzupełnieniem przykazania „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. Faktem jest, że tradycja żydowska po dziś dzień w zakazie tym widzi jedynie dopowiedzenie do przykazania o wyłączności kultu Jednego Boga⁵¹. Zakaz sporządzania obrazów Boga potraktowali zaś jako odrębne przykazanie dwaj hellenizujący Żydzi, Józef Flawiusz oraz Filon z Aleksandrii, ogromnie zasłużeni propagatorzy judaizmu w kręgu kultury greckiej.

W starożytnym chrześcijaństwie do numeracji przykazań nie przywiązywało się większego znaczenia – jedni stosowali numerację Filona, inni numerację powszechnie dzisiaj przyjętą w Kościele katolickim (a także luterańskim). Za odmiennością tą nie stały bowiem wówczas żadne różnice dogmatyczne. Warto bowiem wiedzieć, że Dekalog nie miał w starożytnym chrześcijaństwie tej rangi teologicznej, co dzisiaj: wzorem Ewangelii, wydobywano z niego głównie przykazania moralne.

Powyższe informacje podaję jedynie dla porządku, a nie w celach polemicznych. Nie zamierzam bowiem przeczyć temu, że faktycznie w obu starotestamentowych redakcjach Dekalogu znajduje się zakaz sporządzania obrazów Boga i oddawania im czci. Niektórzy antykatolicko nastawieni protestanci wyciągają stąd wniosek: a więc Kościół sfałszował Dekalog!

Ciężki to zarzut i głęboko niesprawiedliwy. Bo w gruncie rzeczy zarzuca się w ten sposób Kościołowi, że stara się czytać Dekalog – i w ogóle cały Stary Testament – już oczyma Chrystusa. Tymczasem jest to jeden z podstawowych obowiązków

51 Numeracja żydowska różni się zresztą zarówno od numeracji katolickiej, jak od numeracji Filona, którą przyjął Kościół kalwiński, a w ślad za nim m.in. adwentyści i zielonoświątkowcy. Mianowicie jako pierwsze przykazanie przyjmuje się tam wstęp do dekalogu: „Jam jest Pan, Bóg twój...”. Odmienności wynikają stąd, że w Piśmie Świętym tekst Dekalogu w ogóle nie jest ponumerowany.

Kościół: troszczyć się o to, żeby wiara w Chrystusa przemieniała wszystko, również naszą lekturę Starego Testamentu, również znaczenie Tory Mojżeszowej, łącznie z jej najcenniejszym klejnotem – dziesięciorgiem Bożych przykazań. Stary Testament przygotował przecież ludzkość na przyjście Syna Bożego i Zbawiciela świata, jego funkcja musiała się zmienić w chwili, kiedy zapowiadane odkupienie ludzkości zostało już dokonane.

W czym wiara w Chrystusa zmienia naszą lekturę Starego Testamentu? Najpierw zwróćmy uwagę na aspekt tych zmian dość wprawdzie powierzchowny, ale bardziej rzucający się w oczy. Mianowicie, na mocy samego uwierzenia w Chrystusa wiele przepisów starotestamentalnych uległo dezaktualizacji. Przypomnijmy sobie stosunek Apostoła Pawła do prawa obrzezania. Prawo to było przecież nakazane przez samego Boga: obrzezanie stwierdzało przynależność do ludu Bożego. Chrystus jednak dał początek ludowi Nowego Przymierza: uczestnikiem tego ludu czyni człowieka już nie obrzezanie, ale przyjęcie – poprzez chrzest – Chrystusa jako Zbawiciela.

Po śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa straciły również swoją ważność prawa – znajdujące się przecież w Pięcioksięgu, a więc Boże prawa – zakazujące spożywania niektórych pokarmów, określające dni świąteczne oraz sposób ich obchodzenia itp. „Niechaj więc nikt z was – pisze Apostoł Paweł – nie wydaje sądu co do jedzenia i picia, bądź w sprawie święta czy nowiu, czy szabatu. Są to tylko cienie rzeczy przyszłych, a rzeczywistość należy do Chrystusa” (Kol 2,16n). Zauważmy, jak Apostoł argumentuje wygaśnięcie ważności dotychczasowych przepisów: cień powinien ustąpić rzeczywistości, którą zapowiadał. Argument ten szczególnie często pojawia się w Liście do Hebrajczyków.

Ale czymś szczególnie frapującym w przytoczonym wyżej zdaniu z Listu do Kolosan jest stwierdzenie, że nawet szabat utracił swoją dotychczasową ważność. Wszak nakaz święcenia szabatu stanowił jedno z przykazań Dekalogu, najświętszego prawa Żydów! Przecież Bóg przekazał ludowi to prawo w sposób szczególnie uroczysty, w dniach pamiętnego objawienia na górze Synaj! Czyżby nawet Dekalog utracił swoją ważność w erze chrześcijańskiej?

Żeby odpowiedzieć na te pytania, trzeba zbadać problem Dekalogu w Nowym Testamencie. Otóż łatwo zauważyć, że wypowiedzi ewangeliczne na temat Dekalogu

dotyczą jedynie przykazań, określających nasze obowiązki wobec bliźniego, natomiast pomijają milczeniem przykazania, mówiące o obowiązkach względem Boga. Jeśli odwołać się do tradycyjnego podziału, gdzie rozróżnia się dwie tablice (Pwt 5,22), to Ewangelia mówi jedynie o obowiązywaniu przykazań drugiej tablicy. „Jeśli chcesz wejść do życia, zachowaj przykazania” – mówi Jezus bogatemu młodzieńcowi. Młodzieniec oczekuje jednak odpowiedzi bardziej precyzyjnej, wobec tego Pan Jezus wyjaśnia mu, które przykazania ma na myśli: „Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, czcij ojca i matkę oraz miłuj bliźniego swego jak siebie samego” (Mt 19,16-19). Ani słowa o przykazaniach pierwszej tablicy.

Podobnie Apostoł Paweł w Liście do Rzymian 13,9. Podobnie w Kazaniu na Górze, kiedy Chrystus pokazuje swoim wyznawcom głębszy sens Bożego prawa. Mówi kolejno o przykazaniu „Nie zabijaj” (Mt 5,21-26), „Nie cudzołóż” (5,27-32), „Nie przysięgaj fałszywie” (5,33-37); kiedy indziej znów broni Chrystus przykazania „Czczij ojca i matkę” (Mt 15,4-8). Ani razu zaś nie nawołuje do zachowywania szabatu ani nie wypowiada się – choćby po to, żeby go pogłębić – na temat zakazu sporządzania obrazów Boga. O naszych obowiązkach względem Boga mówi Nowy Testament często, ale bez odwoływania się do Dekalogu.

Jak rozumieć milczenie Chrystusa Pana na temat pierwszych przykazań Dekalogu? Spróbujmy zobaczyć to na przykładzie przykazania o święceniu szabatu. Żydowski szabat miał ogromny sens religijny: był świętem wdzięczności za stworzenie świata, upamiętniał również wyzwolenie ludu Bożego z niewoli egipskiej. Otóż jeśli uważnie się wczytać w ewangeliczne opisy łamania praw szabatu przez Chrystusa Pana, okaże się, że było to coś dużo więcej niż walka o przywrócenie czcigodnemu świętu bardziej ludzkiego oblicza. Zbawiciel raz po raz daje do zrozumienia, że przynosi z sobą coś nieskończenie więcej, niż wyraża instytucja szabatu.

Szabat był pamiątką stworzenia świata, swoim odpoczynkiem świętujący naśladowali samego Stwórcę, który po sześciu dniach dzieła stworzenia odpoczął. Otóż Chrystus właśnie w szabat uzdrawia chorego, żeby ogłosić prawdę jakby zupełnie przeciwną powyższej symbolice: „Ojciec mój aż do tej chwili działa i Ja działam” (J 5,17). Krótko mówiąc, On przyszedł na ten świat, aby dać początek nowemu stworzeniu: to tylko stare stworzenie zostało zakończone, nowe stworzenie – nasze przeobstwienie, przemiana zwykłych ludzi w synów Bożych – właśnie się przez Niego dokonuje.

Szabat był ponadto pamiątką wyzwolenia z niewoli egipskiej. Otóż Chrystus uzdrowia w szabat i łamie w ten sposób przepisy żydowskie, żeby objawić się nam jako Wyzwoliciel z niewoli najgorszej, groźniejszej nawet niż niewola polityczna i społeczna, mianowicie z niewoli grzechu i szatana. Chodziło Mu nie tylko o przeciwstawienie się skostniałym przepisom, bo to czynili również niektórzy współcześni Mu rabini: On ogłosił się wówczas Wyzwolicielem, przywracającym wolność więźniom już nie faraona, ale szatana: „A tej córki Abrahama, którą szatan osiemnaście lat trzymał na uwieczni, czy nie należało uwolnić od tych więzów w dzień szabat?” (Łk 13,16)

Szabat był więc tylko cieniem, który powinien ustąpić nadchodzącej oto rzeczywistości. Jeden z ewangelicznych tekstów szabatowych zaczyna się nawet aluzją – i nie jest to aluzja zbyt cienka – że sam Chrystus jest naszym Szabatem. Wyraz „szabat” znaczy *odpoczynek*. Otóż w Nowym Testamencie sam Chrystus jest naszym Odpoczynek: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo i przyjmijcie moją naukę, bo jestem łagodny i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemię lekkie” (Mt 11,28-30). I zaraz po tych słowach następuje opis sporów szabatowych.

Nie można się więc dziwić, że przykazanie święcenia szabat – chociaż znajdowało się w Dekalogu – zostało już przez Apostołów uznane za nieobowiązujące (por. Kol 2,16n). Już wówczas na „łamanie chleba” Kościół zaczął się zbierać nazajutrz po szabacie (por. Dz 20,7), gdyż to był dzień zmartwychwstania, dzień, który zapoczątkował nowe stworzenie i w którym została nam ogłoszona radosna nowina o dokonanym odkupieniu.

Podobnego pogłębienia – choć w skromniejszym wymiarze – doczekał się starotestamentalny zakaz sporządzania obrazów. W swoim czasie miał on ogromny sens praktyczny: był namacalnym znakiem przepastnej różnicy między kultem Boga a kultem rozmaitych sił, którym cześć boska się nie należy; zakaz ten ułatwiał więc Żydom ochronę przed bałwochwalstwem. Ale zakaz ten oznaczał coś więcej: przypominał, że nieskończony Bóg przekracza nasze możliwości wyrazu. I więcej jeszcze: że nieskończony Bóg przekracza nasze możliwości percepcji – „Nie będziesz mógł oglądać mojego Oblicza, gdyż żaden człowiek nie może oglądać mojego Oblicza i pozostać przy życiu” (Wj 33,20).

I oto niespełna dwa tysiące lat temu stała się rzecz niemożliwa: Bóg objawił ludziom swój Obraz i nie tylko z tego nie pomarliśmy, ale wydarzenie to stało się dla nas źródłem życia. Obrazem Boga jest Jednorodzony Syn, który dla naszego zbawienia stał się człowiekiem. „On jest Obrazem Boga Niewidzialnego, Pierworodnym wobec każdego stworzenia” (Kol 1, 15). „On jest Odblaskiem chwały i Odbiciem istoty Jego, podtrzymuje wszystko słowem swej potęgi, a dokonawszy oczyszczenia z grzechów, zasiadł po prawicy Majestatu na wysokościach” (Hbr 1,3).

Otóż Najprawdziwszy Obraz Boży po to zstąpił do ludzi, Jednorodzony Bóg po to ukazał nam swoje cielesne, ludzkie oblicze, aby całej ziemi nadać oblicze bardziej Boże. Odtąd ciało i materia nie muszą być przeszkodą w naszym dążeniu do Boga. Więcej, również ciało i materia są otwarte na tę przemieniającą moc, która płynie od Chrystusa. Materia, która służyła dawniej m.in. do sporządzania szkaradnych posągów bałwochwalczych, w Chrystusie może stać się narzędziem, którym posługuje się Bóg, aby nas zbliżyć do siebie. Materialną wodą zostaliśmy ochrzczeni na życie wieczne, materialny pokarm i napój są przemieniane w Ciało i Krew Syna Bożego, materialne ikony i figury pomagają nam jednoczyć się z Bogiem i przybliżają nam Jego obecność. Zbawcza moc Chrystusa może bowiem przeniknąć wszystko, zdolna jest wypełnić swoim światłem nawet ciemności materii.

Zresztą wielu z nas z własnego doświadczenia wie, jak bardzo święte obrazy pomagają nam otworzyć się na światło Chrystusa, aby nas ono przenikało. Jak to dobrze, że Kościół czyta Stary Testament nie zawsze według litery, ale przede wszystkim stara się odkrywać jego ducha! Bo przecież Stary Testament jest prawdziwym słowem Bożym, a więc przepełniony jest duchem Chrystusowym. Żeby go jednak odkryć, trzeba czytać Stary Testament już z perspektywy Ewangelii. Okazuje się wówczas, że nawet te teksty, których litera niewątpliwie straciła swoją aktualność, a nawet budzi zgorszenie, pełne są ducha Chrystusowego. Bo Chrystus nie przyszedł znieść Starego Prawa, przyszedł jednak, *aby je wypełnić* (por. Mt 5,17).

Miejsce świętych obrazów w naszej drodze do Boga

Pan Jezus nie po to przyszedł do nas, żeby przywrócić Staremu Testamentowi jego pierwotną czystość, ale żeby go wypełnić. Symbolicznie podkreśla to ewangeliczna wzmianka, że w chwili Jego śmierci zasłona Świątyni rozdarła się na dwoje. Okazało się, że przepisy i obrzędy Starego Testamentu były tylko pąkami, co kryły w sobie wspaniałe kwiaty, którymi teraz mogą się cieszyć wierzący w Chrystusa. Kiedy kwiat rozkwita, listki, które go osłaniały w pąku, w krótkim czasie odpadają, spełniły już bowiem swoje zadanie. To samo stało się z przepisami i obrzędami Starego Testamentu. W wierze w Chrystusa otrzymaliśmy już realnie to, co one zapowiadały. Toteż odpadły one jak listki rozkwitniętych pąków, gdyż były „tylko cieniami spraw przyszłych, a rzeczywistość należy do Chrystusa” (Kol 2,17).

Ani jedna jota nie przeminęła również ze starotestamentalnego zakazu sporządzania bezbożnych obrazów i rzeźb. Zobaczymy, w jaki sposób Pan Jezus ten zakaz wypełnił. Najpierw jednak przyjrzyjmy się temu, o co materialnie w tym zakazie chodziło, bo dotyczy on zjawisk, które już dawno przeminęły. Mianowicie nie wolno było Izraelitom sporządzać obrazów i rzeźb jakichkolwiek bożków. Zakaz ten bronił ponadto lud Boży przed wyobrażaniem sobie Boga Prawdziwego na wzór potęg tego świata.

Tego drugiego grzechu dopuścił się lud Boży, sporządzając i oddając kult złotemu cielcowi (Wj 32). Lud, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością Mojżesza, tyle tylko na temat Boga Prawdziwego sobie zapamiętał, że jest On potężny, dlatego zaczął Go sobie wyobrażać pod postacią byka. Na tym właśnie polegał ten straszny grzech, do jakiego dał się skusić Aaron, że pozwolił czcić Boga Prawdziwego w sposób aż tak wypaczony – tak jakby nie był On Miłością i Miłosierdziem, tak jakby w swojej potędze był podobny do różnych potęg tego świata. Na tym też polegała bezbożność kultu, który Bogu Prawdziwemu oddawano w królestwie północnym (1 Krl 12,28-32). „Zamienili swą Chwałę – płacze Psalmista nad takim degradowaniem Boga do poziomu potęg doczesnych – na wizerunek cielca jedzącego siano” (Ps 106,20; por. Oz 8,5).

Jak widzimy, zakaz sporządzania rzeźb i obrazów stał się dziś w obu wymienionych wymiarach bezprzedmiotowy. Nie ma już dzisiaj religii bałwochwalczych, wyznających wielobóstwo. Zresztą właśnie chrześcijaństwo istotnie przyczyniło się do tego, że one wygasły. Nikomu też dzisiaj nie przychodzi do głowy, żeby Bogu Wszehmocnemu oddawać cześć w postaci „byka jedzącego siano” albo w jakimś innym, równie degradującym Go obrazie.

Mimo to jednak – dzięki światłu Ewangelii – zakaz sporządzania bezbożnych obrazów Boga możemy odkrywać jako zadziwiająco aktualny po dziś dzień. Cóż z tego bowiem, że nie sporządzamy już wizerunków Boga na wzór potęg tego świata, skoro w naszych sercach nosimy różne wyobrażenia o Bogu, które Go poniżają? Czyż nie zdarza się nam, że od Boga oczekujemy przede wszystkim zabezpieczenia naszej pomyślności doczesnej? Albo próbujemy Go uczynić wrogiem naszych nieprzyjaciół i mścicielem naszych krzywd; oczekujemy od Niego, że wyrówna nam niepowodzenia, będzie usuwał złe skutki naszego lenistwa, uświęcał nasze urazy itp. Naprawdę wciąż nam jeszcze bardzo daleko do tego, żebyśmy mogli sobie z czystym sercem powiedzieć, iż zakaz sporządzania niegodziwych wizerunków Boga wypełniamy co do joty.

Stanowczo potępiając tworzenie niegodziwych obrazów, które uwłaczają Bożej świętości, Kościół równie stanowczo broni praw wiernych do posługiwania się obrazami świętymi. To prawda, że na gruncie Starego Testamentu nie było miejsca na święte obrazy. Wprawdzie czytamy w Wj 37,7 o rzeźbach cherubów, które były umieszczone przy arce przymierza, jednakże nie miały one charakteru świętych obrazów, podobnie jak nie mają ich figury aniołów umieszczone na barokowym ołtarzu. W jednym i drugim przypadku rzeźby te spełniały jedynie dwie funkcje: po pierwsze, były ozdobą; po wtóre, pouczały o określonej prawdzie wiary (w tym konkretnym przypadku wyrażały prawdę, że Bogu podporządkowana jest cała potęga duchów czystych i że jest On przez nie adorowany). Powtarzam: obrazów świętych w ścisłym tego słowa znaczeniu Stary Testament nie znał.

Stary Testament był bowiem tym okresem w historii zbawienia, kiedy Bóg przekazywał ludziom z całą jednoznacznością prawdę o swojej transcendencji wobec wszystkich stworzeń. Nie tylko chronił Izraelitów przed bałwochwalstwem, ale

przypominał też o tym, że nieskończony Bóg przekracza nasze możliwości wyrazu, a nawet percepcji. Tę transcendencję Boga wobec wszelkiego obrazu, jaki mogłoby oglądać ludzkie oko, najmocniej chyba wyraża zdanie z Księgi Wyjścia: „Nie będziesz mógł oglądać mojego Oblicza, gdyż żaden człowiek nie może oglądać mojego Oblicza i pozostać przy życiu” (33,20).

Bez tak jasnego uświadomienia sobie transcendencji Boga, niczego nie pojęlibyśmy z tajemnicy Wcielenia. Przecież to, żeby Bóg naprawdę, a nie w opowieści mitologicznej, stał się człowiekiem, jest – po ludzku rzecz biorąc – czymś niemożliwym i absurdalnym. A jednak naprawdę Bóg stał się człowiekiem! Absolutnie transcendentny wobec wszelkiego stworzenia Syn Boży, którego Oblicza „nie może oglądać żaden człowiek i pozostać przy życiu”, naprawdę stał się jednym z nas. To, co po ludzku było niemożliwe, możliwe było dla Boga, który aż tak bardzo nas ukochał. W Jezusie Chrystusie nieskończony Bóg pokazał nam swoje Oblicze. Na gruncie Nowego Testamentu nie można mieć wątpliwości co do tego, że Jezus Chrystus jest „Obrazem Boga Niewidzialnego” (Kol 1,15), „Odblaskiem chwały i Odbiciem istoty Jego” (Hbr 1,3).

Toteż dopiero po przyjściu do nas Boga wcielonego i tylko wśród Jego wyznawców stało się możliwe tworzenie i posługiwanie się świętymi obrazami. Właśnie dlatego, że w Jezusie Chrystusie Bóg nam pokazał swoje prawdziwe Oblicze. Przekonałiśmy się wówczas, że owszem, jest ono śmiertcionośne, ale śmiertcionośne w sposób błogosławiony: zabija ono we mnie człowieka grzechu, jeśli tylko staram się przed Obliczem Syna Bożego stawać w wierze. Zaś w swojej istocie oglądanie Jego Oblicza jest darem życiodajnym, obdarza nas życiem wiecznym, którym przepelniony jest sam Bóg.

Oczywiście, że Oblicze Boże jest w Jezusie Chrystusie osłonięte naszym człowieczeństwem. Nie po to jednak Syn Boży osłonił swoje Boskie Oblicze naszą ludzką naturą, żeby je przed nami zasłonić, ale żebyśmy je potrafili właśnie zobaczyć. Podobnie jak okulary przyciemniamy nie po to, żeby nie widzieć słońca, ale właśnie po to, żeby móc je widzieć. Jeśli zaś komuś się wydaje, że jest to argumentacja naciągana, niech sobie przypomni wypowiedzi samego Pana Jezusa: „Kto Mnie widzi, widzi Tego, który Mnie posłał” (J 12,45); „Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca. Dlaczego więc mówisz: Pokaż nam Ojca?” (J 14,9)

Przyjście Syna Bożego spowodowało sytuację absolutnie nową w stosunku do Starego Testamentu, a zarazem nie przekreśliło ono Starego Testamentu, tylko przyniosło jego wypełnienie. Otóż jeśli Jezus jest Synem Bożym, to Jego przyjście do nas nie było – rzecz jasna – tylko trzydziestokilkuletnim epizodem w ludzkich dziejach. Syn Boży przyszedł na naszą ziemię, żeby być z nami przez wszystkie dni aż do skończenia świata. Pod kątem naszego tematu zdanie to wyrażmy następująco: Ten, który jest „Obrazem Boga Niewidzialnego”, „Odblaskiem chwały i Odbiciem istoty Jego”, chce być z nami przez wszystkie dni aż do skończenia świata.

Ten, który dla nas przyjął ludzkie ciało, również swoją dzisiejszą obecność wśród nas lubi naznaczać jakąś formą widzialności. Mówił na przykład, że będzie obecny wszędzie tam, gdzie dwoje lub troje zgromadzi się w Jego imię (Mt 18,20). Domagał się od nas, żebyśmy nie wstydzieli się wyznawać Go przed ludźmi (Mt 10,32n). Oczekuje naszego świadectwa (Mt 5,16). Czyni nas swoimi uczniami poprzez obmycie nas materialną wodą chrztu, karmi nas prawdziwie i poi Ciałem i Krwią pod postaciami materialnego pokarmu i napoju. Jego słowo, natchnione przez Ducha Świętego, zapisane jest na widzialnym papierze atramentem lub farbą drukarską.

Po prostu taka jest natura wiary chrześcijańskiej, że nieustannie pragnie ona przekraczać granice między tym, co widzialne, a tym, co niewidzialne: to, co niewidzialne, chce wyrażać w sposób widzialny, a tym, co widzialne, pragnie posługiwać się w swojej drodze ku temu, co niewidzialne. Nie może być inaczej, skoro chrześcijaństwo jest wiarą w Boga, który stał się człowiekiem.

Kto wprowadził do Kościoła obrazy i rzeźby? Otóż nie uczynił tego żaden sobór, synod czy papież. Obrazy pojawiły się w starożytnym Kościele w trakcie organicznego rozwoju świadomości wiary. Po prostu bardzo wcześnie chrześcijanie zaczęli odczuwać potrzebę, żeby swojej wierze w Boga wcielonego dawać wyraz również za pośrednictwem sztuk plastycznych.

Proszę sobie wyobrazić, że w katakumbach cmentarza Priscylli w Rzymie zachował się obraz Matki Bożej oraz obraz Dobrego Pasterza z roku ok. 210. Na rzymskim cmentarzu Domitylli znajduje się obraz Dobrego Pasterza z roku ok. 250 oraz scena Daniela w jaskini lwów, datowana na lata 253–268. Na odkopanym pod

bazyliką św. Piotra cmentarzu watykańskim znajduje się grobowiec pogańskiej rodziny Juliuszów, która na przełomie II i III wieku przyjęła wiarę chrześcijańską i w związku z tym postanowiła zmienić dekoracje grobowca. Otóż na ścianach tego grobowca znajduje się m.in. obraz Jonasza w paszczy potwora oraz obraz Dobrego Pasterza w otoczeniu owiec⁵².

„Ikonografia Chrystusa – wyjaśnia Jan Paweł II w liście apostolskim z 4 grudnia 1987, napisanym z okazji tysiąc dwusetnej rocznicy II Soboru Nicejskiego – wiąże się z naszą wiarą w rzeczywistość Wcielenia i w jego niewyczerpane znaczenie dla Kościoła i świata. Kościół aprobejuje ten rodzaj sztuki, ponieważ jest przeświadczony, że Bóg, który objawił się w Jezusie Chrystusie, rzeczywiście odkupił i uświęcił ciało oraz cały świat dostępny poznaniu zmysłowemu, to znaczy całego człowieka obdarzonego pięcioma zmysłami i że uczynił to dlatego, aby człowiek mógł – jak poucza Kol 3,10 – «wciąż się odnawiać według obrazu Tego, który go stworzył»”.

Tradycyjną naukę Kościoła na temat kultu świętych obrazów Jan Paweł II, właśnie w tym liście, streszcza następująco: „Sobór Nicejski II uroczyście potwierdził tradycyjne rozgraniczenie pomiędzy «prawdziwą adoracją», która «według naszej wiary odnosi się wyłącznie do boskiej natury», a «oddawaniem czci», które dotyczy obrazów, «bowiem ten, kto pada na twarz przed obrazem, pada na twarz przed osobą, którą obraz ten wyobraża». Powyższą naukę głosił już św. Bazyli, który w roku 375 napisał, że „cześć oddawana obrazom dotyczy Osoby, którą obraz przedstawia” (*O Duchu Świętym* 18,45).

W tym miejscu warto sobie uświadomić, jak bardzo ewangeliczne jest nasze pragnienie, ażeby Panu Jezusowi oddawać cześć również naszym ciałem. Przecież to zrozumiałe, że kiedy w wierze spotykamy Chrystusa, pojawia się w nas podobny odruch jak w mędrkach ze Wschodu, którzy „upadli na twarz i złożyli Mu pokłon” (Mt 2,11). Kiedy zaś przychodzimy do Niego z jakąś prośbą, mamy taką samą potrzebę jak Kananejka, która „upadła przed Nim i prosiła: Panie, dopomóż mi!” (Mt 15,25) I nieraz chcielibyśmy się przyłączyć do ślepego od urodzenia, który pełen wdzięczności wyznał wiarę „i oddał Mu pokłon” (J 9,38). I do apostołów,

52 Podstawowe wiadomości na temat początków plastyki chrześcijańskiej można znaleźć w podręczniku ks. Franciszka Stopniaka pt. *U źródeł chrześcijaństwa. Archeologia*. Podano tam m.in. informację, że zachowało się ponad trzysta malowanych lub rzeźbionych przedstawień Chrystusa Dobrego Pasterza pochodzących z III wieku, a więc jeszcze z okresu prześladowań chrześcijaństwa (s. 85).

którzy, rozpoznawszy w Chrystusie Pana wszechświata, „upadli przed Nim mówiąc: Prawdziwie jesteś Synem Bożym!” (Mt 14,33) Kiedy zaś ogarnia nas dziękczynienie za Jego śmierć i zmartwychwstanie, chciałoby się podejść do Niego razem ze świętymi niewiastami, „objąć Go za nogi i oddać Mu pokłon” (Mt 28,9).

Otóż obraz Ukrzyżowanego czy inny wizerunek Pana Jezusa ogromnie ułatwia nawiązanie z Nim takiego właśnie, serdecznego, a zarazem adoracyjnego spotkania. Toteż jeśli ktoś dopatruje się w świętych obrazach jakiegoś podobieństwa do bałwochwalczych posągów, po prostu uległ zaślepieniu i nie widzi różnicy między światłem a ciemnością. Jak to wspaniale wyraził prześladowany przez ikonoklastów biskup Konstantynopola, św. German (+ 733): ich nauka „podważa całą Bożą ekonomię według ciała”.

„Wszak – zacytujmy po raz ostatni list apostolski Jana Pawła II – patrząc na ludzkie oblicze Syna Bożego, który jest «Obrazem Boga Niewidzialnego», można dostrzec Słowo, które stało się ciałem Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata. Dlatego sztuka może ukazywać ludzką twarz Chrystusa i kierować tych, którzy ją kontemplują, ku niewysłowionej tajemnicy tego Boga, który stał się człowiekiem dla naszego zbawienia. Papież Hadrian pisał: «Gdy patrzymy na obraz ukazujący ciało, które Syn Boży zechciał przyjąć dla naszego zbawienia, Jego widzialne oblicze przyciąga nas i prowadzi naszą duszę ku niewidzialnemu majestatowi Boga. W ten sposób adorujemy i czcimy samego Odkupiciela, wysławiamy Go w duchu, albowiem napisane jest: Bóg jest duchem. I dlatego my w duchu naszym sławimy Jego bóstwo»”.

Na zakończenie jeszcze dwie uwagi. Pierwsza będzie dotyczyć religijnego sensu obrazów Matki Bożej oraz innych świętych. Znakomicie problem ten przedstawił w roku 426 św. Cyryl z Aleksandrii: „Jeśli sporządzamy obrazy pobożnych ludzi, to przecież nie w tym celu, żeby ich uwielbiać jako bogów, ale żeby – patrząc na nich – pobudzać się do współzawodnictwa z nimi. Natomiast obrazy Chrystusa sporządzamy w tym celu, ażeby duszę naszą pobudzać do miłowania Go” (*Objaśnienie Psalmów* 113,16).

Do drugiej uwagi natchnęło mnie studium Congara na temat kategorii „słuchać” i „widzieć” w Piśmie Świętym. Otóż samą istotą starotestamentalnej postawy wobec Boga było słuchanie Go. Słowo „słuchać” pojawia się w Starym Testamencie

około tysiąca stu razy. Ewangelia wprowadza harmonię między obu tymi kategoriami, a nawet na pierwszym miejscu stawia widzenie: „Szczęśliwe oczy wasze, że widzą, i uszy wasze, że słyszą” (Mt 13,16). Dlatego zaś widzenie wysuwa się na pierwsze miejsce, bo ostatecznym naszym przeznaczeniem jest oglądanie Go twarzą w twarz. Zdaniem Congara, to nie jest przypadek, że protestantyzm ma tendencję do odrzucania zarówno sakramentów, jak świętych obrazów, jak samej nawet mszy świętej.

Nie jest również przypadkiem, że szczególnie mocno znaczenie świętych obrazów podkreśla się w prawosławiu i w ogóle w duchowości chrześcijan wschodnich. Duchowość protestancka jest bowiem mało wrażliwa na obecność rzeczywistości zmartwychwstania już teraz, zaś chrześcijaństwo wschodnie, przeciwnie: bardzo intensywnie stara się otwierać na zstępowanie życia wiecznego już w nasze życie doczesne.

Spróbujmy zauważyć, jak bardzo religijne zrozumienie dla świętych obrazów może uszlachetnić całą naszą wyobraźnię. Mianowicie człowieka, który potrafi z wiarą stanąć przed świętym obrazem, nie trzeba przekonywać, że oczyma cielesnymi potrafimy oglądać również rzeczy duchowe. Wielka szkoda, że współczesna kultura niemal zupełnie zdolność tę zagubiła. Może nie byłoby tego „obrazoburstwa z nadmiaru”, którym przepełnione są nasze ulice, kina i telewizja. Twórca tego terminu, Gilbert Durand, „obrazoburstwem z nadmiaru” nazywa cechującą wielu współczesnych ludzi, samych zresztą malarzy i rzeźbiarzy nie wyłączając, niewrażliwość na głębsze wymiary, jakie mogą znajdować się w obrazie. Jednak jest to już problem ogólnokulturowy, który z wiarą wiąże się tylko pośrednio.

Monoteizm a oddawanie czci świętym

Słyszy się czasem absurdalne twierdzenie, jakoby kult świętych wszedł na miejsce dawnego kultu bożków i że praktycznie jest on kontynuacją politeizmu. Przypatrzmy się zatem, jak nieprzejednanymi przeciwnikami wielobóstwa byli chrześcijanie starożytni, a zarazem jak jednoznacznie właśnie oni mówili o tym, że cześć oddawana świętym nie ma z kultem bożków nic wspólnego. Bo trzeba wiedzieć, że pobożność chrześcijańska bardzo wcześnie przyznała świętym należne im miejsce w życiu Kościoła.

Odwołam się na początku do niezwykle interesującego świadectwa, jakie znajduje się w opisie męczeństwa biskupa Smyrny, Polikarpa, który w swojej młodości był uczniem Apostoła Jana. Otóż kiedy w około 156 roku umarł on śmiercią męczeńską, prokonsul nie chciał oddać jego szczątków, motywując to tym, iż „rzekomo moglibyśmy porzucić Ukrzyżowanego, a oddawać cześć boską Polikarpowi”⁵³. Krótki ten zapis rejestruje dwa ważne zjawiska. Po pierwsze, już nawet niechrześcijanie zauważali w owym czasie, iż w Kościele oddaje się cześć męczennikom. Po wtóre zarzut, jakoby mogła to być cześć należna Bogu, wydawał się ówczesnym chrześcijanom tak absurdalny, że samo wypowiedzenie go ujawniało – jak sądził anonimowy autor *Męczeństwa świętego Polikarpa* – jego całkowitą bezzasadność.

„Nie rozumieli [nasi przeciwnicy] – wyjaśnia ów osiemnaście i pół stuleci starszy od nas chrześcijanin – że nie możemy nigdy opuścić Chrystusa, który cierpiał za zbawienie wszystkich zbawionych na świecie. (...) Jemu składamy hołd naszej adoracji, gdyż jest Synem Bożym, męczenników zaś kochamy jako uczniów i naśladowców Pana, a jest to rzeczą słuszną, gdyż w stopniu niezrównanym oddali się oni na służbę swojemu Królowi i Mistrzowi” (*tamże*).

Opowiada dalej ów anonimowy autor, że w końcu chrześcijanom udało się ocalić szczątki, których nie strawił ogień (Polikarp umarł bowiem jako żywa pochodnia), i dzięki temu jesteśmy w posiadaniu niezwykle cennego świadectwa, w jaki sposób ówczesny Kościół czcił swoich męczenników: „Tak więc dopiero później mogliśmy zebrać jego kości, cenniejsze od złota i drogich kamieni, oraz złożyć je w odpowiednim miejscu. Za łaską Bożą będziemy się tam w miarę możliwości stale gromadzić w dzień jego męczeńskich narodzin i z radością obchodzić je uroczystie, wspominając tych, co już zwyciężyli w walce, a przygotowując do niej tych, co jej jeszcze nie zaznali” (nr 18).

Tutaj szczególnie skupię się na refleksji, jaką na ten temat zostawił po sobie święty Augustyn (+ 430). Z całym radykalizmem potępiał on kult wielu bogów, a jednocześnie wkładał wiele serca w wysławianie świętych, którzy wyprzedzili nas w drodze do życia wiecznego. Myśl św. Augustyna jest cenna zwłaszcza przez to, że wielobóstwo było jeszcze wówczas realnie praktykowane przez tysiące ludzi,

53 *Męczeństwo św. Polikarpa*, 17; w: *Męczennicy*, opr. Ewa Wipszycka i Marek Starowieyski, Kraków 1991, „Ojcowie żywi”, t.9 s.199.

toteż argumenty Augustyna, dlaczego między kultem bożków a kultem świętych istnieje mniej więcej taka różnica jak między piekłem i niebem, nabierają dla naszego problemu znaczenia szczególnego.

W ślad za wcześniejszymi Ojcami Kościoła w pogańskich bogach dopatrywał się Augustyn złych duchów. Przecież jeden tylko Bóg może swoje stworzenie uczynić ostatecznie szczęśliwym. Właśnie On jest źródłem szczęścia wiecznego swoich aniołów i świętych. Toteż wielkim ich pragnieniem – ponieważ są dobrzy i życzą nam dobrze – jest zwrócić nas ku czci jedynego i prawdziwego Boga. „Jeżeli nas miłują i chcą, byśmy byli szczęśliwi, to z pewnością pragną, abyśmy uzyskali to szczęście stąd, skąd i oni sami je otrzymują... Nie chcą oni, byśmy czcili ich jako bogów, chcą zaś, abyśmy wraz z nimi wielbili ich Boga, będącego też Bogiem naszym. Pragną nie tego, byśmy im składali ofiary, lecz tego, byśmy wraz z nimi byli ofiarą dla Boga... Więcej nam sprzyjają i więcej dopomagają wtedy, gdy wraz z nimi oddajemy cześć jednemu Bogu niż sprzyjaliby i dopomagaliby wtedy, gdybyśmy ich samych czcili przez składanie ofiar”⁵⁴.

„Zatem – pyta Augustyn – którym aniołom mamy wierzyć w sprawie szczęśliwego i wiecznego żywota? Czy tym, którzy sami chcą przez obrzędy religijne odbierać cześć, wymagając od śmiertelników, by odprawiali dla nich nabożeństwa tudzież składali im ofiary? Czy raczej tym, którzy głoszą, że cała ta cześć należy się jednemu Bogu, Stwórcy wszystkich rzeczy, i polecają oddawać ją z prawdziwą pobożnością Temu, którego oglądanie napęłnia ich szczęściem i nas uczyni szczęśliwym?”⁵⁵ Toteż święty Biskup Hippony nie ma wątpliwości, że skoro pogańscy bogowie domagają się dla siebie czci, która jest należna jednemu tylko Bogu, to są to po prostu duchy nieczyste.

Dzisiaj – kiedy już od dwóch tysięcy lat rozlega się po ziemi radosna nowina, że Bóg jest miłością – na ogół nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo religijność pogańska oparta była na strachu. Ludzie czcili bogów, bo się ich zwyczajnie bali. Bali się, że za brak należytej czci bogowie mogą się zemścić i zesłać na nich jakieś nieszczęście. Te atawistyczne odczucia odzywały się również w niedawno nawróconych chrześcijanach, którzy nie rozumiejąc jeszcze dostatecznie, że kochający Bóg

54 Święty Augustyn, *O Państwie Bożym* (10,1,3; 25), tłum. Wiktor Kornatowski, Warszawa 1977 t. 1 s.443 i 475.

55 *Dz. cyt.*, (10,16,1), s.462.

jest naprawdę wszechmocny, odczuwali niekiedy pokusę, aby na wszelki wypadek również diabłu od czasu do czasu zapalić jakiś ogarek. Co więcej, chrześcijańska nauka o dobrych aniołach wywoływała w nich niekiedy trwożliwe pytania, czy nie warto by ubiegać się o ich łaskawość poprzez oddawanie im czci boskiej.

Św. Augustyn starał się rozpraszać te wątpliwości, przede wszystkim wskazywał na ich bezbożność. Przypominał, jak zdecydowanie bronili się przed próbami oddawania im czci boskiej apostołowie (Dz 14,13-18) albo anioł z Apokalipsy (Ap 19,10). „Niech nikt nie mówi: Boję się, żeby na mnie nie obraził się mój anioł, jeśli nie oddam mu czci zamiast Bogu. Właśnie wtedy się na ciebie rozgniewa, kiedy zechcesz oddawać mu cześć boską. Przecież jest on dobry i miłuje Boga. Podobnie jak demony gniewają się, jeśli ich się nie czci, tak aniołowie oburzają się, jeśli im się cześć oddaje zamiast Bogu. Oby jednak nie rzekło ci twoje słabe serce: A więc, skoro demony się gniewają, że się ich nie czci, boję się obrazić demony”⁵⁶.

Podobnie pisał w *Państwie Bożym*: „Nie powinniśmy zatem bać się że obrazimy te nieśmiertelne i szczęśliwe istoty, które są poddane jednemu Bogu, jeśli nie będziemy im składali ofiar. Tego bowiem, o czym wiedzą, że się należy tylko jednemu prawdziwemu Bogu, przy którym trwając są szczęśliwi, z całą pewnością dla siebie nie pragną. Takie zuchwalstwo właściwe jest tylko pełnym pychy demonom, od których bardzo dalecy są pobożni słudzy Boży, czerpiący swe szczęście jedynie z trwania przy Nim”⁵⁷.

Otóż ten sam św. Augustyn, który mówił i pisał to wszystko, nie miał najmniejszych oporów przed oddawaniem kultu świętym męczennikom, często odprawiał nabożeństwa w rocznice ich śmierci, wygłosił przy tych okazjach setki kazań, z których dziesiątki zachowały się do dnia dzisiejszego. Ponieważ wielu ówczesnych obywateli Hippony oddawało cześć pogańskim bogom, św. Augustyn wielokrotnie przedstawiał przepaść, która dzieli kult bożków od tej czci, którą oddajemy naszym świętym.

„Myśmy nie przeznaczyli dla tych męczenników – pisze w *Państwie Bożym* – ani świątyń, ani kapłanów, ani obrzędów, ani ofiar, gdyż nie są oni naszymi bogami:

56 Święty Augustyn, *Objaśnienia Psalmów* (96,12), tłum. Jan Sulowski, Warszawa 1986, „Pisma Starochrześcijańskich Pisarzy”, t.40 s.290.

57 Święty Augustyn, *O Państwie Bożym* (10,26), s.476.

to ich Bóg jest zarazem naszym Bogiem. Niewątpliwie, czcimy ich pamięć jako świętych ludzi Bożych, którzy aż do swojej cielesnej śmierci walczyli o prawdę... W uroczystości tej chodzi wszak o to, byśmy dziękowali Bogu za ich zwycięstwa i sami, wezwawszy Boga ku pomocy i odnowiwszy pamięć o nich, zachęcili się do zdobywania podobnych wieńców i palm⁵⁸.

A oto fragment jednego z kazań św. Augustyna: „Najdrożsi, męczenników naszych nie mamy za bogów, nie czcimy ich jako bogów i w żaden sposób nie wolno ich z nimi zestawiać. Nie wystawiamy im świątyn ani ołtarzy, ani ofiar. Nie im kapłani składają ofiary – to całkiem wykluczone! Bogu są one składane. Zatem Bogu, od którego wszystko otrzymujemy, składamy ofiarę. Również kiedy składamy ofiarę w kaplicach świętych męczenników, czyż nie składamy jej Bogu? Przyznajemy świętym męczennikom miejsce czcigodne. Ale zauważcie: podczas modlitwy przy ołtarzu Chrystusa wymieniamy ich w miejscu uprzywilejowanym, jednak nie adorujemy ich tak jak Chrystusa. Czyż kiedyś słyszeliście, żebym ja albo jakiś brat i współbiskup mój, albo jakiś prezbiter mówił w kaplicy świętego Teognisa: Składam ci ofiarę, święty Teognisie? Albo: Składam ci ofiarę, Piotrze, składam ci ofiarę, Pawle? Nigdy tego nie słyszeliście. To się nie zdarza, tak się nie godzi. A kiedy ciebie zapytają: Czy ty oddajesz cześć Piotrowi? – odpowiedz tak, jak Eulogiusz odpowiedział Fruktuozowi: Ja nie oddaję czci Piotrowi, ale Bogu, którego również Piotr czcił. Wówczas Piotr będzie cię kochał⁵⁹.

Przypomina się słynne zdanie biskupa Ambrożego, wielkiego czciciela Matki Najświętszej w Kościele starożytnym. (Tutaj warto sobie przypomnieć, że to właśnie św. Ambroży istotnie przyczynił się do nawrócenia Augustyna). Zdanie to, napisane w roku ok. 381, brzmi następująco: „Maryja była świątynią Boga, nie Bogiem świątyni. Toteż jedynie Temu należy oddawać cześć boską, kto w tej Świątyni działał⁶⁰.

Minęło już tysiąc sześćset lat od czasu, kiedy Ambroży wypełnił w Kościele posługę nauczyciela wiary, a o Matce Bożej Kościół wciąż naucza tego samego: że czcimy Ją, ażeby uwielbić Boga za to, że tak niepojętych darów udzielił człowiekowi, zaś w Niej samej dostrzegamy Służebnicę Pańską, nawołującą nas do tego, abyśmy wypełniali wszystko, co mówi Jej Syn (por. Łk 1,48n; J 2,5).

58 Dz. cyt., (8,27,1), s.411.

59 Święty Augustyn, *Kazanie 273*, 7 (PL 38,1251); por. *Państwo Boże* (22,10), t.2 s.577.

60 „„Maria erat templum Dei, non Deus templi. Et ideo ille solus adorandus, qui operabatur in templo” (*O Duchu Świętym*, 3,11,80; PL 16,795).

Dzięki czci, oddawanej świętym, Kościół może głębiej zrozumieć swoją tożsamość: że więzy wzajemnego braterstwa łączą nie tylko nas, którzy obecnie pielgrzymujemy do życia wiecznego, ale obejmują wszystkich członków Kościoła, również tych, którzy życie wieczne już osiągnęli. Wyraźnie czytamy o tym w Liście do Hebrajczyków: „przystąpiliście do góry Syjon, do miasta Boga żyjącego, do Jeruzalem niebieskiego, do niezliczonej liczby aniołów, na uroczyste zebranie, do Kościoła pierwородnych, którzy są zapisani w niebiosach, do Boga, który sędzi wszystkich, do duchów sprawiedliwych, które już doszły do celu, do Pośrednika Nowego Testamentu Jezusa, do pokropienia Jego Krwią” (12,22-24).

Skoro więc my, którzy dopiero dążymy do życia wiecznego, modlimy się za siebie wzajemnie, nie da się nawet pomyśleć, żeby święci, którzy są już bez reszty z Chrystusem, mogli nie wstawiać się za nami u Boga.

Ale właśnie w tym miejscu pojawiają się pytania następujące: Jak to się dzieje że niektórzy chrześcijanie lękają się kultu świętych? Skąd się biorą ich obawy, iż sama myśl o wstawiennictwie świętych za nami może być zamachem na jedność zbawczego pośrednictwa Chrystusa Pana?

Sądzę, że chrześcijanie ci powinni pogłębić swoje spojrzenie na to, skąd się bierze wartość naszej modlitwy za siebie wzajemnie. O takiej modlitwie czytamy w Nowym Testamencie wielokrotnie. Otóż jeden tylko Chrystus Pan ma moc wstawiać się za nami skutecznie u swojego Ojca. Moja modlitwa za ciebie (podobnie jak twoja modlitwa za mnie) może być skuteczna tylko w takim stopniu, w jakim stopniu ja stanowią już jedno z Chrystusem. Na razie ja jestem jeszcze grzeszny, jeszcze daleko mi do pełnej jedności z Chrystusem Panem. Ale ponieważ moje przechrystusowanie już się zaczęło, w mojej modlitwie przejawia się już jakoś jedynie skuteczna modlitwa Chrystusa.

Otóż święci stanowią już, w sposób doskonały, jedno z Chrystusem, należą już bez reszty do Jego Ciała, którym jest Kościół. Toteż ich modlitwa za nas jest bez porównania bardziej skuteczna niż nasza modlitwa za siebie wzajemnie. Bo w ich modlitwie może już zupełnie bez przeszkód przejawiać się jedynie skuteczna modlitwa Chrystusa Pana.

Krótko mówiąc, wydaje się, że ci chrześcijanie, którzy odrzucają kult świętych, odrzucają – pod pozorem gorliwości o kult, który należny jest samemu tylko Bogu i Chrystusowi – biblijną naukę o naszym przystąpieniu „do duchów, które już doszły do celu” (Hbr 12,23) oraz biblijną naukę, że Chrystus Pan jest „Głową Kościoła, który jest Jego Ciałem, Pełnią Tego, który napędza wszystko wszelkimi sposobami” (Ef 1,22n).

Cztery wymiary kultu świętych

Początki kultu świętych

Kult świętych narodził się w Kościele wcześniej, a pojawił się nie jako ciało obce, lecz wyrósł z życia Kościoła w sposób organiczny. Pierwszy jego ślad znajdziemy już w Nowym Testamencie: „Pamiętajcie o swych przełożonych, którzy głosili wam słowo Boże, i rozpamiętując koniec ich życia, naśladujcie ich wiarę” (Hbr 13,7).

Bardzo wcześnie⁶¹ – prawdopodobnie już na przestrzeni wieku II, a na pewno w wieku III – zaczęto obchodzić w Kościele rocznice męczenników. Był to poniekąd owoc inkulturacji. Mianowicie Kościół ówczesny wszedł w rozpowszechniony wówczas w krajach basenu Morza Śródziemnego zwyczaj obchodzenia na cmentarzach urodzin swoich zmarłych. Polegał on na tym, że krewni i przyjaciele zmarłego gromadzili się w dzień jego urodzin przy jego grobie, żeby go wspominać i spożyć posiłek, na jaki ów zmarły za pośrednictwem swoich krewnych ich zaprosił.

Chrześcijanie kontynuowali ten obyczaj w stosunku do swoich zmarłych, jednak z dwiema charakterystycznymi modyfikacjami. Po pierwsze, przenieśli, zachowując nazwę, *dies natalis*, na rocznicę śmierci jako na dzień jego narodzin dla nieba. Po wtóre, uczta cmentarna została zastąpiona, a przynajmniej usunięta w cień przez ucztę eucharystyczną. Kościół *offert annuis diebus dormitionis eius* – pisze o tej Eucharystii w rocznicę śmierci zmarłego Tertulian (*De monogamia*, 10). *Oblationes pro defunctis, pro natalitiis annua die facimus*, „Ofiary za zmarłych w rocznicę ich urodzin składamy” (Tertulian, *De corona*, 3).

61 Tematowi początków kultu świętych poświęcone są dwa wciąż bezcenne fundamentalne dzieła Hipolita Delehaye, *Les origines du culte des martyrs*, Bruxelles 1933; Sanctus, *Essai sur le culte des saints dans l'antiquité*, Bruxelles 1927. Obfite źródło szczegółowych informacji stanowi ogromny artykuł H. Leclercq, *Martyr*, w: *Dictionnaire d'Archéologie Chrétienne et de Liturgie*, t.10 kol. 2359-2512.

Taką rocznicową Eucharystię odprawiano również na grobie męczennika, ale od samego początku była ona bardziej uroczysta, niż Eucharystia sprawowana na grobie zwykłego chrześcijanina. Ze zrozumiałych względów uczestniczyli w niej nie tylko najbliżsi tego męczennika, ale przeważnie cały miejscowy Kościół, i nie przestano jej obchodzić również wówczas, kiedy zabrakło już tych, którzy owego męczennika znali bezpośrednio. Kult męczenników zaczął się więc w Kościele w sposób niemal niezauważony, w atmosferze radości, że niektórzy z nas dali Chrystusowi świadectwo, iż my wszyscy kochamy Go ponad życie.

Pierwszy kult świętych męczenników koncentrował się przy ich grobach. Początkowo był on ograniczony do lokalnego Kościoła, w którym męczennik działał i umarł. Proces przyjmowania do liturgicznego kalendarza sławniejszych męczenników, którzy mieli swoje groby w innych miastach czy krajach, mógł się zacząć jeszcze w okresie prześladowań. W każdym razie źródła z tego okresu świadczą wielokrotnie, że postaci i pisma wielkich męczenników cieszyły się sławą i szacunkiem daleko poza granicami ich własnych Kościołów.

Istnienie takiego procesu w połowie wieku IV da się stwierdzić w sposób pewny, a przybrał on szerokie rozmiary w wieku V. Kościoły lokalne przejmowały przede wszystkim kult męczenników czczonych w swoich kościelnych stolicach. W ten sposób kult świętych przypominał nie tylko o tym, że jesteśmy jednym Kościołem poprzez pokolenia, ale przyczyniał się do utrwalania więzi kościelnych również w wymiarze przestrzennym. Uświadomienie sobie, że można czcić również tych świętych, którzy nie mają grobu na terenie danej społeczności chrześcijańskiej, stało się powodem powszechnego wprowadzenia w ciągu V wieku świąt ku czci Apostołów.

Zwiążenie grobu z kultem męczennika dało początek dwóm charakterystycznym zwyczajom. Wrodzona religijnej naturze człowieka skłonność szukania materialnego znaku w kontakcie z nadprzyrodzonością zrodziła zwyczaj otaczania szczątków męczennika religijnym szacunkiem. Grób męczennika stawał się miejscem świętym, skąd zanoszone modlitwy mogą być bardziej wysłuchane, gdzie w sposób szczególnie działa uświęcająca moc Boża. Katechumenka, święta Emerencjana, przyłapała męczeństwem (rok ok. 305) to, że przyłapano ją na modlitwie na grobie swej kuzynki, męczennicy Agnieszki. Ze względu na szczególną wartość grobu

męczennika św. Ambroży pogrzebie swego brata Satyra obok grobu św. Wiktora. Podobnie św. Grzegorz z Nyssy położy swoich rodziców obok szczątków czterdziestu męczenników z Sebasty.

Względy religijne, a niebawem również prestiżowe i polityczne (rywalizacja między miastami, zwłaszcza ambicja Konstantynopola, aby pod względem liczby grobów męczenników dorównać staremu Rzymowi), zrodzą praktykę przenoszenia grobów męczenników. Pierwsze odnotowane w źródłach tego rodzaju wydarzenie, przeniesienie szczątków św. Babylasa, miało miejsce ok. roku 352. Pod koniec wieku IV będzie to już zwyczaj rozpowszechniony.

W podobny sposób jak kult męczenników – później jednak i długo traktowany jako kult mniej uroczysty – pojawił się kult świętych biskupów. Mianowicie każda gmina chrześcijańska wpisywała wszystkich swych zmarłych biskupów, z wyjątkiem jedynie jawnie niegodnych, do dyptychów, które odczytywano podczas niedzielnej Eucharystii. Ponadto, rzecz jasna, *dies natalis* zmarłego biskupa gromadził nie tylko jego krewnych i przyjaciół. Otóż jeśli gorliwość pasterska i świątobliwość któregoś z biskupów pozostawiły głębszy ślad w pamięci wspólnoty, rocznica jego narodzin dla nieba utrwałała się na dłużej w miejscowym Kościele i była obchodzona bardziej uroczysto niż rocznice innych biskupów. Kult świętych biskupów stanowił pierwszy wyłom w zasadzie oddawania szczególnego kultu jedynie świętym męczennikom.

Kult świętych a monoteizm

Już napisany wkrótce po śmierci biskupa Smyrny, Polikarpa (+ 156), opis jego męczeństwa świadczy zarówno o tym, że *dies natalis* męczennika był obchodzony przez Kościół uroczysto, inaczej niż *dies natalis* zwyczajnych wiernych zmarłych, jak i o tym, że wówczas był to już zwyczaj ustalony⁶². Dokument ten świadczy ponadto o tym, że w owym czasie – na początku drugiej połowy II wieku – chrześcijański kult świętych został zauważony nawet przez niechrześcijan, co więcej, niechrześcijanie mogli dopatrywać się w nim otwartości chrześcijaństwa na politeizm. Mianowicie z lęku, żeby chrześcijanie nie zaczęli oddawać Polikarpowi

62 *Męczeństwo św. Polikarpa* obficie cytuję w rozdziale poprzednim. Tam również znajduje się podstawowe omówienie problematyki niniejszego podrozdziału, którą tutaj jedynie sygnalizuję.

czci boskiej, usiłowano nie dopuścić do tego, żeby chrześcijanie wzięli jego szczątki. W rozdziale poprzednim odnotowałem zdumienie ówczesnych chrześcijan, że ktoś w ogóle mógł coś tak absurdalnego pomyśleć.

W wieku XVI analogiczny zarzut przeciwko kultowi świętych wysunęła Reformacja. Kiedy później przejęło go Oświecenie, pogląd, jakoby kult świętych wszedł na miejsce dawnego kultu bożków i że praktycznie jest tym samym, stał się bardzo popularny. Warto zdać sobie sprawę – szeroko o tym mówię w rozdziale poprzednim – że kult świętych rozwinął się w Kościele w czasach, kiedy wielobóstwo było jeszcze realnie praktykowane przez tysiące ludzi, i ówczesni chrześcijanie widzieli przede wszystkim radykalne różnice, wręcz przepaść, między kultem świętych a pogańskim kultem bogów.

Eklezjologiczne podstawy kultu świętych

Kult świętych (podobnie jak modlitwy za zmarłych) jest praktycznym wyrazem wiary Kościoła, że wspólnota przyjaciół Bożych, powiązanych w Chrystusie więzami wzajemnego braterstwa, nie ogranicza się do nas, którzy żyjemy obecnie. Obejmuje ona również tych, którzy odeszli już z tego świata: zarówno zbawionych, którzy już teraz oglądają Boga twarzą w twarz, jak tych, którzy, zanim będą mogli spotkać się z Bogiem bezpośrednio i na zawsze, potrzebują jeszcze oczyszczenia. Co więcej, cała zbawiona i dążąca do zbawienia ludzkość jest zaledwie częścią powszechnej wspólnoty Bożej, w której starszymi braćmi są aniołowie, duchy niewyobrażalnie doskonalsze od człowieka.

Tę wizję wiekuistego Kościoła wszystkich stworzeń rozumnych znajdziemy już w Nowym Testamencie: „(...) przystąpiliście do góry Syjon, do miasta Boga żyjącego, Jeruzalem niebieskiego, do niezliczonej liczby aniołów, na uroczyste zebranie, do Kościoła pierworodnych, którzy są zapisani w niebiosach, do Boga, który sędzi wszystkich, do duchów sprawiedliwych, które już doszły do celu, do Pośrednika Nowego Testamentu – Jezusa.” (Hbr 12, 22-24; por. Ap 5,9-11). O znaczeniu tej prawdy o Kościele dla kultu świętych powiemy nieco więcej, kiedy będziemy mówili o ich wstawiennictwie.

Druga eklezjologiczna prawda, bez której nie sposób zobaczyć, czym jest kult świętych, jest mistyczna jedność Chrystusa ze swoim Kościołem. Chodzi o tę prawdę, którą Nowy Testament wyraża w obrazach Krzewu Winnego czy Ciała Chrystusa. Apostoł Paweł mógł w tej perspektywie mówić zarówno o sobie: „Żyję ja, ale już nie ja, żyje we mnie Chrystus” (Ga 2,20), jak o wiernych: „Czyż nie wiecie o samych sobie, że Jezus Chrystus jest w was?” (2 Kor 13,5). Święty Tomasz z Akwinu wyrażał tę prawdę w twierdzeniu, że Chrystus jako nasza Głowa i my, Jego członki, „stanowimy poniekąd jedną osobę mistyczną”⁶³, zaś *Katechizm Kościoła Katolickiego* wyraża ją opisowo w twierdzeniu, że „Kościół nie jest tylko jakimś zgromadzeniem wokół Chrystusa, lecz jest on zjednoczony w Nim, w Jego Ciele” (KKK 789).

Wystarczy po prostu zobaczyć tę prawdę o Kościele, żeby w niej zobaczyć zarazem całą absurdalność niepokojów, czy kult świętych nie jest jakimś echem pogańskiego politeizmu, albo czy nie podważa on chrystocentryzmu wiary chrześcijańskiej. Dlatego przecież czcimy świętych, ażeby czcić Chrystusa Pana, który w nich i przez nich działał i zwyciężał. *Christus in martyre est* – „Sam Chrystus jest obecny w męczenniku”, pisał już Tertulian⁶⁴. „Aby Szczepan na ziemi zwyciężył niedowiarstwo prześladowców, łąska zesłana przez Jezusa walczyła w jego obronie” – mówił św. Grzegorz Wielki⁶⁵.

Wydaje się, że właśnie tutaj trzeba szukać sensu na przykład takich cudów (nawet jeżeli niektóre z nich były cudami jedynie literackimi), że dzikie zwierzęta stawały bezsilne wobec męczenników i nie śmiały ich tknąć. Męczennika niekiedy nie ima się ogień ani trucizna, ani miecz prześladowcy. Niektórzy męczennicy ginęli razem z jadowitą żmiją, na znak, że ich śmierć przynosi szatanowi klęskę⁶⁶; modlitwa innych kruszyła bożki pogańskie. Cuda te zawierają tę samą ideę, co często powtarzający się w opisach męczeństwa motyw, że męstwo chrześcijanina w znoszeniu tortur ukazywało całą bezsilność prześladowców⁶⁷. Wszystkie te cuda przekazują prawdę, że Chrystus obecny w męczenniku pozbawia siły ciemności zwykłej im mocy.

63 „Caput et membra sunt quasi una persona mystica” (*Summa Theologiae* 3 q.48 a. 2 ad 1; por. *Questiones disputatae „De Veritate”*, q. 29 a.7 ad 11).

64 *De pudicitia*, 22 (Corpus Christianorum Series Latina 2,1329).

65 *Homilie na Ewangelie*, 29,7 (PL 76,1217); tłum. Władysław Szoldrski, Warszawa 1970 s.204.

66 „W Tyrze, w Fenicji, świętego Wulpiana, męczennika. Podczas prześladowania Maksymiana Galeriusza zaszyto go do worka razem z psem i węzem i wrzucono do morza” (*Martyrologium Rzymskie*, 3 kwietnia; tłum. Piotr Turbak, Kraków 1967 s. 104).

67 Por. męczeństwo czterech dziewczic z Aleksandrii, kiedy po wyszukaniem torturowaniu jednej z nich „pozostałe trzy sędzia kazał natychmiast ściąć. Wstydział się bowiem, że górują nad nim męstwem i obawiał się, by stosując wobec nich te same tortury nie doznał porażki od mężnych i stałych w wierze niewiast” (*Martyrologium Rzymskie*, 12 grudnia; s.352).

Radykalny realizm w pojmowaniu obecności Chrystusa wśród swoich wiernych znalazł charakterystyczny wyraz w pobożności eucharystycznej, co odbija się niezmiernie interesującym echem w starochrześcijańskim rozumieniu męczeństwa i świętości. Chodzi o znaną ideę patrystyczną, że Ciało Chrystusa, które spożywamy, staje się naszym własnym ciałem i że w żyłach nas wszystkich płynie ta sama krew, Krew Chrystusa, którą pijemy w Eucharystii⁶⁸.

Otóż w duchu radykalnego realizmu eucharystycznego chrześcijanie starożytni pojmowali niekiedy męczeństwo, zwłaszcza męczeństwa biskupa, jako ostatnie odprawienie Eucharystii, gdzie ofiarą eucharystyczną, niejako prawdziwym ciałem Chrystusa, jest ciało męczennika⁶⁹. W ten sposób święty Ignacy przez śmierć męczeńską chce się stać „czystym chlebem Chrystusa”⁷⁰. Według późniejszego opisu jego męki, chrześcijanie zebrali szczątki pozostałe po jego ciele i zawinęli w obrus ołtarzowy niby eucharystyczną ofiarę⁷¹.

W starych tekstach liturgicznych spotykamy jeszcze inną ideę, trudną do zrozumienia dla chrześcijanina współczesnego: odprawianie Eucharystii w rocznicę urodzin męczennika dla nieba jest nie tylko uobecnieniem ofiary Chrystusa, ale uobecnia również śmierć męczeńską, którą dzisiaj wspominamy⁷². Jedna z galikańskich prefacji zawiera np. taką oto modlitwę: „Niech to, co świętemu męczennikowi twojemu przyczyniło się dzisiaj do chwały, dopomoże nam do zbawienia”⁷³. Modlitwa ta zdaje się mieć sens o tyle, o ile dostrzeżemy w niej ideę mistycznej identyfikacji męczeństwa i Eucharystii, zarówno w historycznej chwili męczeństwa, jak dzisiaj, w dniu eucharystycznego wspomnienia tamtego męczeństwa.

68 Por. liczne teksty cytowane w *Enchiridion Patristicum*, numery 249, 843, 845, 870, 1036, 1166, 1180, 1194, 1524, 1593, 1824, 2116, 2206, 3047.

69 Por. J. Kettel, *Martyrium und Eucharistie*, Geist und Leben 30 (1957) s.34-47).

70 *List do Rzymian*, 4,1, tłum. Anna Świderkówna, w: *Pierwsi świadkowie*, opr. Marek Starowieyski, „Ojcowie Żywi” 8, Kraków 1988 s.158.

71 W opisie męki św. Polikarpa zlewa się w jedno podwójny motyw: że męczennik odwzorowuje w sobie mękę Chrystusa oraz że odprawia ostatnią w swym życiu eucharystyczną ofiarę: „On zaś sam (Polikarp) podał w tył ręce do przywiązania, i był jak baranek najprzedniejszy, wybrany z licznej trzody na ofiarę, na miłe całopalenie, przygotowane dla Boga wszechmogącego, i rzekł: (...) Błogosławię Ciebie, że mnie uczyniłeś godnym tego dnia i tej godziny, bym pośród liczby męczenników miał udział w kielichu Chrystusa Twego. (...) Obym wśród nich dzisiaj stanął przed obliczem Twoim jako ofiara piękna i przyjemna, tak właśnie jak mnie przygotowałeś” (Euzebiusz z Cezarei, *Historia kościelna*, 4,15,32-34; tłum. Arkadiusz Lisiecki, Poznań 1924 s.168). J. Kettel, w cytowanym artykule, dopatruje się sensu eucharystycznego w licznych innych szczegółach męki św. Polikarpa.

72 Odo Casel, *Mysterium und Martyrium in den römischen Sakramentarien*, Jahrbuch für Liturgiewissenschaft 2 (1922) s. 18-38.

73 „Et quicquid sancto viro ac beatissimo martyri tuo hodierno die profuit ad gloriam, nobis proficiat ad salutem” (*Missale Gothicum*, wyd. L.C. Mohlberg, Romae 1961 s.36 nr 123).

Wertykalne i horyzontalne wymiary kultu świętych

Warto zwrócić uwagę na biblijne korzenie kultu świętych. Jak wiele innych prawd Objawienia biblijnego, da się wiarę Kościoła dotyczącą kultu świętych uporządkować na planie krzyża Chrystusa. Krzyż jest to połączenie belki pionowej i poziomej. Belka pionowa wskazuje na oba kierunki łączności Boga z ludźmi: kierunek od Boga do ludzi oraz od ludzi do Boga. Z kolei belka pozioma wskazuje na te wymiary kultu świętych, które podkreślają naszą wspólnotę z nimi.

Pismo Święte, zwłaszcza Stary Testament, przepelnione jest wspomnianiem wielkich dzieł Bożych wobec naszych ojców i dziękczynieniem za nie (choć również wspomnianiem ze skruchą ich grzechów). „Błogosławiony jesteś, Panie, Boże nasz, od wieku do wieku. (...) Ty, Panie jesteś tym Bogiem, który wybrał Abrahama, wyprowadziłeś go z Ur Chaldejczyków i nadałeś mu imię Abraham. A gdyś uznał, że jego serce jest Tobie wierne, zawarłeś z nim przymierze. (...) Widziałeś nędzę ojców naszych w Egipcie, a wołanie ich słyszałeś nad Morzem Czerwonym. I dokonałeś cudów i znaków na faraonie, na wszystkich sługach jego i na całym ludzie jego kraju, bo spostrzegłeś, że do nich zuchwale się odnosili” (Neh 9,3.7-10). „Sławcie Pana, wzywajcie Jego imienia, głosźcie dzieła Jego wśród narodów! – zanosi dziękczynienie Psalmista – Pamiętajcie o cudach, które on zdziałał, o Jego znakach i sądach ust Jego, potomstwo Abrahama, Jego słudzy, synowie Jakuba, Jego wybrańcy” (Ps 105,1.5n).

Podobnie jak w dziejach Starego Testamentu Abraham, Jakub czy Mojżesz, tak w Kościele święci są żywym wezwaniem, aby dziękować Bogu za to, że poprzez pokolenia tak wspaniale obdarzał Kościół łaską i świętością. Żywy kult świętych ogromnie więc pomaga widzieć historię Kościoła jako dzieje zbawienia. Bo niestety, przeciętny dzisiaj stosunek do historii Kościoła jest chory i wypaczony. Stereotypowe patrzenie na nią kształtowało się – od czasów Oświecenia – głównie z pozycji Kościołowi wrogich. Gdyby badać pierwsze skojarzenia, jakie budzi w nas, również w katolikach, sam termin «historia Kościoła», zapewne okazałoby się, że najczęściej nasuwają się nam wówczas takie pojęcia, jak «ciemne karty», «zło», «zbrodnie», «inkwizycja».

Chodzi nie tylko o to, żeby się wyzwalać z tych fałszywych stereotypów i utworzyć sobie ogólny obraz dziejów Kościoła bardziej zgodny z prawdą historyczną. Historia Kościoła jest w samym swoim rdzeniu historią zbawienia, historią działania łaski Bożej, historią dążenia kolejnych pokoleń do życia wiecznego. Musimy się uczyć tego podejścia do historii, które cechowało człowieka biblijnego.

Biblia nigdy nie idealizuje przeszłości, o grzechach ojców wyraża się z niezwykłą surowością: „Nie bądźcie ludźmi twardego karku, jak wasi ojcowie” (2 Krn 30,8). „Ojcowie wasi Mnie opuścili – wyroczenia Pana – i poszli za obcymi bogami, służyli im i cześć im oddawali, Mnie zaś opuścili i Prawa mojego nie przestrzegali. A wy jeszcze gorzej postępowaliście niż ojcowie wasi, gdy każdy z was szedł za swym przekornym, złym usposobieniem, Mnie nie słuchając” (Jr 16,11n).

Zarazem jednak cała Biblia rozbrzmiewa dziękczynieniem za wielkie dzieła Boże w przeszłości, za to również, że w poprzednich pokoleniach Bóg wzbudzał ludzi sobie wiernych, wielkich przewodników swojego ludu i proroków: „Chwalcie Pana! Wzywajcie Jego imienia! Dajcie poznać Jego dzieła między narodami! Przypominajcie wspaniałe imię Jego! Śpiewajcie Panu, bo uczynił wzniosłe rzeczy! Niech to będzie wiadome po całej ziemi!” (Iz 12,4n).

W Księdze Syracha aż siedem rozdziałów poświęcono wspomnieniu wielkich wybrańców Bożych, poprzez których Bóg obdarzał swój lud mocą i łaską (Syr 44-50). Oto jak autor wprowadza czytelników do tej części swojego dzieła: „Wychwalajmy mężów sławnych i ojców naszych według kolejności ich pochodzenia! (...) Ci są ojcowie pobożni, których cnoty nie zostały zapomniane, pozostały one z ich potomstwem, a dobrym dziedzictwem są ich następcy. Potomstwo to trzyma się Przymierza, a przez nich – ich dzieci. Potomstwo ich trwa na zawsze, a chwała ich nie będzie wymazana. Ciało ich w pokoju pogrzebano, a imię ich żyje w pokoleniach. Narody opowiadają ich mądrość, a zgromadzenie wygłasza chwałę” (Syr 44,1.10-15).

Ten sam religijny szacunek dla przodków w wierze znajdziemy w Liście do Hebrajczyków. W rozdziale 11. wyliczono tak po imieniu wielkich świętych Starego Testamentu, którzy swoim życiem zostawili nam przykład prawdziwego zawierzenia Bogu. Wspomniano tam m.in. męczenników za wiarę: „Jedni zaś ponieśli mękę

tortur, nie przyjąwszy uwolnienia, aby otrzymać lepsze zmartwychwstanie. Inni zaś doznali zelżywości i biczowania, a nadto kajdan i więzienia. Kamienowano ich, przeryniano piłą, kuszono, przebijano mieczem; błędzili w skórach owczych, kozich, w nędzy, w utrapieniu, w ucisku. Świat nie był ich wart – i tułali się po pustyniach i górach, po jaskiniach i rozpadlinach” (Hbr 11,35-38). Wspomniałem już, na samym początku, że już w czasach apostoelskich tę postawę wobec przodków w wierze rozciągnięto na zmarłych niedawno głosicieli Ewangelii (Hbr 13,7).

Dziękczynienie za wielkie dzieła, jakich Bóg dokonywał wobec naszych ojców w wierze – można je zobaczyć jako kierunek zstępujący pionowej belki krzyża – ponieważ woła o dopełnienie w postaci prośby, aby również dzisiaj, wobec nas, Bóg zechciał powtarzać dzieła swojej mocy i łaski. „Tobie zaufali ojcowie nasi – skarży się udręczony Mesjasz w Psalmie 22,5n – zaufali, a Tyś ich uwolnił”. Podobną modlitwę znajdziemy w Księdze Syracha: „Do Ciebie wołali i zostali zbawieni, Tobie ufali i nie doznali wstydu. Odnów znaki i powtórz cuda: wsław swoją rękę i prawe ramię!” (Syr 36,5). Wspomniane wyżej rozpamiętywanie w dziewiątym rozdziale Księgi Nehemiasza wielkich dzieł Boga w przeszłości kończy się bolesną skargą na dzisiejszą nędzę ludu Bożego. Taka sama modlitwa w Psalmie 44 kończy się dramatycznym: „Ocknij się! Dlaczego śpisz, Panie? Przebudź się! Nie odrzucaj na zawsze! (...) Powstań na pomoc i wyzwól nas przez Twe miłosierdzie!” (Ps 44,24.27).

Wielcy święci przeszłości byli dla udręczonych Izraelitów znakiem nadziei, że nawet w największej niedoli Bóg potrafi przyjść z pomocą swojemu ludowi. „Pan, Bóg ojców waszych, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba przysłał mnie do was” (Wj 3,15) – ma powiedzieć Mojżesz swoim rodakom. „Spójrzcie na Abrahama, waszego ojca, i na Sarę, która was zrodziła. (...) Zaiste zlituje się Pan nad Syjonem, zlituje się nad wszelką jego ruiną” (Iz 51,2n) – pociesza i wzywa do nadziei autor drugiej części Księgi Izajasza. Zaś Azariasz w niewoli babilońskiej modli się: „I nie odejmuj od nas miłosierdzia swego przez wzgląd na Abrahama, umiłowanego Twego, i na Izaaka, sługę Twego, i na Izraela, świętego Twego” (Dn 3,35).

Z Pisma Świętego uczmy się właściwego podejścia do historii Kościoła. Nie zominajmy o grzechach poprzednich pokoleń – ale po to, żeby takie same, a nawet większe grzechy rozpoznawać w sobie samych. Przede wszystkim jednak

uwielbiamy Boga za to, że zawsze tyle łaskowości okazywał swojemu Kościołowi – że dawał mu tylu wielkich nauczycieli wiary, męczenników, ludzi modlitwy i pokuty, że dokonywał przez swoich wybrańców cudów miłosierdzia, poświęcenia, odnowy duchowej całych narodów. Uwielbiając zaś Boga w Jego świętych, utwierdzamy się w nadziei, że również dzisiaj będzie nam raczył przysyłać proroków i odnowicieli, że również dzisiaj będzie napełniał swój Kościół gorliwością i odwagą, duchem czystości i posłuszeństwa, poświęcenia i miłosierdzia.

Naśladowanie świętych jako uczenie się naśladowania Chrystusa

Na belce poziomej krzyża widać dwa dalsze wymiary kultu świętych: naśladowanie świętych oraz ich wstawianie się za nami. Rzecz jasna, tym jedynym, którego absolutnie powinniśmy naśladować, jest Pan nasz Jezus Chrystus: „Kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (Mt 16,24). Zarazem w Nowym Testamencie wręcz często wzywa się nas do naśladowania innych ludzi, Abrahama (Rz 4,1-4) i w ogóle świętych patriarchów – Abla, Henocha, Noego, Abrahama, Izaaka, Jakuba, Józefa, Mojżesza (Hbr 11). Apostoł Paweł nie krępuje się nawet wskazywać na siebie jako na wzór naśladowania Chrystusa: „Proszę was przeto, bądźcie naśladowcami moimi. (...) Bądźcie naśladowcami moimi, jak ja jestem naśladowcą Chrystusa” (1 Kor 4,16; 11,1). W ogóle chrześcijanie powinni być wzajemnie dla siebie wzorami do naśladowania: „A wy, przyjmując słowo pośród wielkiego ucisku z radością Ducha Świętego, staliście się naśladowcami naszymi i Pana, i *tak staliście się wzorem dla wszystkich wierzących w Macedonii i Achai*” (1 Tes 1,6n; por. Flp 3,17).

Idea naśladowania świętych cały swój sens czerpie stąd, że oni byli naśladowcami Chrystusa i dlatego mogą stać się pod tym względem naszymi nauczycielami. Już opis pierwszej śmierci męczeńskiej w Kościele przedstawia Szczepana jako żywe odzworowanie Mistrza i Zbawiciela: Szczepan, podobnie jak Chrystus, jest oskarżony o bluźnierstwo, oskarżony przez fałszywych świadków. Podobnie jak Chrystus, został wyrzucony poza miasto, umierając zaś przebacza swoim mordercom, wreszcie, jak Chrystus oddał swego Ducha Ojcu, tak on oddaje swego ducha Chrystusowi.

W sposób bardzo już rozbudowany ukazuje świętego jako niemal idealnego naśladowcę Chrystusa Hegezyp, pisarz pierwszego pokolenia poapostolskiego, w swoim

opisie życia i śmierci Jakuba Brata Pańskiego. Jakub jest tam ukazany jako arcykapłan, który nieustanną ofiarą z siebie i ustawiczną modlitwą wyjednuje przebaczenie dla ludu, dlatego nazwano go Sprawiedliwym (por. Mt 27,19.24; Łk 23, 47; Dz 3,147,52; 22,14). Tak jak Chrystus, Jakub ginie podczas świąt paschalnych, modli się oczywiście za nieprzyjaciół, „bo nie wiedzą, co czynią”. Podobnie jak przy śmierci Chrystusa, ludzie sprawiedliwi wyznają, że umiera człowiek niewinny⁷⁴.

Szczegółowe analogizowanie⁷⁵ ma na celu ukazanie podobieństwa istotnego: święty, a zwłaszcza męczennik całego siebie składa w ofierze Bogu i poniekąd powtarza w ten sposób mistycznie Ofiarę-Pierwowiec, uczestniczy w całkowitym oddaniu się Chrystusa Przedwiecznemu Ojcu.

Wstawiennictwo świętych za nami

Stoi przed nami jeszcze pytanie ostatnie: Czy święci mogą się wstawiać za nami? I czy my możemy prosić ich o wstawiennictwo? Jak wiadomo, twórcy Reformacji, którzy początkowo nie sprzeciwiali się idei naśladowania świętych, stanowczo odrzucali jednak katolicką naukę o wstawiennictwie świętych. „Kościoły nasze uczą o czci świętych – czytamy w ogłoszonej w roku 1530 *Konfesji Augsburskiej*, 21 – iż świętych można stawiać jako wzór do naśladowania ich wiary i dobrych uczynków, zależnie od powołania; tak cesarz może naśladować przykład Dawida, prowadząc wojnę dla wypędzenia Turków z ojczyzny, jest bowiem takimże królem. Atoli Pismo Święte nie uczy, abyśmy wzywali świętych lub ubiegali się o ich pomoc, jedyne bowiem Chrystusa stawia przed nami jako pośrednika, przebłaganie, najwyższego kapłana i orędownika”⁷⁶.

Twórcy Reformacji prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że ich sprzeciw wobec nauki o wstawiennictwie świętych będzie niszczył wśród chrześcijan świadomość jedności Kościoła poprzez pokolenia, a nawet będzie katalizatorem zwątpienia w nasze życie po śmierci. Twórcy Reformacji nie zauważyli ponadto, że gdyby

74 Euzebiusz z Cezarei, *Historia kościelna*, 2,23,5-18 (s.81-85).

75 Więcej szczegółów na ten temat można znaleźć w moim artykule *Dzieje kultu świętych. Uwagi historyczno-dogmatyczne*, w: *Chrześcijańska odpowiedź na pytanie o człowieka* (dzieło zbiorowe), Poznań 1974 s.297-322, zwłaszcza s.309-312.

76 *Wybrane księgi symboliczne Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego*, tłum. Andrzej Wantuła i Wiktor Niemczyk, Warszawa 1989 s.143.

prawda o jedyności pośrednictwa Chrystusa Pana kazała odrzucić wiarę w wstawiennictwo świętych, to kazałaby również odrzucić wiarę w potrzebę naszego wstawiennictwa wzajemnie za siebie. Tymczasem w Nowym Testamencie znajdziemy wiele świadectw takiego wstawiennictwa i nieustannie jesteśmy do niego wzywani.

Kiedy Piotr został uwięziony – czytamy w *Dziejach Apostolskich* – „Kościół modlił się za niego nieustannie” (Dz 12,5). Apostoł Paweł zwierza się ze swojej żarliwej modlitwy za rodaków, którym trudno jest uwierzyć w Chrystusa: „z całego serca pragnę ich zbawienia i modłę się za nimi do Boga” (Rz 10,1). Wielokrotnie też zapewnia Paweł o modlitwie za tych, do których posyła swoje listy (Ef 1,16; Kol 1,3.9; Flp 1,9.1 Tes 1,2), a jemu zależy na tym, żeby współbracia w wierze za niego się modlili (Rz 15,30; Ef 6,19; Kol 4,3; 1 Tes 5,25 2 Tes 3,1; Hbr 13,18). „Módlcie się wzajemnie za siebie” – poucza Apostoł Jakub (Jk 5,16).

Otóż jeżeli my, którzy dopiero dążymy do zbawienia, możemy i powinniśmy wstawić się do Boga za siebie wzajemnie, to dlaczegoż by święci – którzy zbawienie już osiągnęli i są bez reszty zjednoczeni z Bogiem, a zarazem są szczególnie wybranymi członkami naszej Bożej wspólnoty – nie mieliby się za nas modlić? Modlą się za nas tym bardziej, że są już niewyobrażalnie blisko Boga i najdosłowniej przepełnieni Chrystusem.

Toteż odpowiedź na pytanie, czy my możemy ich prosić o wstawiennictwo, zależy wyłącznie od tego, czy istnieją jakieś sposoby na nawiązanie z nimi realnego kontaktu. Otóż wierzymy, że można z nimi nawiązać realny kontakt wiary, mianowicie w Chrystusie i przez Chrystusa, bo przecież w Chrystusie tworzymy wraz z nimi jedną Bożą wspólnotę. I właśnie w ten sposób – w Chrystusie i przez Chrystusa – zwracamy się do świętych z prośbami o ich braterską solidarność.

Przypomnijmy, co na ten temat mówi ostatni Sobór, w *Konstytucji dogmatycznej o Kościele*, 49n: „Łączność pielgrzymów z braćmi, którzy zasnęli w pokoju Chrystusowym, bynajmniej nie ustaje. Przeciwnie, według nieustannej wiary Kościoła umacnia się jeszcze dzięki wzajemnemu udzielaniu sobie dóbr duchowych. Albowiem mieszkańcy nieba, będąc głębiej zjednoczeni z Chrystusem, jeszcze mocniej utwierdzają cały Kościół w świętości, a cześć, którą Kościół tutaj na ziemi oddaje

Bogu, uszlachetniają i różnorodnie obracają na większe zbudowanie Kościoła. Przyjęci bowiem do ojczyzny i znajdując się blisko przy Panu, przez Niego, z Nim i w Nim nieustannie wstawiają się za nas u Ojca, ofiarując Mu zasługi, które przez jedynego Pośrednika między Bogiem i ludźmi, Jezusa Chrystusa, zdobyli na ziemi. (...)

Nie tylko jednak ze względu na sam ich przykład czcimy pamięć mieszkańców nieba, ale bardziej jeszcze dlatego, żeby umacniała się jedność całego Kościoła w Duchu poprzez praktykowanie braterskiej miłości. Bo jak wzajemna łączność (*communio*) chrześcijańska między pielgrzymami prowadzi nas bliżej Chrystusa, tak obcowanie ze Świętymi łączy nas z Chrystusem, z którego, niby ze Źródła i Głowy, wypływa wszelka łaska i życie Ludu Bożego. (...)

W najbardziej zaś szlachetny sposób nasze zjednoczenie z Kościołem niebiańskim dokonuje się wtedy, kiedy – szczególnie w liturgii świętej, w której moc Ducha Świętego działa na nas poprzez znaki sakramentalne – wspólnie z nimi w radosnym uniesieniu wielbimy majestat Boży i kiedy wszyscy, ze wszelkiego pokolenia, języka, ludu i narodu we krwi Chrystusa odkupieni i zgromadzeni w jeden Kościół, jedną pieśnią chwały uwielbiamy Boga w Trójcy jedynego. Sprawując przeto ofiarę eucharystyczną, najściślej bodaj jednoczymy się ze czcią oddawaną Bogu przez Kościół w niebie, wchodząc w święte obcowanie z nim i czcząc pamięć przede wszystkim chwalebnej zawsze Dziewicy Maryi, a także świętego Józefa, świętych Apostołów i Męczenników oraz wszystkich Świętych”.

Relikwie świętych

Poniższy tekst jest odpowiedzią na następujący list, jaki kiedyś ktoś mi przysłał:

Natrafiłam w Księdze Liczb na zdanie, które przypomniało mi przeżyty w dzieciństwie odruch przerażenia i wstrętu, kiedy na naszym wiejskim cmentarzu zobaczyłam kości ludzkie, jakie wykopał grabarz podczas przygotowywania nowego grobu. Był to werset 19,16: „będzie przez siedem dni nieczysty, kto w otwartym polu dotknie zabitego mieczem, zmarłego, kości ludzkich albo grobu” (Lb 19,16). Ja dokładnie tak się wtedy poczułam – jakbym była nieczysta.

Zastanawiam się teraz, jak to się stało, że mimo tak jednoznacznie zarejestrowanej w Piśmie Świętym odrazy do ludzkich szczątków pojawiły się w Kościele pielgrzymki do grobu świętego, a nawet oddawanie czci relikwiom, czyli jakimś fragmentom ich kości. Wydaje mi się, że Pismo Święte nie podpowiada takich przejawów pobożności.

Owszem, cześć oddawana szczątkom wielkich przyjaciół Bożych nie tylko ma swoje źródła już w Piśmie Świętym, ale jej biblijne podstawy są bardzo mocne. Proszę sobie przypomnieć, z jakim pietyzmem Józef przewoził ciało swojego ojca Jakuba z Egiptu aż do rodzinnego grobu w ziemi Kanaan (por. Rdz 50,1-13). Co do samego Józefa, aż pięciokrotnie – zatem musiał to być szczególnie ogromnie ważny dla staroizraelskiej świadomości – mówi Pismo Święte o przeniesieniu kości Józefa z Egiptu do ziemi ojczyzny (Rdz 50,25; Wj 13,19; Joz 24,32; Hbr 11,22; Dz 7,16).

Natomiast w Drugiej Księdze Królewskiej znajduje się zapis, że kontakt z kośćmi proroka Elizeusza przywrócił życie umarłemu (2 Krl 13,21). Wydarzenie to jest zapewne ważnym źródłem popularnego również we współczesnym judaizmie zwyczaju odbywania pielgrzymek do grobów świątobliwych cadyków.

Znajdziemy w Piśmie Świętym również bardziej symboliczne zapisy o mocy życiodajnej obecnej w szczątkach człowieka sprawiedliwego. „Kości ich – czytamy w Księdze Syracha o bogobożnych sędziach – niech wypuszczą pędy ze swego miejsca, aby byli wstawieni przez swoich synów” (Syr 46,12). I trzy rozdziały dalej: „A kości dwunastu proroków niech wypuszczą pędy ze swego grobu, pocieszyli bowiem Jakuba i wybawili go niezawodną nadzieją” (Syr 49,10; por. Iz 66,13n).

Nowy Testament uzupełnił te intuicje mocnym podkreśleniem, że nasza godność dzieci i przyjaciół Bożych rozciąga się również na nasze ciała: „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie?” (1 Kor 6,19).

W obliczu tego stwierdzenia nieraz zwracano uwagę na to, że to nasze ciała zostały obmyte oczyszczającą nas z grzechu wodą chrztu świętego, i że to w postaci cielesnego pokarmu otrzymujemy dar Eucharystii na życie wieczne. I jeszcze więcej: „jeżeli mieszka w was Duch Tego, który Jezusa wskrzesił z martwych, to Ten, co wskrzesił Chrystusa Jezusa z martwych, przywróci do życia wasze śmiertelne ciała mocą mieszkającego w was swego Ducha” (Rz 8,11; por. Flp 3,20n).

Najbardziej spontanicznie przypominano sobie te wszystkie prawdy, kiedy ktoś z braci lub sióstr w wierze oddawał życie za Chrystusa. Wtedy przecież nie sposób było żywić wątpliwości co do tego, iż ciało tego męczennika było świątynią Ducha Świętego w sposób najszczególniejszy – zatem dla ówczesnych chrześcijan było czymś oczywistym, że temu ciału należy się szczególny religijny szacunek.

Przejmujące świadectwo na ten temat znajduje się w opisie męczeństwa – datowanego na rok mniej więcej 167 – sędziwego biskupa Polikarpa ze Smyrny. Po dokonanej egzekucji „usiłowano nam przeszkodzić w zabraniu jego ciała, chociaż wielu chciało to zrobić, żeby posiadać święte szczątki. (...) Wówczas setnik oświadczył, że ciało jest własnością państwa i polecił je spalić, tak jak jest to w zwyczaju. Tak więc mogliśmy później zebrać jego kości, cenniejsze od klejnotów i droższe od złota, aby je złożyć w miejscu stosownym”⁷⁷.

Już w okresie prześladowań rozpowszechnił się w Kościele zwyczaj, że w rocznicę męczeństwa gromadzono się wokół grobu męczennika, ażeby odprawić tam Eucharystię i wspólnie radować się tym zwycięstwem naszego brata czy siostry. Wierzono bowiem, że grób męczennika jest miejscem świętym, skąd zanoszone modlitwy mogą być bardziej wysłuchane, gdzie w sposób szczególny działa uświęcająca moc Boża. Katechumenka, święta Emerencjana, przypłaciła męczeństwem – było to w roku ok. 305 – to, że przyłapano ją na modlitwie na grobie swej kuzynki, męczennicy Agnieszki.

Względy religijne, a niebawem również prestiżowe i polityczne (rywalizacja między miastami, zwłaszcza ambicja Konstantynopola, aby pod względem liczby grobów męczenników dorównać starymu Rzymowi), zrodziły praktykę przenoszenia grobów męczenników. Pierwsze odnotowane w źródłach tego rodzaju wydarzenie, przeniesienie szczątków św. Babyłasa, miało miejsce ok. roku 352.

Ogromnie interesującym świadectwem tego zwyczaju jest list napisany w roku 375 przez biskupa Cezarei, świętego Bazylego, do biskupa Mediolanu, świętego Ambrożego. Biskup Bazyli zdecydował się ofiarować Kościołowi w Mediolanie szczątki męczennika Dionizego. Początkowo wierni w Cezarei gorąco przeciwko tej decyzji protestowali. Dopiero szanowany przez nich kapłan Terazjusz „uśmierzył gwałtowne wzburzenie miejscowych wiernych, słowem swym przekonał tych, którzy sprzeciwiali się wydaniu relikwii, i w obecności kapłanów, diakonów i wielu innych bojących się Pana z należną czcią zabrał owe relikwie i przekazał je braciom [z Mediolanu]”⁷⁸.

77 *Męczeństwo św. Polikarpa*, 17-18, w: *Męczennicy*, opr. Ewa Wipszycka i Marek Starowieyski, Kraków 1991 „Ojcowie żywi” t. 9 s. 199-200.

78 *Św. Bazyli Wielki, Listy*, 197,2, tłum. Włodzimierz Krzyżaniak, Warszawa 1972 s. 201n. Z tego listu pochodzi również cytata następująca.

Czytając ten list, nie mamy najmniejszej wątpliwości co do tego, że przekazanie relikwii było aktem wiary, i z tego powodu autorowi listu ogromnie zależało na bezspornej autentyczności relikwii: „Przyjmijcie je z radością, mogącą zrównoważyć smutek, z jakim odesłali je ci, którzy ich strzegli. Niechaj nikt nie wątpi i nie waha się wierzyć, że ten jest owym niezwykłym zapaśnikiem. Pan zna te kości, które bojowały razem z błogosławioną duszą. Uwieńczy On je z nią razem w dzień zapłaty za sprawiedliwość, jak napisane jest, że musimy stanąć przed trybunałem Chrystusa, aby każdy otrzymał zapłatę za uczynki dokonane w ciele. Jedna tylko trumna przyjęła czcigodne to ciało, nikt blisko niego nie spoczął, na grobie był napis, oddawano mu cześć jako grobowi męczennika. Podejmujący go niegdyś w swych domach chrześcijanie własnymi rękami wtedy go pochowali, a teraz szczątki wydobyli z ziemi. Boleli oni tak, jakby pozbawieni zostali ojca lub obrońcy, ale odesłali relikwie, wyżej stawiając waszą radość niż własną pociechę”.

Dopiero na samym początku V wieku oddawanie czci relikwiom świętych zakwestionował niejaki Wigilancjusz, w niewybrednych słowach nazywając je czymś nieczystym i budzącym wstręt. Z wielką stanowczością przywołał go do porządku święty Hieronim – najpierw w swoim, napisanym w roku 404, liście 109, następnie w dziełku pt. *Przeciw Wigilancjuszowi*.

We wspomnianym liście Hieronim pisał: „Jeśli nie należy czcić relikwii męczenników, to dlaczego czytamy: «Droga przed obliczem Pana śmierć Jego świętych» (Ps 116,15)? Jeśli ich kości kalają tych, którzy się z nimi stykają, to w jaki sposób przez dotknięcie do zwłok Elizeusza umarły został wskrzeszony (por. 2 Krl 13,21) i ciało, które według Wigilancjusza leżało nieczyste, przywróciło umarłemu życie? Czy zatem cały obóz wojska izraelskiego i naród Boży był nieczysty dlatego, że niesiono przez pustynię ciała Józefa i Patriarchów”⁷⁹.

W dziełku zaś *Przeciw Wigilancjuszowi*, 5, święty Hieronim pisał: „Czy zatem jesteśmy świętokradcami, kiedy nawiedzamy bazyliki Apostołów? (...) Czy wszystkich biskupów, którzy «bezwartościowe rozsypane prochy nieśli w jedwabiach i złotych naczyniach»⁸⁰ należy uznać nie tylko za świętokradców, ale i za głupców? I ludy wszystkich Kościołów, które wychodziły z taką radością naprzeciw świętym

79 Św. Hieronim, *Listy*, tłum. Jan Czuj, t.3, Warszawa 1954 s. 7.

80 To zapewne cytata z Wigilancjusza.

relikwiom, witając [relikwie] proroka Samuela jako poniekąd obecnego i żyjącego, należy uznać głupimi?” (PL 23,343n).

O wiele poważniej zakwestionowano kult świętych oraz oddawanie czci relikwiom dopiero w wieku XVI. W obronie jednego i drugiego wypowiedział się wówczas, w roku 1563, Sobór Trydencki: „Bezbożnie myślą ci, którzy zaprzeczają temu, że święci radujący się wieczną szczęśliwością w niebie powinni być wzywani, lub twierdzą, że oni nie modlą się za ludzi lub że bałwochwalstwem jest wzywanie ich, by modlili się za każdego z nas, lub że obraża to Słowo Boże i jest przeciwne czci Jezusa Chrystusa, jedyne go pośrednika między Bogiem i ludźmi (1 Tm 2,5), lub że głupotą jest, aby królujących w niebie błagać słowem lub myślą. Wierni powinni czcić także święte ciała męczenników i innych żyjących z Chrystusem, gdyż były żywymi członkami Chrystusa i świątynią Ducha Świętego, który je wskrzesi do życia wiecznego i obdarzy chwałą, i przez nie Bóg udziela ludziom wielu dobrodziejstw. Tak więc twierdzących, że nie powinno się czcić i szanować relikwii świętych, lub że wierni na próżno oddają cześć relikwiom i innym upamiętniającym rzeczom oraz nadaremnie odwiedzają miejsca poświęcone wspomnieniu świętych w celu uzyskania ich pomocy, należy w pełni potępić, jak już wcześniej potępił ich Kościół i także teraz potępia”⁸¹.

Odnotujmy ponadto następujący fragment dokumentu Międzynarodowej Komisji Teologicznej z roku 1992. Przypomina się tam, że cześć oddawana relikwiom świętych świadczy o tym, że Kościół wierzy, że zmartwychwstaniemy w tych samych – choć nie w takich samych, bo będą one uwielbione – ciałach, w których żyjemy obecnie: „Zmartwychwstanie nastąpi «w tych samych [ciałach], które pomarły; ponieważ gdyby nie było w tych samych, nie zmartwychwstali ci, którzy pomarli»⁸². Ojcowie Kościoła uważają, że bez tożsamości cielesnej nie można ochronić tożsamości osoby. (...) Kult relikwii, przez który chrześcijanie wyznają, że ciała świętych, «którzy pewien czas byli żywymi członkami samego Chrystusa i świątynią Ducha Świętego (...) będą przez Niego wskrzeszeni do życia i uwielbieni», pokazuje, że nie można wyjaśnić zmartwychwstania niezależnie od ciała, które żyło”⁸³.

81 *Dokumenty Soborów Powszechnych*, t.4, opr. Arkadiusz Baron i Henryk Pietras, WAM, Kraków 2005 s.781.

82 Cytat z: św. Ireneusz, *Adversus haereses*, V,13,1.

83 *Od wiary do teologii. Dokumenty Międzynarodowej Komisji Teologicznej 1969-1996*, red. Janusz Królikowski, Wydawnictwo Księży Sercanów, Kraków 2000 s.311.